

KAROL MAY

W INDIAŃSKIM ZAMKU

W DOLINIE ŚMIERCI

Nie wpadało nam zgoła na myśl zameldować komukolwiek o naszym wyjeździe. Kiedy wieczór zapadł, siedzieliśmy już w wagonie i mknęli prawym brzegiem Missisipi, a potem Red River ku Shreveport. Tamtędy biegła linia z Jackson i Vicksburg przez Monroe. Według naszych obliczeń, Judyta musiała przyjechać najbliższym pociągiem tej linii.

Siedzieliśmy w wagonie restauracyjnym i z naprężeniem wypatrywali przybycia Żydówki. Ponieważ znała mnie i Winnetou, usiedliśmy tak, aby nie zauważyła nas przy wsiadaniu do pociągu. Emery mógł się nie ukrywać. Skoro pociąg ruszył, Emery wyprawił się na przegląd wagonów, a wróciwszy, oznajmił wesoło:

— Jest. Siedzi w przedostatnim wagonie.

— Czy się aby nie mylisz?

— Nie mogę się mylić. Ładna niewiasta o typie semickim, obok niej Indianka. Bagaż — kuferek i torba. Skromny kapelusz, szary płaszcz — tak jak powiedziałaś. Co teraz z nią pocniemy?

— Pozwolimy jej jechać.

— *Well!* Ale byłoby lepiej, gdybyśmy mogli ją zatrzymać.

— Nie. Właściwie ona nas wcale nie obchodzi. Zależy nam na Meltonach.

— No tak, ale zamierza ich ostrzec.

— Nie zdąży, ponieważ ją wyprzedzimy. Prędzej znajdziemy się w Albuquerque; niż ona.

— Należy się spodziewać. Ale nic nie można przewidzieć. Może lepiej byłoby ją zatrzymać?

— Jak to uczynimy?

— Przez szeryfa.

— Który musiałaby nas także zatrzymać i sytuacja by się skomplikowała. Nie ulega wątpliwości, że Judyta zamierza z Gainessville przedostać się do Nowego Meksyku. Nie podejrzewa nawet, jakiej to wymaga odwagi i zuchwałości. Może nawet przypuszczać, iż po drodze zginie marnie. Z nami natomiast, to inna śpiewka. Kupimy w Gainessville konie i pojedziemy w góry.

— Ale kto wie, czy po drodze nie czeka nas rozprawa z Komańczami.

— Nie szkodzi. Przygody skracają czas podróży.

Winnetou ofuknął mnie:

— Niech mój brat tego nie mówi! Komańcze zachodzą czasem na północ aż do drogi prowadzącej do Santa Fé. Winnetou jednak nie lęka się ich, mimo że są jego śmiertelnymi wrogami. Ale skoro śpieszy nam się do Albuquerque, nie możemy tracić czasu na walki.

Milczałem, bo nie mogłem mu odmówić słuszności. Emery znów zajrzał do przedostatniego wagonu. Judyta drzemała. Dotychczas bowiem nie mogła oka zmrużyć.

W Dallas trzeba było się przesiąść. Musieliśmy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, aby Judyta nas nie zauważyła. Wszak łatwo mogła się wy mknąć w drodze do Sherman. Nie zauważyła nas jednak ani tu, ani też przy powtórnym przesiadaniu w Denton. Stąd dalej tor był niedawno ułożony, pociąg więc poruszał się bardzo ostrożnie i powoli; to też dopiero o zmroku przybyliśmy do ostatniej stacji — Gainessville.

Czekaliśmy, aż Judyta wsiądzie, po czym wyruszyliśmy za nią. Gainessville było podówczas nędzną dziurą. Zabudowania należało raczej nazwać chatkami niż domami. Na stacji nie można było zasięgnąć żadnych informacji.

Były to dwa tak zwane hotele niestety, tylko tak zwane Nasze zajazdy wiejskie mogły wobec nich uchodzić za rajskie gospody. Uciekiniarka zniknęła za wrotami oberży, która miała o jedno okno więcej od swej konkurentki, to znaczy, miała trzy okna. Po chwili weszliśmy za Judytą.

W gospodzie było ciemno, choć oko wykol. Nie palono tu światła, a znikomy blask głębokiego zmierzchu nie zdołał się przebić poprzez zakurzone szybki.

Z boku rozlegał się głos tubalny. Zapewne z kuchni, gdzie płonęło świeciło małej łójówki. Głos mówił:

— *All right!* Wszystko jest przewidziane. W mgnieniu oka przyniosą światło do salonu!

Usłyszeliśmy lekki szmer zbliżających się kroków, które umilkły w pobliżu. Czy to Judyta rozmawiała z gospodarzem? Jeżeli tak, to znajdowała się tu, w pokoju, przezwanym przez hotelarza salonem. Po omacku podeszliśmy do stołu, przy którym stała ława. Stół i ława sklecone były z ledwie ociosanych desek. Usiedliśmy.

Wreszcie zjawił się oberżysta i postawił na stole lampę. Światło padło na nas.

— *Halloo*, są tu jeszcze i inni goście — rzekł — Bądźcie pozdrowieni, *gentlemani*. Zostaniecie na dziś w hotelu? Wytrawna kuchnia, dobre posłania i bardzo niskie ceny.

— Zobaczymy — rzekł Emery. — Czy ma pan piwo?

— Jeszcze jakie! Prawdziwy angielski porter.

— Padaj pan trzy flaszki. Skoro nam nektar nie przypadnie do smaku, będziesz go musiał sam wyłopać.

— Wielce bym to sobie chwalił, lecz wiem, że nie zakosztuję tej rozkoszy.

Przyjemność, której tymczasem doznałem, była większa, niż ta, którą mnie uraczył jego kiepski odwar jęczmienny. Otóż, skoro gospodarz przyniósł lampę, spostrzegłem na wprost siebie, na przeciwległej ławie — kogo? Judytę i jej służącą! Jakież to miny przybrały, gdy mnie zobaczyły! Chyba żadnemu malarzowi nie udało się uchwycić tak doskonałego wyrazu osłupienia, tak doskonałego, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Po wyjściu gospodarza podniosłem się, nachyliłem ku Judycie i rzekłem:

— *Mrs Silverhill*, widzi pani, nasze wczorajsze spotkanie tak mnie oczarowało, iż nie mogą się z panią rozstać. *Old Shatterhand* wpadł na ślad pani, mimo że wykupiłaś bilet przez podstawioną osobę.

— Pan... pan... tu w *Gainesyville*! — bełkotała.

— Czyżby pani przypuszczała, że siedzą jeszcze w jej buduarze? Być może, zresztą, mimo pani urody zostałbym jeszcze w Nowym Orleanie, lecz w pośpiechu zapomniała pani dokumentu nader dla niej cennego, przeto czym prędzej udałem się za panią, aby go doręczyć. Otóż jest, seniora!

Wyciągnąłem z kieszeni zobowiązanie małżeńskie, rozłożyłem i podsunąłem pod światło lampy. Judyta ledwo przeczytała parę słów, wyrwała mi dokument z ręki i zawołała:

— To moja własność! Odzyskując to świadectwo, nie żałuję reszty rzeczy, które musiałam porzucić na pastwę losu.

— Niech pani zachowa ten dokument, seniora. Dzięki niemu będzie pani mogła zmusić do uczciwości jednego z największych oszustów, zanim kat założy mu postronek.

W odpowiedzi syknęła wściekle:

— Milcz pan! Jesteś oszczercą! *Senior Hunter* to człowiek uczciwszy, po tysiącokroć uczciwszy od pana. Wolę się z panem nie stykać. Lecz *Hunter* zemści się na panu, możesz być tego pewien!

Zwracając się do wchodzącego hotelarza, dodała:

— *Senior*, czy posiada pan dla kobiety, która nie może przebywać z takimi ludźmi, pokój oddalony i zamknięty aż do jutra rana, to jest, do mego odjazdu?

— Krzywdzi mnie pani tym pytaniem! — odpowiedział. — Mam pokój, w którym nawet księżniczka krwi poczuje się niczym u siebie.

— A więc zaprowadź pan tam mnie i moją pokojówkę!

Zabrał lampę i wyprowadził obie niewiasty. Dom składał się właściwie z dwóch izb — większej, w której siedzieliśmy i mniejszej, stanowiącej kuchnię a zarazem mieszkanie gospodarza. W jednej i drugiej powała była drewniana, tylko że w kuchni, pośrodku, widniała

czworokątna dziura. Gospodarz przystawił do otworu drabinę i włożył z lampą w rękę na górę. Judyta i Indianka wspieły się za nim. Siedzieliśmy w ciemnościach, dopóki po kwadransie nie wrócił, trzymając w rękę małą łożówkę.

— Przepraszam. *Messurs!* — rzekł. — Dzisiaj mam tylko jedną lampę. Trzy wielkie żyrandole, które zamówiłem w Little Rock, przyjdą, niestety, dopiero pojutrze. Czy zechcą się panowie posilić?

— Tak — odparł Emery. — Co można dostać?

— Doskonałą krzyżówkę i do tego naleśniki.

— Kto jest kucharzem?

— Ja sam. Moja żona przybędzie dopiero pojutrze, czterej zaś kelnerzy, którzy mieli przyjechać jeszcze wczoraj, spóźnili się z winy krawca, gdyż nie wykończył im na czas fraków.

— W takim razie jest to nasze wielkie szczęście, żeś sam jegomość już przybył. Rozmawiał pan z tą panią na górze. Czy mówiła, dokąd jedzie?

— Nie.

— A kiedy wyjeżdża?

— Też nie mówiła. Ale słyszał pan wszak, że zajmuje mój buduar tylko do jutra rano.

— Czy możemy tutaj przenocować?

— Naturalnie! Będziecie spali, niczym młodzi bogowie.

— Gdzie?

— Tu, w salonie. Pośłanie iście królewskie!

— Pięknie! Czy można w tym błogosławionym Gainesville nabyć konie?

— Rozumie się, *sir!* Na całym Zachodzie nie znajdzie pan takich koni, jak tutejsze. Prawdziwe arabskie, perskie i angielskie folbluty. A ceny, ceny powiadam wam, nie warto nawet o nich mówić! Ja zaś mam najlepsze konie w okolicy.

— A może i siodła?

— Siodła we wszelkich gatunkach, sprowadzone wprost od naj słynniejszych siodlarzy w St. Louis.

— Życzyłbym tylko sobie, aby konie i siodła były lepsze, niż prawdziwie angielski porter, który pan tak samo gorąco zachwalał. Jakie wyjście prowadzi z buduaru, w którym senior umieścił obie kobiety?

— Tylko to jedno. Lecz wybaczcie mi panowie! Muszę się zająć przyrządzeniem kolacji.

Była to szczwana bestia, jakich mało. Porterem nazywał *smali beer* własnego wyrobu. Następnie, jako krzyżówkę, podał nam niestrawne ścięgna nówek cielęcych co się zaś tyczy naleśników, były to kluski z podłej mąki, parzone we wrzątku. Pośłanie składało się z wiórów. I za te boskie rozkosze mieliśmy płacić po trzy dolary od osoby! Jedyną pociechą była pewność, że „księżniczki krwi” opływały w takie same rozkosze.

Nie ufaliśmy gospodarzowi, ale nie wiedząc, w czym mu nie ufać, ułożyliśmy się do snu, postanowiwszy wstać z kurami.

Naraz w nocy budzi mnie Winnetou.

— Niechaj mój brat posłucha — rzekł.

Nateżyłem słuch. Z ulicy donosił się słaby dźwięk, jak gdyby odjeżdżającego wozu. Po chwili dźwięk ten zamarł i zaległo ponure milczenie. Zasnęliśmy więc ze spokojnym sumieniem, ponieważ sądziliśmy, że gdyby Judyta usiłowała zejść po drabinie z „buduaru” musiałaby nas obudzić. Przecież wszystkich nas trzech, szczególnie zaś Winnetou, budził najlżejszy szelest.

Szarzało, kiedyśmy wstali. Ponieważ, *saloon* był zamknięty nie na klucz, tylko na drewnianą zasuwę, wyszliśmy przed dom, nie budząc gospodarza smacznie śpiącego w kuchni. Drabina, która stała tam wieczorem, obecnie oparta o ścianę zewnętrzną, przystawiona była do otwartego okna górnej izby, nazywanej przez gospodarza buduarem. Zauważyliśmy również drzwi, prowadzące bezpośrednio z kuchni na ulicę. Oczywiście w mig obudziliśmy oberżystę.

— Gdzie są damy, które nocowały na górze? — zapytałem.
— Wyjechały — odpowiedział, strojąc złośliwą minę. — Wypuściłem je.
— Ukradkiem, abyśmy nie spostrzegli, co?
— Bezwzględnie, *messurs!* Nie skąpię snu swym gościom. Dlatego też cicho otworzyłem drzwi kuchni i tak bez szmeru wyniosłem drabinę i przystawiłem do okna, że nie usłyszeliście nawet, czuwając. Cichutko też panie zeszły po drabinie.

Chętnie go za te kpinki spoliczkowałbym. Ale zapytałem tylko:

— Wie pan dokąd pojechały?

— Nie.

— A wszak pan wyprawił je powozem?

— Powozem? — zawołał zdumiony. — Skąd pan wie?

Przyszły mi na myśl słowa Judyty, skierowane do złotnika:

„*Mr Hunter* pomyślał o tym, abym mogła wkrótce się z nim spotkać. Czy zapowiedział przy pożegnaniu, że zostawi tu dla niej powóz?”

— Wiem, — odpowiedziałem — że zostawiono tu powóz dla niejakiej *Mrs Silverhill*.

— Skoro pan wie, to czemuż miałbym w żywe oczy kłamać? Powóz stał tam w szopie, niedaleko dworca. Musiałem go sprowadzić z Little Rock i zapłacić zań górę złota, aczkolwiek jest to tylko stary, zużyty kocz.

— W jakim więc kierunku pojechała?

— Co panu do tego?

— *Well*, jak pan chce, *sir!* No a teraz pokaż nam konie, które chcesz sprzedać.

— Nie sprzedam. Muszę otwarcie wyznać, że *Mrs Silverhill*, dama nadzwyczaj dobrze usytuowana, zapłaciła mi, abym wam nie sprzedawał koni.

— W takim razie sprzedadzą nam inni.

— Tu, w Gainesville? Jesteś pan w błędzie. Nie ma tu kopyta, które by do mnie nie należało. Piękne rumaki, bez kwestii. Czy mam je panu pokazać? Stoją w stajni.

Zapytał podłe złośliwym tonem i ręką wskazał ku stajni. Winnetou spode łba wysłał mi spojrzenie, które w lot zrozumiałem.

Rzekłem:

— Obejrzeć można w każdym razie. Zaprowadź nas, *master!* Mieliśmy przy sobie cały nasz dobytek. Poszliśmy za gospodarzem do stajni, oddalonej o dziesięć minut drogi. Mieściło się w niej dwanaście koni, z których kilka przypadło nam do gustu. Oberżysta jednak nie ustępował. Wówczas rzekłem:

— *Sir*, czy *Mrs Silverhill* wymieniła panu nasze nazwiska?

— Nie.

— Więc ja dopowiem. To jest Winnetou, wódz Apaczów, ja jestem Old Shatterhand, o którym pan zapewne słyszał, a ten pan to również mężczyzna, który nie da sobie w kaszę dmuchać. Sprzedaje pan konie, a te są nam właśnie potrzebne. Ale pan, szykanując nas, odmawia sprzedaży. Posłuchajże jegomość, co mu rzeknę, jest to nasz niezłomny zamiar, który nie ociągając się wcielimy w czyn. Kupujemy te dwa gniade i tamtego karego, i płacimy natychmiast gotówką po osiemdziesiąt pięć dolarów. Poza tym ustąpi nam pan trzech używanych siodła z cugłami po piętnaście dolarów za sztuką, co *summa summarum* stanowi trzysta dolarów. Nie zechce pan, dobrze, pójdziemy sobie. Ale co później nastąpi, to już nasza rzecz, a nie pańska!

— Jak to? Czy to prawda, czy to prawda? Pan jesteś Winnetou, a pan Old Shatterhand? — zawołał oberżysta. — Jeśli naprawdę, jakież to dla mnie zaszczyt! Z jaką dumą będę mógł rozpowiadać, że gościłem takich mężów w swoim *saloonie!* No tak, teraz mi się oczy otwierają *messurs!* To jest Winnetou, wódz ze srebrną strzelbą! A oto pańska broń, niedźwiedziówka i słynny sztucer! *Messurs*, bez słowa sprzedaję wam rumaki i siodła! Weźcie, weźcie je sobie! A oprócz tego powiem wam, dokąd te panie pojechały. Do Henrietta, gdzie zmienią zaprzęg.

Potem wyruszą poprzez Dryfurt Red River, aby dostać się na trakt kanadyjski, prowadzący do San Pedro i Albuquerque.

Nie spodziewałem się takiego zwrotu. Raczej byłem przygotowany na upór. W tym wypadku skoczylibyśmy błyskawicznie na wierzchowce, rzucili mu sto pięćdziesiąt dolarów i ruszyli bez siodła i cugli, co koń wyskoczy. Oczywiście, lepiej się stało, iż ustąpił.

Prosił nas, abyśmy wrócili jeszcze do „hotelu” i sami wybrali siodła. Uczyniliśmy zadość jego prośbie. Naraz zniknął na parę chwil. Powód niedługo pozostał w ukryciu. Za powracającym gospodarzem walił cały tłum i w mig zapełnił *saloon*. Zbiegli się mieszkańcy Gainesville, młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, aby nas nie tylko zobaczyć, ale po prostu pochłaniać oczami. Dowoli mogli się sycić naszym widokiem — nie przeszkadzali nam bynajmniej. Nikt nie śmiał pary z ust wypuścić. Najlepiej na tym wyszedł gospodarz, gdyż podczas niedługiego naszego pobytu pochłonięto tyle trunku, że twarz hotelarza wdzięczyła się w coraz szerszym uśmiechu. Z tego też zapewne powodu prosił, abyśmy wzięli jako nawiązkę zapas żywności. Naturalnie, nie odmówiliśmy. Okazało się, że posiadał mąkę i mięso w lepszym znacznie gatunku, niż to, którym nas poprzedniego dnia uraczył. Podarował nam także małą patelnię i trzy kubki, które mogły się przydać w drodze.

Tak zaopatrzeni, naszyliśmy, oczywiście w kierunku Henrietta. Tam dowiedzieliśmy się, że Judyta wyprzedziła nas o osiem godzin i wzięła konie nie tylko do zaprzęgu ale i zapasowe. Spodziewała się widocznie pościgu, gdyż uprzedziła w Henrietta, aby nam nie udzielano żadnych informacji.

Poparła to, oczywiście przyzwoitym napiwkim. Rozporządzała prawdopodobnie wielką sumą skoro zabrała tyle koni. A zatem odmawiano nam informacji. Gdy jednak Emery odprowadził na stronę chłopca stajennego i dał mu do łapy dwa dolary, malec odzyskał mowę. Opowiedział nie tylko, kiedy przyjechała i odjechała Judyta, lecz dodał, że niedawno był tu *gentleman*, który zarządził, aby ta pani nie traciła ani chwili czasu. Opisał owego *gentlemana* z taką dokładnością, że poznaliśmy Jonatana Meltona.

Łatwo było się domyślić, że Jonatan szczegółowo omówił z Judytą podróż i, wyprzedzając narzeczoną, ułatwił jej drogę. Wszak pieniądze miał pod dostatkiem.

A zatem Judyta zmierzała ku drodze do San Pedro. Miała po temu powody, albowiem tylko po tej drodze można było zmieniać konie. Ponieważ wiedzieliśmy, że dąży do Albuquerque, mogliśmy zboczyć z jej śladów. Jechała powozem. Aby zmieniać znużone konie cugowe, musiała obrać drogę okrężną. My natomiast mogliśmy jechać drogą prostą, wyprzedzić ją w Albuquerque, a tymczasem rozejrzeć się za Meltonami. Wprawdzie prosta droga miała swoje minusy — mianowicie prowadziła przez północną część Liano Estacado, pustynię podobną do Sahary, gdzie mogliśmy się spodziewać rozmaitych trudności i niedostatków. A jednak radziłem obrać ten kierunek. Emery nie godził się ze mną i motywował swój sprzeciw względami, które nie wytrzymały krytyki. Mimo to poparł go Winnetou. Rzekł:

— Mój brat zna owo płaskowzgórze niegorzej ode mnie. Jedzie się przez długie dni, nie znajdując kropli wody. Czy nasze rumaki, zniosą pragnienie?

— O tej wilgotnej porze roku można zdobyć wodą — odparłem.

— Ale nie na płaskowzgórzu, gdzie wiatr wysusza w lot każdą kałużę.

— Przynajmniej natkniemy się na zarośla kaktusowe. Nasze rumaki zaspokoją pragnienie wodnistymi owocami.

— Słusznie; owoce kaktusowe zawierają wiele wody. Nie pomyślałem o tym. Ale są inne jeszcze szkopyły. Czy Old Shatterhand wie na pewno, że Jobnatana Meltona można zastać w Albuquerque?

— Tak. Oczywiście, o ile Judyta nie kłamała.

— Na pewno nie kłamała. Ale czy Jonatan Melton nie mógł zatrzymać się po drodze?

— To nie jest wykluczone.

— W takim razie spotka się z Judytą, która mu powie, że ją ścigamy i że wiemy, dokąd dąży. A wówczas pojedą gdzie indziej.

— To wszystko mogłoby się stać tylko wtedy, gdyby przypadek zmusił go do zatrzymania się w drodze.

— Niekoniecznie. Mógłby zatrzymać się z własnej woli.

— Niepotrzebnie traciłby czas.

— Bynajmniej! Wszak mu wszystko jedno, czy czeka na Judytą w Albuquerque, czy też po drodze. Co więcej, w Albuquerque mogą go łatwiej odkryć i zdemaskować, niż gdzieś na pustkowiu.

— Hm! Nie mogę oponować. Ale po prostu czuję, że powinniśmy jechać wprost do Albuquerque.

— Wiem, że mój brat miewa nieokreślone przecucia i za ich głosem idzie. Ale w tym wypadku proszę, aby raczej słuchał głosu rozważli.

— Skoro Winnetou tak sądzi, nie waham się nad jego radą. A więc jedźmy w ślad za Judytą!

W Henrietta skompletowaliśmy nasz sprzęt podróżny i ruszyli z początku w kierunku, zachodnim, aż do dopływu Red River. Dotarliśmy tam wieczorem. Przeprowadziliśmy się nazajutrz i stąd skręciliśmy na północ, ku South Fork of Red River, gdzie stanęliśmy w południe.

Tu właśnie znajdował się Dryfurt, o którym nam mówiono. Bród zawdzięczał nazwą tej okolicy, iż rzeka w tym miejscu była tak szeroka i płytka, że jeździec, wyjąwszy czas powodzi, mógł ją przebyć, nie zmoczywszy nawet cholew.

Dotychczas mieliśmy dosyć paszy dla koni. — Widzieliśmy wyraźnie ślad powozu; teraz jednak ślad skręcał ostro ku północy–zachodowi, oddalając się od rzeki. Musieliśmy być przygotowani na to, że przez dłuższy czas nie będziemy mieli paszy, ani wody dla wierzchowców. Oczywiście, napiliśmy się ryczałtem i napoili konie, ile się zmieściło, po czym kontynuowaliśmy jazdę.

O wiele lepsza byłaby droga przez Camp Radzimsky i Fort Elliot, lecz Jonatan Melton z różnych powodów, które nietrudno odgadnąć, unikał miejsc zamieszkałych. Im mniej ludzi spotykał, tym czuł się lepiej.

Wspomniałem już, że Judyta wyprzedziła nas o osiem godzin. Dotychczas nie zdołaliśmy zmniejszyć tej odległości, przeciwnie, zdawało się, iż się raczej powiększyła. Aczkolwiek jechała ciężkim powozem, jednak miała tę nad nami przewagę, iż mogła zmieniać zaprzęg.

Roślinność, której nie brakowało między dopływami Red River, zniknęła zupełnie. Preria przeszła w pustynię, w piaszczystą pustynię, przez którą jechaliśmy cały dzień, nie widząc żdźbła trawy. Następnego dnia sunęliśmy znów po kamienistej pustyni, tak zwartej i twardej, że pomimo największej uwagi i wprawy, nie zdołaliśmy odbyć śladów powozu, tym bardziej, iż, jak sądziliśmy, kocz ubiegł nas o dzień cały. Aliści, tropiąc go, wpadliśmy na kałużę. Powitaliśmy ją z wielką radością, chociaż nie miała zbyt apetycznego zabarwienia. Piliśmy wodą, filtrując przez chustki. Napoiliśmy również konie, aż wreszcie w kałuży został jedynie szlam.

Odnaleźliśmy ślad na gruncie, który znów był piaszczysty, straciliśmy jednak drugi dzień na poszukiwaniach. Trop zatem pochodził z przed dwóch dni i tylko miejscami był widoczny.

— Głupia historia! — mówił Emery. — Jeśli tak dalej pójdzie, nie schwytemy tej paniusi do samej Kostuni!

— W każdym razie do Albuquerque — dodałem.

— Miałeś słuszość, że raczej należało jechać wprost do Albuquerque, a nie uganiać się za śladem.

— Przyznajesz mi rację, niestety, za późno. Wracać już nie można.

— A gdyby nawet można było, ja bym z tego nie skorzystał — wtrącił Apacz. — Może Jonatan Melton gdzieś tu w drodze wypatruje Judyty. A w takim razie na pewno dogonimy powóz.

— A gdzie się, według mniemania mego brata, Melton zatrzymał?

— W pobliżu wody, a więc tam, przy rzece Canadian, gdzie będziemy za dwa dni.

Potrząsnąłem tylko głową. Zbyt szanowałem doświadczenie Apacza, abym miał ostro wypominać błędy. Byłem innego zdania, uległem jednak jego woli, wobec czego wszelkie gderanie, a nawet zarzuty byty nie na miejscu. Lecz, zauważywszy mój ruch, Apacz rzekł:

— Mój brat ma jakieś wątpliwości?

— Tak. Sądzą, że nie dogonimy Judyty.

— Nawet, gdyby się spotkała z Meltonem?

— Nawet. Wszak będzie na nią czekał tylko do czasu jej przybycia, po czym natychmiast wyruszą dalej.

— *Uff!*. Może jednak pozwoli jej wypocząć.

— W żadnym razie, skoro się dowie o pościgu. Winnetou spuścił głowę i rzekł szeptem:

— Mój brat ma słuszość. Trzeba było posłuchać jego rady. Winnetou był głupcem.

Zabolało mnie bardzo, że taki człowiek, jak Winnetou, nazwał siebie głupcem. Zrehabilitował się jednak później o tyle, że istotnie dogoniliśmy powóz, niestety, innych zgoła okolicznościach, niż mógł przewidzieć.

A zatem do Canadian River mieliśmy dwa dni drogi, drogi bardzo uciążliwej. Jechaliśmy płasko wzgórzem. Wierzchowce brnęły w głębokim piasku, a żar piekł nas tak dokuczliwie, jak gdybyśmy się dostali do rozpalonego pieca. Jednakże pierwszy dzień dobiegł szczęśliwie do kresu. Po krótkim wytchnieniu chętnie byśmy pojechali dalej i wykorzystali miły chłód wieczora i nocy, lecz musieliśmy pozostać, albowiem w ciemnościach wszelki ślad ginał.

Nazajutrz znowu z radością spostrzegliśmy kałużę, którą wysuszyły wnet nasze rumaki. Koło południa dotarliśmy do miejscowości, zarośniętej kolczastymi kaktusami. Okrągły owoc zawierał płyn wodnisty, wprawdzie nie bardzo smaczny, ale zastępujący spragnionemu wodę. Wiedzą o tym także zwierzęta.

Wypiliśmy tego soku tyle, że ugasiliśmy pragnienie. Rumaki z apetytem pochłonęły całą masę owoców, z których uprzednio zdarliśmy kolce. Potem tuszyliśmy dalej. Liczyliśmy na to, że pod wieczór natkniemy się na jakiś dopływ Canadian River. Tam nie zbywałoby nam na wodzie i trawie.

Wkrótce po południu atmosfera stała się tak duszna, że ledwo mogliśmy oddychać. Widnokrąg zachodni zabarwił się na czerwono. Winnetou spoglądał ostro na złowrogą łunę.

— Wygląda tak, jakby się zbliżał *samum* — zauważył Emery.

— Toteż się zerwie! — odpowiedziałem. — To szczęście, że niedaleko do rzeki. Nie ma żartów ze szturmem na Llano Estacado.

— Mój brat Shatterhand nie myli się — potwierdził Winnetou. — Gdy duch Liano wychyla się z głębin, szturmuje wściekle po pustyni, rzuca ku niebu piasek i wyrывa z korzeniami lasy, które napotka.

— Do pioruna! I sądzicie, że oczekuje nas z tym złym duchem przeprawa?

— Wisi w powietrzu — Winnetou poznaje bardzo dokładnie. Niech moi bracia kłują ostrogami wierzchowce. Jeśli nie chcemy dać się pogrzebać między chmurami a piaskiem, musimy czym prędzej dotrzeć do miejsca, gdzie siła burzy nie przejawia się pełni.

Pomknęliśmy, co koń wyskoczy. Nasze rumaki, instynktem przeczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo, same natężyły wszystkie siły.

Czerwony odblask na horyzoncie rozlewał się coraz szerzej po niebie. U góry jasny, w głębi zaś ciemny, podniósł się aż pod zenit i napływał ku północy równocześnie ze strony zachodniej i wschodniej. Wyglądało to nader groźnie, i nie tylko wyglądało. Wiedziałem, co się święci, albowiem przebyłem już kilka takich burz w Llano Estacado.

Upłynęły bez mała dwie godziny, już za kwadrans mogła wybuchnąć burza, a jednak konie ledwo sunęły naprzód. Nic nie pomagały ostrogi i smagania, zresztą wierzchowce dobywały resztek sił. Oszczędziliśmy im zatem zbytecznych mąk i z upragnieniem wypatrywaliśmy ratunku.

W pewnej chwili ze wschodu wyłoniła się mała, ale bardzo wydłużona wyżyna. Piasek tu był mniej głęboki, miejscami wyzierała nawet ziemia ze żdźbłami trawy.

— Kres pustyni! — zawołał Winnetou. — Widzisz ten drugi pagórek na wschodzie i to samotne, wyschnięte drzewo tam, na wprost nas, bracie Shatterhand?

— Tak — odparłem.

Istotnie, w głębi widnokregu, wprost przed nami, wznosiło się wysokie, suche, prawie doszczętnie pozbawione gałęzi drzewo.

— Czy poznajesz ten pagórek i to drzewo?

— Poznaję. Jesteśmy ocaleni. Tu się zaczyna trawa, a o kwadrans jazdy od drzewa spływa mały strumyk ze wzgórza.

Dopingowaliśmy wierzchowce uderzeniami i wypędzali z nich dech ostatni. Chodziło wszak nie tylko o nasze, lecz i o ich życie. Gnały z wysuniętymi jęzorami. Gdybyśmy je osadzili, na pewnoby runęły z miejsca. Smagaliśmy rumaki, gwizdali, krzyczeli i wyli, aby nie pozwolić im się zatrzymać. Przemknęliśmy koło drzewa po trawniku, a teraz wyłonił się zagajnik, z pomiędzy krzewów lśniła woda, dalej, dalej, w krzewy poprzez wodę, znów przez krzewy i oto się zatrzymaliśmy!

Konie oszczędziły nam skoku podczas zsiadania, gdyż natychmiast padły. Boki drgały, pyski pienily się, jęzory leżały wyciągnięte, oczy zawarły się bezsilnie.

— Zerwać koce! — krzyknąłem. — Pocierać zwierzęta i smagać różgami, aby nie zmarzły! Musimy je uratować. Bez nich zginiemy?

Mówiąc to, porwałem swój koc i ściałem kilka ulistnionych gałęzi z zagajnika. Winnetou poszedł za moim przykładem bezzwłocznie.

— Smagać różgami biedne zwierzęta? — zapytał Emery, oglądając mnie ze zdumieniem.

— Tak! Prędszej weź pled i pocieraj konia, szczególnie po torsie!

— Aby nie zmarzł?

— No tak!

— Szaleństwo! W tym upale...

— Poczekaj! Oto masz różgi!

Wziął, patrząc na mnie ze zdumieniem, i rzekł:

— Czemu zapaściliśmy się tak głęboko w zagajnik? Czy nie lepiej było zatrzymać się nad strumykiem? Tam jest woda, której najbardziej pragnęliśmy.

— Niebawem się przekonasz! Rób szybko to samo, co my!

Z całej siły tarłem konia, to samo robił Apacz. Anglik naśladował nas, chociaż niewiele rozumiał.

I oto nastąpiło! Nad nami w powietrzu trąbiło, niczym puzon lub trąba. Potem zabrzmiały setki gwizdzących, wyjących, piszczących i ostrych głosów. Uchwycił nas przeraźliwy żar i naraz, znienacka, ogarnął taki mróz, jaki chyba nie panuje na biegunie. Znałem to, wiedziałem, jakie niebezpieczeństwo grozi koniom. Smagałem swego wierzchowca różgą, nie aby mu ból sprawić, lecz by spędzić krew pod skórę. Winnetou i Emery, który już wiedział o co mi chodzi, uwijali się z nie mniejszą gorliwością.

Mróz trzymał nie dłużej jak minutę, był jednak tak ostry i siarczysty, że ta jedna minuta po zmęczeniu poprzednim i po rozgorączkowaniu mogła nasze konie o śmierć przyprowadzić. Dzięki uderzeniom i wcieraniu rumaki nie odczuły zgubnej potęgi przymrozku w całej jego grozie.

Następnie wrócił poprzedni żar. Niesamowite trąbienie w powietrzu umilkło, natomiast rozbrzmiewał potężny poszum. Powietrze nie było już przezroczyste. Ledwo mogłem dojrzeć towarzyszków. Wiedziałem, że mnie nie usłyszą, krzychałem jednak na całe gardło:

— Padnijcie głowami na północ! Trzymajcie się mocno, inaczej porwie was wicher!

Tak, minęły już zwiastuny — i oto zjawiał się sam huragan. Powietrze było wypełnione piaskiem, który przenikał do każdego otworu. W przeciągu kilku sekund miałem zatkałe oczy, uszy i nos, mimo że ukryłem twarz w kocu. Z największym wysiłkiem łapałem dech. Można się było zadusić.

Trwało to niespełna trzy minuty, po czym zapanował spokój. Leżała na nas warstwa piasku, wysoka na osiem do dziesięciu cali. Lecz powietrze było czyste i jasne. Podnieśliśmy się i zaczęli wdychać je z rozkoszą.

Na południu ujrzeliśmy niezwykły widok. Mimo że powietrze było czyste i jasne, zamiast nieba widniała tam rozległa równina piaszczysta, na której krańcu wznosiło się wysokie, suche drzewo, prawie bez gałęzi.

— *Fata margana!* — zawołał Emery.

— Tak, jest to złudne odbicie Liano Estacado, które często następuje po, burzy lub ją poprzedza — odparł Apacz.

— Spójrz, — dodałem — widzimy okolicę, leżącą na południu. Ludzie zaś, znajdujący się teraz na północy widzą nas lub może widzieli przed buczą. Miraż powstaje dzięki dwóm rozmaicie nagrzanym warstwom powietrza, o różnej gęstości i objawia się w sposób rozmaity. Ale zwróćmy raczej uwagę na nasze wierzchowce! Zmęczenie, spiekota a potem zimno, burza i ponowny żar, to wszystko musiały przeżyć. Trzeba je tymczasem nacierać, a później dopiero spróbować, czy zdołają powstać i kontynuować jazdę.

Tak się też stało. Po kwadransie konie mogły powstać. Wsiedliśmy i jechali dookoła dziesięć minut, aby zapobiec zbytniemu zesztynieniu ich członków. Nie powinny były jeszcze pić. Uwolniliśmy murawę od piasku i pozwolili wierzchowcom popasać.

Teraz można było pomyśleć o sobie. Oczyściliśmy się z piasku, usiedli i skracali czas rozmową.

— Znaliście to drzewo i ten pagórek? — zapytał Anglik Winnetou. — A ty, Charley, wiedziałeś, że za drzewem płynie strumyk? A zatem byliście już tu kiedyś?

— Tak.

— Dlaczego nie zatrzymaliście się koło strumyka?

— Ponieważ trzeba było jak najgłębiej wszyć siew zagajnik. Im więcej było za nami krzewów, z tym mniejszą siłą uderzyła w nas burza. Gdyby nas zastała na otwartej równinie, rozrzuciłaby na rozmaite strony. Na szczęście, burza dzisiejsza nie była znowu tak silna.

— Tak, hm! Ta miejscowość musiała wam się wryć w pamięć, skoro ją natychmiast poznaliście.

— Stanowczo. Gdybyś obejrzał szczegółowo drzewo, spostrzegłbyś, że nie starość jest powodem jego wyschnięcia, lecz ogień.

— Ach! Pożar lasu na skraju Liano Estacado?

— Nic podobnego. Ten płomień był ogniem radosnym dla Komanczów, a bolesnym dla mnie i Winnetou.

— Do pioruna! Chciano was usmażyć?

— Tak. Nie tylko nas, ale także czterech naszych towarzyszy.

— Człowieku, nie miałem o tym pojęcia! Opowiedzże czym prędzej!

— Winnetou i ja przybyliśmy z Sierra Guadelupe i dążyli poprzez pustynne Staked Plains ku fortom Griffin. Znaliśmy dobrze pustynię i nie lękaliśmy się, tym bardziej, że mieliśmy żywności sporo i dwa wory, napełnione wodą. Na połowie drogi spotkaliśmy się z czterema osobami, które przybyły z fortu Davis i jechały do fortu Dodge...

— Osobliwa i niebezpieczna droga! Z Rio Grande aż do Arkansas! W linii powietrznej stanowi to mniej więcej sześćset mil. Cóż dopiero wzdłuż pustyni Liano! Czyż nie mogli jechać drogą okrężną?

— Nie tylko mogli, ale nawet powinni byli. Niestety, nie zdali sobie z tego sprawy, tym bardziej zaś ci, którzy ich wysłali. Dowiedziałem się od nich tylko tyle, że chodzi o świetny interes, na którym można sporo zarobić w razie szybkiego załatwienia. Nie było zatem chwili do stracenia. Dlatego też wysłańcy musieli jechać drogą prostą, prowadzącą przez dzilie Llano. Byli to dwa i młodzi kupcy i nie znali Zachodu. Towarzyszyli im dwaj przewodnicy — myśliwi, którzy wprawdzie byli już raz w Llano, ale nie w głębi. Nie wiedzieli zatem, jak przebyć tę przestrzeń z południa na północ.

— Co za głupota! Powinni byli zjechać w dół Rio Grande, wsiąść na okręt do Nowego Orleanu, po czym dostać się na Missisipi i Arkansas.

— Tak. Albo mogli jechać w górę Rio Grande i poprzez Nowy Meksyk dotrzeć do Santa Fé, aby stamtąd udać się szosą do Arkansas. Jedną albo drugą drogą rychlej by dotarli do celu, niż poprzez Llano, nawet gdyby droga nie nastroczała szczególnych trudności.

— A trudności nastrocza aż zbyt wiele!

— Niestety! Po prostu rzucali się w objęcia śmierci. Kiedy ich spotkaliśmy, leżeli w piasku niemal zemdleni wraz ze swymi końmi. Gdyby nie sprowadził nas przypadek, zginęlibyście. Nieco wody postawiło ich jako tako na nogi. Zaprowadziliśmy ich do pobliskiego strumyka — miejsce to znał Winnetou. Radziliśmy im jechać do fortu Griffin. Ale błagali, abyśmy ich odprowadzili na północ, tak bardzo, że się po długim wahaniu zgodziliśmy. Zrezygnowawszy z dalszej drogi pojechaliśmy na północ.

— Narażaliście się na wielkie niebezpieczeństwo!

— Rozumie się. Nie wiem, czy dziś, kiedy mam większe doświadczenie, ważyłbym się na coś podobnego. Toteż później bardzo żalowaliśmy. Winnetou liczył na dwa źródła wody po drodze. Lecz jedno musieliśmy ominąć, albowiem zebrała się tam liczna kompania wszelakich rozbójników, a drugie było prawie do dna wyschnięte. Odrobiną wody napoiłmy konie, sami zaś pojechaliśmy dalej, paleni ostrym pragnieniem.

— I to wszystko dla szaleńczych pokus obcych ludzi?

— Tak. Byli to wprawdzie obcy, ale zawsze ludzie, jak słusznie rzekłeś. Ty sam zrobiłbyś na naszym miejscu to samo z nie mniejszą gotowością. Znam cię, Ermery!

— *Pshaw!* Ale opowiadaj dalej!

— Pozwoliliśmy się ciągnąć koniom, dopóki można było. Ta niewielka ilość wody nie starczyła na długo. Już nazajutrz wierzchowce ledwie powłóczyły nogami. Odpoczęliśmy do następnego dnia, po czym poszliśmy nieco wzmocnieni na siłach.

— Nie. Wierzchowce były zbyt osłabione. Koło południa zakłuliśmy jednego i pili jego krew.

— Fúj!

— Nie mów fúj, zrobiłbyś to samo! Wieczorem musieliśmy zakłuć drugiego. Czemu nie? I tak niebawem by zdechły. Z trzecim załatwiliśmy się w nocy. Nazajutrz zakłuliśmy pozostałe. Krew koni zachowała nas przy życiu, ale gdybym ci miał powiedzieć, jak nam było na duszy i w jakim byliśmy stanie to muszę przyznać — nie potrafiłbym. Przekonałem się, iż krew istotnie upija, być może zresztą, że tylko w stanie nadmiernego osłabienia. Chromaliśmy, potykali się i padali wciąż na nowo, padaliśmy i podnosili się, szli — naprzód, znów rozciągali, i takeśmy już wreszcie pozostali.

— To straszne! Gdzie się to działo?

— Niedaleko stąd, być może o godzinę drogi, na południowy zachód od drzewa, któreś poprzednio widział.

— Teraz pojmuje! Zaskoczyli was Komanczowie i, oczywiście, schwytali bez sprzeciwu.

— Otóż właśnie. Leżałem omdlały na ziemi. W gorączce majaczyły mi się przeróżne szalone obrazy. To samo działo się z Winnetou, jak mi później wyznał. Naraz rozległ się krzyk i wycie dokoła nas. Usiłowałem się podnieść — na próżno! Padłem w omdlenie. Gdy

oprzytomniałem, byłem związany. Obok leżał Winnetou i czterej towarzysze, a dookoła rozłożyli się Komanczowie.

— Iluż ich było?

— Zebrałem całą przytomność umysłu i zliczyłem czternastu.

— Tylko?

— Tak, tylko! Czternastu zdrowego, silnego chłopca wobec sześciu umrzyków.

— Nie unos się, przyjacielu! Nie myślę stawiać wam zarzutów. Nie byliście zdolni do obrony. I co dalej?

— Czerwoni nakarmili nas i napoili, ale nie myśl, że z poczucia humanitaryzmu. Pragnęli nas wzmocnić, abyśmy tym dotkliwiej odczuli męki przedśmiertne. Skoro mogliśmy już chodzić o własnych siłach, zaprowadzono nas tutaj i dano jadła i napoju, ileśmy tylko pragnęli. Spędziliśmy tak całą noc, po czym zaprowadzono nas do drzewa, gdzie mieliśmy spłonąć, albowiem tak postanowił wódz.

— Ach, był wódz z nimi?

— I to nawet bardzo znakomity. Nazywał się Atesza-Mu — Silna Ręka. Słynął jako najbardziej wojowniczy wódz Komanczów. A zatem przyprowadzono nas do drzewa. Z początku przywiązano obu kupców do pnia i rozpalono pod nimi ognisko. Skoro wyzionęli ducha przysła kolej na obydwu myśliwych. Winnetou i ja mieliśmy zginąć ostatni.

— I musieliście się przyglądać, jak tamci obaj spłonęli?

— Tak. Widok był okropny, ale głosy jeszcze straszliwsze. Scenę tę wolę pominąć milczeniem. Jeszcze dziś wzdrygam się cały, skoro o niej pomyślę. Wreszcie skazańcy umilkli, a wówczas zabrano się do nas.

— Szybciej, szybciej! Opowiadaj szybciej; abym się czym prędzej dowiedział, w jaki sposób ocaleliście!

— Muszę ci przede wszystkim powiedzieć, że pozbawiono nas wszystkich rzeczy.

— Także twojej broni, sztucera i niedźwiedziówki?

— Sztucera jeszcze nie posiadałem.

— A srebrna strzelba Winnetou?

— Wódz zabrał, jako osobistą zdobycz. Podczas egzekucji trzymał ją w ręku. Wiedzieliśmy, że strzelba jest nabita. Koni w pobliżu nie było, albowiem zostawiono je tutaj, nad strumykiem.

— Oczywiście, pod nadzorem?

— Nie. I to była wielce szczęśliwa okoliczność. Muszę wspomnieć, że ja i Winnetou odzyskaliśmy w pełni siły. Dodam nawet, że wściekłość, która mną targęła, podwoiła je na pewno. Zdawałem sobie z tego sprawę. Przy wodzu stał syn, młody, barczysty wojownik, który nosił torbę ze śrutem Winnetou. Po tych uwagach odgadniesz chyba resztę. Mieliśmy iść od strumyka do drzewa. W tym celu odwiązano nam nogi. Ręce mieliśmy skrępowane na plecach. Winnetou rzucił mi wymowne spojrzenie, wskazujące na drzewo i strumyk. Nikt, oprócz mnie, tego nie zauważył. Byliśmy związani tak samo, jak nasi nieszczęśliwi towarzysze. Otóż zauważyliśmy, że przed drzewem odwiązano ich, ustawiono twarzą w twarz, zmuszono, aby się objęli, po czym dopiero przywiązano do drzewa. To objęcie zostało wymyślone przez wyrafinowanych czerwonych, aby powiększyć katusze, my jednak upatrywaliśmy w nim ocalenie. Gdyby chciano nas zmusić do objęcia się, musiano by wszak odwiązać nam uprzednio ręce, skrępowane na plecach — przynajmniej na parę chwil. Tych parę chwil wystarczyłoby w zupełności.

— Ale złe, straszne chwile, jakich nie chciałbym przeżyć!

— Przeżyłeś już bardziej niebezpieczne. Stało się tak, jak się spodziewaliśmy. Wódz skinął na syna i na drugiego wojownika. Tamten podszedł do Winnetou, ten do mnie. Rozsupłał rzemienie i chwycił mnie mocno za rękę, aby podprowadzić do Winnetou, który był także wolny, — wszak mieliśmy się objąć. Lecz Winnetou z szybkością błyskawicy lewą ręką zerwał z młodzieńca torbę ze śrutem, a prawą wyrwał z rąk wodza swą srebrną strzelbę. — W te

chwili, zwolniony z uścisku mego niedoszłego kata, wyrwałem mu nóż zza pasa jedną ręką, drugą zaś uderzyłem tak, że aż fiknął koziołka. Za mną stał Indianin z moją niedźwiedziówką. Odzyskać ją i zwać wraz z Winnetou ku strumykowi — było rzeczą jednej chwili.

— Nie ścigano was kulami?

— Nie. Wątkonie byli tak zaskoczeni, że tylko rozdziawili gęby. Wprawdzie nie zdołałem tego zobaczyć, gdyż nie była pora na spoglądanie wstecz. Wkrótce rozległo się okropne wycie — rzucili się za nami! Ubiegliśmy ich jednak o taki szmat drogi, że niepodobna było nas doścignąć. Skoro dotarliśmy do pierwszego zagajnika Winnetou zatrzymał się i zastrzelił pierwszych dwóch prześladowców. Moja nabita niedźwiedziówka położyła trupem dwóch następnych. Pozostali nie wazyli się zbyt gorliwie nas ścigać — zatrzymali się tedy i jęli naradzać. Po chwili rozbiegli się w rozsypkę, aby nas zająć z rozmaitych stron. Skorzystaliśmy z tej przerwy, aby wybrać najlepsze rumaki i pojechać bez pożegnania.

— Co za szczęście! I to wszystko opowiadasz takim obojętnym tonem, jakbyś recytował tabliczkę mnożenia.

— Jakimże tonem mam opowiadać? To nic wielkiego. Czerwonoskórzy sami ułatwili nam ucieczkę. Ale teraz zaczęliśmy ich prześladować. Poczwórne morderstwo wołało o pomstę do nieba. Mściliśmy się. Czterech ukatrupiliśmy z początku, nazajutrz znowu czterech, następnego dnia trzech.

— Razem jedenastu. Czternastu ich było, pozostało więc trzech.

— Rachunek sprawdza się. Wszyscy zasłużyli na śmierć, atoli jeden powinien był ocaleć, aby swoim opowiadać, jak Winnetou potrafi pomścić zabójstwo. Zaskoczyliśmy ostatnich trzech nad Canadian, w miejscu, które Komanczowie nazywają Keapa-yuay, to jest Dolina Śmierci. Istotnie, dla dwóch Komanczów była to dolina śmierci.

— Wódz już nie żył?

— Żył jeszcze. Należał do tej ostatniej trójki. Chowaliśmy go na ostatek, aby tym dłużej widział przed sobą pewną śmierć. Potem jednak zastrzeliliśmy go, a także jednego z towarzyszy, drugiemu zaś pozwoliliśmy drapnąć.

— A co się stało z trupami?

— Pogrzebaliśmy wraz z ich własnością. Naturalnie odebraliśmy jednak wszystko, co złupili z nas i z naszych towarzyszy. Między innymi kilka listów z fortu Davis, które następnie odwieźliśmy do fortu Dodge. Atesza-Mu, jako wódz, spoczął w odpowiedniej mogile. Winnetou nie odmówił mu tej posługi, aczkolwiek był jego śmiertelnym wrogiem. Ułożyliśmy go do szczeliny skalnej z orężem w raku.

— Czy spoczywa tam jeszcze? Drapieżne ptaki chyba przeniknęły do szczeliny i rozdziobały go doszczętnie?

— Bynajmniej, zawaliliśmy szczelinę kamieniami. Indianin, któremu darowaliśmy życie, musiał to widzieć, gdyż Komanczowie znają grób Silnej Ręki. Musiał im zatem miejsce określić, albo ich tam zaprowadzić.

— Skąd wiesz, że znają?

— Byłem tam po raz drugi z Winnetou. Zamiast wielu kamyków, którymi zatkaliśmy szczelinę, siedział mocno jeden wielki głaz. A więc zwiedził ktoś i uczcił mogiłę swego wodza. Teraz wiesz już, w jakich warunkach zawarliśmy znajomość z tą miejscowością. Drzewo trzyma się jeszcze, lecz ogień Komanczów pozbawił je życia.

— To ciekawy dreszczyk — obozować na tym samym miejscu, na którym leżeliście spętani.

— Ciekawy? Nie jest to odpowiednie określenie. Najchętniej bym się stąd wyniósł. Jakiego zdania jest Winnetou?

Lecz Winnetou sądził, że trzeba zostać na miejscu. Wieczór zbliżał się szybko — nie zbywało nam tutaj na wodzie i paszy. Czegóż jeszcze można było pragnąć! Jednakże czułem w sobie jakaś niejasną niechęć.

Konie, wietrząc pod warstwą piasku paszę, odgarniały ją kopytami, niczym renifer, wydobywający mech spod śniegu. Teraz można je było napić.

Następnie zbadaliśmy dokładnie okolice, albowiem tutaj, w pobliżu rzeczki, łatwiej było o spotkanie, niż na bezpłodnej równinie. Dla *westmana* zaś każde spotkanie łatwo może przyjąć niebezpieczny obrót. Dlatego badałem okolice bardzo skrupulatnie, ale nie odkryłem nic podejrzanego. Już miałem wrócić do swoich, gdy padł strzał. Nie przeląknęłam się bynajmniej, myśliwy poznaje natychmiast odgłos każdej znajomej broni. Poznałem, że strzelał Emery. A że strzał się nie powtórzył, nie było powodu do troski. Skoro wróciłem do obozu, zobaczyłem, że Emery upolował tłustego ptaka. Nie wzięliśmy mu tego za złe, bo też spragnieni byliśmy smacznego mięsa.

Upatrzawszy miejsce na nocleg, roznieciliśmy ogień, aby usmażyć indyka. Smakował nam wymśnienie, lecz zjedliśmy tylko połowę, drugą zachowując na jutro.

Na jutro! Jak gdyby człowiek mógł dysponować jutrem! Nie, nawet najbliższą godziną! Zachowana połówka indyka była przeznaczona nie dla nas, tylko dla ludzi, którym najmniej mogliśmy jej życzyć!

Rozumie się, że nie spaliśmy wszyscy naraz. Każdy musiał na przemian czuwać. Z początku, później Winnetou, a następnie Emery. Koło północy zluzowałem Anglika zgasilem ognisko, które nie było nam potrzebne. Po godzinie obudziłem Winnetou i zapadłem w głęboki sen. Przebudzenie nastąpiło w innej sytuacji, niż sobie wyobrażałem. Tymczasem męczył mnie zły sen. Oto leżałem w domu na łóżku. Naraz drzwi aczkolwiek były zaryglowane od wewnątrz, otwierają się i staje w nich mała, tęga, podobna do małpy postać, która jednym susem skacze na łóżko, siada na mej piersi i owija mą szyję długimi owłosionymi ramionami. Nie mogę oddychać, poruszyć się, zawołać o pomoc. To była zhora!

Zhora! Gdy zhora dusi trzeba tylko wymówić to słowo, aby natychmiast ucisk znikł, pozwalając swobodnie odetchnąć. Tak ludzie mówią, i musi to być prawdą, gdyż ledwo wymówiłem słówko „zhora”, poczułem się lepiej i mogłem odetchnąć. Przebudziłem się ze snu.

Ach! Nie leżałem w domu, tylko tu, w pobliżu rzeki Canadian!

— Winnetou! — zawołałem.

— Szarlieh! — odpowiedział.

Leżał koło mnie. Chciałem go dotknąć, ale nie mogłem rękoma. Były przywiązane do pasa. Nogi? Te również były skrępowane. Chciałem się unieść, ale od razu upadłem z powrotem — powróz czy rzemień ścisnął mi szyję!

Czy śniłem jeszcze, czy była to rzeczywistość? Widziałem nad sobą gwiazdy, które już bladły, a dookoła zagajnik. Ale cóż to, u licha! Między krzewami siedziało mnóstwo ciemnych postaci. Zapach tłuszczu tego niezbędnego przyboru toaletowego Indian, mówił mi, że są to Czerwonoskórzy. Żaden sianie poruszył żaden nie wyrzekł słowa.

Wyglądało to jak sen, a jednak wiedziałem, że nie śnię. Byłem spętany. Tak samo Winnetou. A Anglik? Z gwiazd poznałem, że jest godzina trzecia. A więc godzina jego warty.

— Emery? — zapytałem.

— *Well*. — odpowiedział.

— A więc i ty!

— W ordynarny sposób zaskoczony!

— Podczas warty?

— Niestety! Podeszli mnie, jakby spod ziemi. Uwiesili się na szyi, na ramionach, nogach, z tyłu, z przodu, z góry, z dołu. Ścisnęli mi grdykę, że nie mogłem wydać dźwięku ostrzegawczego.

— Kto?

— Czerwoni.

W tej chwili rozległo się w pobliżu:

— *Master Bothwell* nie może panu wytłumaczyć szczegółów. Ja za to służę informacją. Dostał się pan w ręce *Ayat-Uh*.

Ayat-Uh znaczy Wielka Strzała — wódz *Komanczów*, znany powszechnie ze swego okrucieństwa. Skoro się znajdowaliśmy w mocy tego człowieka, nie było dla nas wielkiej nadziei. Nie widziałem go jeszcze na oczy, ale słyszałem, że jest to dosyć młody człowiek.

Kto jednak przemawiał do mnie? Odwróciłem głowę. Było jeszcze dosyć ciemno, ale dojrzałem że nosi odzienie białych. Co prawda mogłem się nie odwracać. Poznałem go po głosie. Był to *Jonatan Melton*!

— Odwraca pan ode mnie oczy? — śmiał się. — Czy jestem panu tak wstrętny, czy też nie poznaje mnie pan. Powiedz, czy wiesz, kim jestem?

Milczeć było śmiesznie i nierozsądnie — wszak mogłem zasięgnąć języka. Dlatego też odpowiedziałem, lecz niezbyt grzecznie:

— Kim jesteś? Największym łotrem i łajdakiem, jakiego w życiu spotkałem!

— Jest to uprzedzenie, wielkie i niesprawiedliwe uprzedzenie, *sir*. Jestem uczciwym człowiekiem, przynajmniej w stosunku do pana. Mam panu dowieść?

Nie odpowiedziałem. Mówił dalej szyderczo:

— Chyba będzie panu przyjemnie przekonać się, że jestem uczciwy. Dowiesz się wkrótce, że nie kłamię. Wszak przyzna pan, sam, iż mam ci wiele, bardzo wiele do zawdzięczenia?

— Tak.

— No, więc zamierzam odplacić pięknym za nadobne, odplacić wraz z odsetkami od odsetek. Czy to nie uczciwe postępowanie?

— Jestem zachwycony!

— Nieprawdaż! Tak właśnie sądziłem. Będę nawet jeszcze wspaniałomyślniejszy, niż pan sądzi. Chętnie by się pan pewnie dowiedział, jak się znalazłeś w obecnej sytuacji i czego możesz się spodziewać?

— Owszem.

— A więc! Nie uważaj mnie pan jednak za nieroztropnego głupca. Opowiem wszystko, ponieważ wiem, że moje słowa zabierzesz ze sobą do grobu. Pańska awanturnicza rola dobiega kresu. Nie potrafi mi pan żadnej krzywdy wyrządzić, albowiem testament twój już przypieczętowany. Jesteś jeńcem Wielkiej Strzały. Czy wiesz, jak się nazywał jego ojciec?

— Nie.

— *Silna Ręka*. Zamordował go i pogrzebał w Dolinie Śmierci. Dlatego oczekuje was najokrutniejsza śmierć, jaką wyobraźnia ludzka może upatrzeć. Wraz z *Winnetou*, który był wówczas świadkiem zajścia, będziesz pogrzebany żywcem przy kościach zabitego wodza. Wielka Strzała przysiągł, a wie pan, że *Indianin* w takich okolicznościach przysięgi nie łamie. A teraz *sir*, jak panu na duszy?

— Bardzo dobrze.

— pięknie! Będzie panu jeszcze lepiej. A zatem masz długo, powoli konać w mogile kamiennej. A ponieważ obdarza mnie pan wielką przyjaźnią, upiększą pańską śmierć i pozwolę ci zabrać ze sobą do piekieł pewność, że będę się czuł na ziemi, niczym w niebie. Ponadto chcę jeszcze przed pańskim zgonem wyznać, że jestem istotnie tym, za kogo mnie uważałeś.

— Ta znaczy, *Jonatanem Meltonem*, oszustem. *Nieboszczyk* zaś, pogrzebany w wąwozie *Uled Ayarów* był prawdziwym *Smallem Hunterem*?

— Tak.

— *Kolorasi* jest pańskim ojcem?

— Tak. To on zastrzelił *Huntera*. Sądziliśmy, że nie wygrzebie się pan z rąk *Uled Ayarów*. Bęcwały pozwoliły panom drapnąć. Nic to, nas przecież nie dogoniliście. Pojechaliśmy natychmiast do *Nowego Orleanu* gdzie od dawna przygotowano dla nas teren.

— Czynił to stryj pański?

— Tak. Otrzymał depeszę i listy, które wyprzedziły nasz przyjazd. Szybko wykorzystaliśmy okazję. Sądził pan, że działałeś chytrze, ale teraz przyznasz chyba, żeś fuszer. A nade wszystko cieszy mnie to, że ubiegłem pana przy *Mrs Silverhill*. Musiało panu mocno dolegać, kiedy mu dała kosza?

— Kiedy?

— W Sonorze, gdzie tak często padał pan przed nią na klęczki.

— Ja? — zapytałem, śmiejąc się, mimo sytuacji bynajmniej nie usposabiającej do śmiechu.

— Tak, pan! Śmieć się pan, nie oszukasz mnie. Jakże promieniało pańskie oblicze, gdy ją zobaczyłeś w Nowym Orleanie!

— Promieniało? Moje oblicze? To nieźle!

— *Pah!* Z zachwytu zgłupiał pan po prostu!

— Prawdopodobnie padłem przed nią znów na klęczki!

— Naturalnie, naturalnie! Przyznaj się, *sir!*

— Tak, mam zwyczaj padać na kolana przed każdą niewiastą. Oczywiście, ona to panu opowiedziała?

No tak! A skądże mógłbym wiedzieć? Jakże się serdecznie siniała, opowiadając o tym, jak zamknęła cię na klucz i odeszła. Spodziewam się, iż powiedziała panu, że jest moją narzeczoną?

— Tak.

— Przyznaj się pan, me tylko dla mnie jechał pan za nią!

— Naturalnie, naturalnie!

— Powiedziała wszystko. Być może nawet, dogoniłby ją pan, gdybym uprzednio nie poczynił odpowiednich zarządzeń. Czy mówiła panu, że pojechałem do Albuquerque i że się tam spotkam z ojcem i stryjem?

— Tak.

— I że następnie pojedziemy do jej zamku, gdzie zamierzam sobie urządzić spokojne i ciche życie?

— I to także.

— A więc wiesz wszystko i nie mam nic więcej do dodania, prócz tego, że tęsknota za nią nie pozwoliła mi jechać dalej. Zatrzymałem się w Canadian, aby tu na nią poczekać. Skoro przybyła, pojechaliliśmy natychmiast dalej. Jak widzę teraz, ubiegliśmy was o dwa dni drogi. Lecz nie zdążyła jeszcze Judyta zdać relacji, gdy wpadliśmy w ręce Komanczów. Śmierć zajrzała nam w oczy, lecz nagle przysłała mi do głowy znakomita myśl. Może pan odgadnie?

— Tak.

— Wiedziałem, że panowie nas ścigacie...

— Lecz nie wiedział pan wszak o krwawej zemście, którą poprzysięgli nam Komanczowie?

— Nie, ale wiem bardzo dobrze, że Komanczowie żyją z Apaczami w odwiecznej niezgodzie. Zaproponowałem tedy Wielkiej Strzale interes, który mógł wilka nasycić i owcę ocalić. Żądałem, aby wypuścili nas i nasze mienie, w zamian zaś przyrzekłem wskazać miejsce, gdzie można schwytać Winnetou.

— Zgodził się?

— Z przyjemnością, tym bardziej, że się dowiedział, iż Apaczowi towarzyszy Old Shatterhand.

— Ale nie ufał wam, wszak was jeszcze nie puścił na wolność.

— No tak. Nie mógł przecież wykonać mego warunku, dopóki nie wywiązałem się ze zobowiązania. Było rzeczą pewną, że schwytemy was na tropie Judyty. Wyjechaliliśmy przeto na spotkanie. Nagle wybuchnął orkan i *fata margana* ukazała nam trzech jeźdźców, zbliżających się w galopie do strumyka. Któż to mógł być, jeśli nie wy? Komanczowie biwakowali w pobliżu strumyka. Sądzili jednak, że tu przenocujecie. Cofnęli się zatem do odległego o pół godziny drogi lasu. Piasek zatarł ślady. Skoro burza minęła, widzieliśmy was

— badaliście okolicę. Następnie, kiedy się ściemniło, pchnęliśmy wywiadowców, a ci nas informowali. Siedzieliście nad ogniskiem i smażyli indyka. Tymczasem Komanczowie otoczyli was ze wszystkich stron. Leżeli dookoła, aleście niczego nie spostrzegli. Czuwaliście na zmianę. Zaskoczyć Winnetou lub Old Shatterhanda jest rzeczą trudną. Dlatego czekali, aż przyjdzie kolej na trzeciego, *master* Bothwella, który istotnie pozwolił się obezwładnić, nie pisnąwszy słówka. Szybko spętano was podczas snu. Teraz jesteście o wszystkim poinformowani. Resztę indyka zabiorę dla siebie i podzielę się z Judytą. Oczywiście, jedząc, będziemy o was myśleć.

— Gdzie jest *Mrs Silverhill*?

— Musiała zostać w lesie pod nadzorem Indianina. Mam tylko dwie prośby do pana, które pan, jako wdzięczny *gentleman*, na pewno wykona.

— Jakież to prośby?

— Jestem amatorem broni, pan zaś posiada dwie strzelby, bardzo słynne. Proszę pana zatem, abyś mi je przekazał po śmierci.

— A jeśli odmówię?

— To się panu na nic nie zda, gdyż uznam je za swoją zdobycz!

— Pięknie! A druga prośba?

— Wiosną w Tunisie odebrał mi pan niektóre dokumenty, poza tym spisano protokół o pewnej sekcji zwłok. Gdzie się znajdują te papiery?

— Zwróć się pan do Nowego Orleanu, do swego adwokata Freda Murphy. Ten wydaje panu na pewno.

— Niech się pan nie sili na dowcipy! Patrz pan, oto mam indyka, a teraz zabieram broń pańską.

Istotnie, wziął resztę ptaka i sięgał po strzelby, które leżały wciąż koło mnie. Ponieważ byliśmy dobrze spętani, Komanczowie nie uważali za potrzebne usunąć broni. Już miałem wezwać wodza, gdy rozległ się za mną ostry głos, mówiący łamaną angielszczyzną, jaką zwykle posługują się Indianie:

— Stój, odłóż broń!

Indianin wystąpił naprzód. Był to wódz, miał bowiem trzy pióra na głowie. Tymczasem tak się rozjaśniło, że wyraźnie widać było jego twarz, hardą i surową.

— Dlaczego odłożyć? — zapytał Melton. — To należy do mnie.

— Nie. Wszak przyrzekłeś mi tych trzech wojowników?

— Tak, lecz nie ich rzeczy!

— Własność zwyciężonego należy do zwycięzcy. Wara od broni! Ponieważ Melton nie od razu usłuchał, czerwonoskóry wyciągnął nóż i groźnie błysnął. Melton opuścił broń i, kipiąc wściekłością, rzekł:

— Więc zabierz ją sobie, aczkolwiek nie do ciebie należy! Idą do swego powozu, aby natychmiast wyruszyć w drogę.

— Poczekaj jeszcze!

— Czekać?! Po co? Dotrzymałem słowa, więc musisz mnie puścić zgodnie z przyrzeczeniem!

— Przyrzekłem i spełnię obietnicę! Ale czy mogłeś mi powiedzieć, o której godzinie schwytny tych trzech wojowników?

— Nie.

— Tak samo ja nie potrafiłem określić godziny, o której możesz odejść. Musisz tu jeszcze zostać!

— Może mnie również uważasz za jeńca? Wódz mruknął:

— Milcz, śmierdzący kojocie. Stul pysk!

Melton natychmiast wrócił na swoje miejsce, a Czerwonoskóry mówił spokojniejszym tonem:

— Obiecałeś mi Winnetou i Old Shatterhanda, muszę się zatem przekonać, czy to oni w istocie.

Zwracając się do Winnetou, obejrzał go płomiennym spojrzeniem i zapytał:

— Jak się nazywasz?

— Jestem Winnetou, wódz Apaczów.

— A jak ty się nazywasz? — zwrócił się do Anglika.

— Nazywam się Bothwell.

— To imię nie rozległo się jeszcze w żadnym namiocie i żadnym obozie.

Następnie podszedł do mnie, wraził we mnie spojrzenie i zapytał:

— Czy ciebie nazywają Old Shatterhandem?

— Tak.

— Jesteś wrogiem Komanczów?

— Nie. Lecz bronię się wobec każdego napastnika, czy to jest biały, czy czerwony.

— Czy ty wraz z Winnetou zabiłeś Mocną Rękę, wodza Komanczów, mego ojca?

— Tak, ale nie wraz z Winnetou, gdyż to moja kula przeszła serce wodza.

— Winnetou był przy tym, ciąży więc na nim ta sama wina i spotka go ta sama kara. A ponieważ Bothwella schwytaliśmy wraz z wami, nie uniknie waszego losu. Będziecie żywcem zamurowani w grobowcu Silnej Ręki. Hej tam, wziąć jeńców do środka! Wracamy do koni!

Wódz wyglądał na lat trzydzieści. Nie tylko twarz, postawa cała i głos świadczyły wyraźnie o charakterze niezłomnym i hardym. Nie można się było po nim spodziewać cienia łagodności, ani pobbłażania.

Rozpętano nam nogi, po czym ruszyliśmy. Naliczyłem dwudziestu trzech Komanczów. Od lasu dzieliło nas pół godziny drogi. Nie był to las we właściwym tego słowa znaczeniu tego słowa — drzewa rosły z rzadka. Przez wąskie ich pasmo przeświecała preria. Tu właśnie pasły się konie pod opieką dwóch Indian. Zobaczyliśmy między nimi nasze wierzchowce.

Teraz spętano nas nieco inaczej, mianowicie związane ręce na plecach. Kazano nam wsiąść na konie i przywiązano nogi do popręgów. Puściliśmy się galopem na północ, poprzez prerię tak szeroką, że minęliśmy ją dopiero po dwóch godzinach. Tu również orkan zasypał trawę warstwą piasku.

Następnie ujrzyliśmy wysokie, ulistnione drzewa i dotarli do południowego brzegu Canadian, wzdłuż którego ciągnęła się szosa do San Pedro i Albuquerque. Oczywiście nie jest to szosa według naszych pojęć. Po prostu wydeptały tę drogę wozy, zaprzężone w byki, to było wszystko.

Między drzewami stała zniszczona kareta, a obok pasło się sześć koni. Judyta siedziała na trawie, lecz, ujrawszy nas, wstała. Natomiast dwaj mężczyźni, zapewne woźnice, leżeli na wznak i nie ruszyli się z miejsca. Pięciu Komanczów stanowiło straż. A zatem cała czereda składała się z trzydziestu wojowników.

— Mamy ich! — krzyknął Melton do Judyty. — Przyprawiam ci twego odpalonego wielbiciela.

Mówiąc to wskazał na mnie. Uśmiechnęła się i z zadowoleniem skinęła głową, nie racząc mnie nawet przelotnym spojrzeniem. Wobec takiego zuchwalstwa cóż miałem począć? Milczałem. Lecz oto wystąpił jako mój rzecznik ktoś, po kim bym najmniej się tego spodziewał, mianowicie wódz. Zwrócił się do Meltona:

— Dotrzymałeś obietnicy, więc ja także wywiążę się ze swojej. Możecie sobie odjechać z życiem i mieniem, ale przypatrz się uprzednio tym wojownikom! Winnetou i Old Shatterhand zostali schwytani i mieli spłonąć na stosie i oto, mimo więzów, uratowali się w jasny dzień i zastrzelili najmężniejszego spośród wodzów i jego dwunastu wojowników. Nie porzucili go jednak na pastwę sępów i kojotów, ale pogrzebali, jak należy, z orężem, aby mógł bez przeszkód dostać się do Wiecznych Ostępów. Są to nasi wrogowie, lecz też wielcy wojownicy i mężowie cnoty. A kim jesteś ty...

— Jestem także *gentlemanem*, — przerwał — który...

— Milcz! — powstrzymał go wódz. — Kiedy rozmawiałeś z Old Shatterhandem, leżąc w pobliżu, słyszałem całą rozmowę. Nie jesteś wojownikiem, ale tchórzliwym złodziejem i oszustem! Ją Wielka Strzała, byłem w miastach białych ludzi i widziałem tam bardzo wiele. Widziałem także ludzi, których więziono, ponieważ byli złodziejami i oszustami. Aby ich odróżnić od uczciwych i mężnych, ścinano im wszystkie włosy. Dotrzymałem słowa, albowiem cię puszcza, ale dla odróżnienia od tych śmiałych i uczciwych mężów stracisz włosy! Zdejmijcie mu je nożami z głowy!

— Moje włosy? Moje —

— Milcz, ropucho, inaczej pozbawię cię nie tylko włosów, ale i życia! — zagrział wódz.

Melton jednak dobrowolnie nie uległ. Krzyczał i zdierał gardło, ale to nie pomogło. Powalono go. Dziesięć, dwanaście muskularnych, czarnych pięści trzymało Jonatana, podczas gdy jakiś stary Indianin strzygł mu czaszkę nożem. To zimne i suche golenie, sądząc z wycia, którym Melton rozdzierał powietrze, nie było chyba zbyt rozkoszne.

Skoro go do skóry ostrzyżono, pozwolono mu skoczyć na nogi i ukryć się za powozem. Judyta chciała go naśladować, lecz wódz zatrzymał ją i rzekł:

— Stój, zostań! Nazwano białego wojownika, Old Shatterhanda, twoim wielbicielem. Czy to prawda?

— Tak — odpowiedziała bez wahania.

— Odrzuciłaś go i wolałaś pójść z osobnikiem, który się ukrył za wozem? Czy jesteś jego żoną?

— Jeszcze nie.

— Czerwona dziewczyna nigdy nie odbędzie takiej podróży z mężczyzną, którego nie jest *squaw*. Twój język me jest językiem, ale żądnem jadowitej żmii. Każda z tysięcy czerwonych dziewcząt cieszyłaby się, gdyby ją Old Shatterhand pragnął pojąć za żonę. Takiego ziółka, jak ty, nie mógł jednak pragnąć. Skłamałaś. Przyznaj się!

— Tak — przyznała szeptem.

— I zapryskałaś jadem kłamstwa znakomitego wojownika, którego nie jesteś warta oglądać! Duszę masz tak plugawą, jak ten, z którym podróżujesz, powinnaś zatem upodobnić się do niego wyglądem. Obraziłaś wielkiego wojownika, który jest zbyt dumny, aby się bronić chociaż słówkiem wobec kobiety. Zdejmcie i jej włosy z głowy! A potem niechaj sobie te ropuchy jadą, dokąd im się żywnie spodoba!

Judyta krzyknęła. Zdecydowałem się za nią wstawić. Rzekłem:

— Ayat-Uh jest mężnym człowiekiem i wielkim wojownikiem. Ta *squaw* nie jest warta, aby się nią zajmować. Niech jej zostawi włosy, niechaj się z dumą odwróci od niej i jej towarzysza!

Obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem i rzekł:

— Kto pozwolił Old Shatterhandowi zmieniać rozkazy Wielkiej Strzały? Wódz i wojownik powinien sobie zdawać sprawę ze swoich słów i wytrwać w postanowieniu. Niechaj jej zdejmą włosy!

Odwrociłem się, aby przynajmniej nie widzieć tego, co, niestety, słuch mi uprzytomnił. Judyta broniła się wszelkimi sposobami — krzyczała, jak gdyby ją mordowano. Skoro umilkła, odwróciłem się, ale już jej nie było. Czym prędzej uciekła do karety, z poza której odezwał się głos Meltona:

— Niechaj mi. Wielka Strzała przynajmniej powie, czy dotrzyma przyrzeczenia i zabije trzech jeńców!

— Dotrzymam przyrzeczenia. Jutro zostaną zamurowani. A teraz niech tchórzliwa biała twarz wraz z tą kobietą, która nie jest jego *squaw*, postara zniknąć nam z oczu, inaczej pozbawimy ich jeszcze czegoś ponadto!

Natychmiast wprężnięto do powozu konie. Woźnice skoczyli na kozły i Melton wszedł do karocy. Po czym towarzystwo ruszyło w drogę. Osobnik, którego ścigaliśmy z Afryki aż do Canadian, uciekł nam po raz drugi, a my mieliśmy zostać żywcem pogrzebani!

Zsiadliśmy z koni i położyli się na trawie. Komanczowie dotychczas nie jedli, tu więc miano się posilić przed pociągnięciem do Doliny Śmierci.

Ani myślałem zrezygnować z nadziei. Na łaskę nie można było liczyć. Lecz dopiero nazajutrz miano nas zamurować, zatem rozporządzaliśmy dwudziestoma godzinami czasu. A jak wiele może się zdarzyć w ciągu dwudziestu godzin!

Nie spodziewałem się, żeby ktoś nas odbił. Mogliśmy sobie tylko sami pomóc — ale jak?

Jedyną pocięgą było przypuszczenie — że nie zamierzano poddawać nas zbyt dużym torturom. Wódz dowiódł słowami i czynem, że szanuje nas jako mężnych wojowników. Niczego więcej nie mogliśmy wymagać.

Dostały nam się porcje mięsa nie mniejsze, niż każdemu z Komanczów. Aby nie karmić nas jak niemowlęta, odwiązano nam ręce, a związano nogi. Poza tym obserwowano każdy nasz ruch, najmniejszy nawet. Skoro się posililiśmy, znowu spętano nam ręce.

Spostrzegłem, że Emery podczas tej procedury miał osobliwy, skupiony wyraz twarzy. Widząc, że skierowałem nań uwagę, rzekł po niemiecku:

— Poznałeś coś po mnie?

— Tak. Wolałbym jednak nie spostrzec, gdyż Komanczowie mogli również coś zwietrzyć i powziąć podejrzenie.

Czerwony, który siedział w pobliżu, odezwał się do wodza:

— Obaj biali rozmawiają w języku, którego nie rozumiem.

— Old Shatterhand niech powie, co to za język? — rzekł wódz.

— Jest to mowa naszego kraju i narodu.

— Gdzie jest kraj twoich przodków?

— Hen, za wielkim, wschodnim morzem.

— Anglia?

— Nie. Moja ojczyzna leży dalej na wschód.

— Czy twój naród zna pieśni śmierci, tak, jak my?

— Tak. Pieśni i modlitwy do Wielkiego Manitou, w waszej własnej mowie?

Teraz podniósł głos, aby wszyscy mogli słyszeć:

— Skoro mężczyzna wojownik czuje bliskość zgonu, zaczyna się doń gotować. Wspomina swe czyny i chwali według zwyczaju swego narodu. Obaj biali są mężnymi wojownikami. Wkrótce wyzioną ducha, muszą tedy rozpamiętywać swe czyny w języku ich przodków. Mamy ich zabić, ale powinniśmy zostawić ich dusze, aby mogły obsługiwać Silną Rękę w Wiecznych Ostępach. Nie przeszkadzajmy im zatem porozumiewać się w ich własnej mowie.

Była to wielka wyrozumiałość ze strony człowieka, którego uważałem za nieużytego, pobłażliwość, wypływająca z jego religijnych przekonań. Teraz więc mogłem dowoli rozmawiać z Emery'm. Mieliśmy tak skupiony wyraz twarzy, jak gdybyśmy o niczym innym nie gwarzyli, tylko o oczekującej nas śmierci.

— A więc, — zapytałem — o czym myślałeś?

— O triku, który kilkakrotnie widziałem. Nawet sam użyłem. Nazywają go spętaniem czarodziejem. Otóż, czy nie można będzie teraz zastosować tego fortelu?

— Hm! Nie łudź się, że zdołasz tych ludzi nabrać na jakiś hokus-pokus!

— To nie jest hokus-pokus, tylko dwie sztuczki, które nie wpadną w oko żadnemu białemu, ani czerwonemu.

— Czy możesz je opisać?

— Lepiej pokazać, ale chwilowo niepodobna. Iluzjonista pozwala sobie związać ręce na plecach sznurem, czy rzemieniem, a jednak każdej chwili może się uwolnić z więzów.

— To wpada w oczy.

— Bynajmniej. Rzecz najważniejsza — samemu przełożyć ramię przez przegub lewej ręki.

— Tak, to nie wydaje się podejrzane. Po prostu chce się dopomóc czerwonoskóremu. Dalej!

— Uważaj! Bierze się ramię pośrodku, kładzie jeden koniec na lewym przegubie i pozwala się związać w supeł. Gdy ten, który wiąże mocno, naciąga ramię, pomaga mu się, jakoby w tym celu, aby wzmocnić supeł i pętle. W istocie zaś supeł jest wyciągnięty, to znaczy, jest ruchomy na rzemieniu i można go po nim przesuwając w tę lub tamtą stronę. Zarówno ten, który wiąże, jak i otoczenie nie może spostrzec różnicy. Potem zaś trzyma się obie ręce za plecami, aby drugi koniec rzemienia przełożyć przez przegub prawej ręki i związać. Przy tym przytrzymuje się prawy rękaw, rzekomo aby nie przeszkadzał. Dzięki temu, ręce są od siebie bardzo oddalone i zyskuje się przestrzeń do pociągnięcia pętli, a także okazję do odpowiedniego ułożenia rzemienia. Pęta zachowują moc pozorną, choć w każdej chwili można z nich wysunąć to jedną, to drugą rękę, za pomocą odsunięcia to jednego, to drugiego węzła. Można pęta zresztą ponownie wdziać, gdy kto zapraśnie węzły zbadać. Czy zrozumiałeś mnie?

— Naturalnie. Być może, że to nas uratuje.

— Tak. Poprzednio, gdy nas związana, uważałem dobrze. Jestem zawiązany według pierwszych przepisów tej sztuczki. Skoro nam zwolnią ręce do kolacji, nam nadzieję, że potrafię w całości wykonać fortel. A ty?

— Hm! Jestem przekonany, że mógłbym się spisać, jak zazwyczaj za pierwszą próbą. Tu jednak, gdy chodzi o życie i wolność, trzeba mieć więcej doświadczenia. Pozostawiam próbę tobie.

— Czemu to? Skoro pouczymy także Winnetou, będziemy mogli wszyscy trzej w chwili stosownej momentalnie się uwolnić. Potem znikamy, zanim pomyślą o sprzeciwie.

— Brzmi to bardzo kusząco, ale nie jest tak łatwe, jak ci się wydaje. Po pierwsze, czy zdołamy wytłumaczyć Winnetou tak, aby nas strażnicy nie zrozumieli? Wszak bardzo mało rozumie po niemiecku, tamci zaś znają angielski, przynajmniej tyle, aby wiedzieć, o czym mówimy.

— To, niestety, prawda!

— A po drugie, rzeczą najważniejszą jest, aby nikt nie zauważył, że się samemu wykonuje pierwszy chwyt przy wiązaniu. Jednemu tylko z nas może się udać. Ten sam ruch, trzykrotnie powtórzony, wzbudziłby, podejrzenia. Więc jestem za tym, abyś sam sztuczkę wykonał.

— Ale co się z wami stanie?

— Zobaczymy. Potrzebny nóż. Odebrano nam wraz z inną bronią.

— Ja zachowałem mały scyzoryk z pilnikiem — ukrywam go zwykle w wewnętrznej kieszonce, od kamizelki. Przeszukają nam zapewne kieszenie, ale przypuszczam, że tej kieszonki nie spostrzegą.

— To się wyśmienicie składa. Skoro uwolnię ręce, łatwo scyzorykiem przetniesz pęta na nogach, a potem i nasze więzy.

— *Well*, bardzo się cieszę. Pomijając niebezpieczeństwo, które nam grozi, pragnąłbym serdecznie być sprawcą uwolnienia, albowiem to ja byłem sprawcą klęski.

— Czy nie słyszałeś, jak nadeszli?

— Nawet głośniejszego oddechu, aczkolwiek naprawdę bardzo starannie uważałem. Niestety, nie mam tak czujnych uszu, jak ty lub Winnetou. Możesz sobie wyobrazić, jak mnie gryzą wyrzuty.

— Przestań! Nie można już wrócić przeszłości, a zresztą nie jest wykluczone, że i my dalibyśmy się zaskoczyć.

— Słyszałeś, że czekali na moją kolej.

— To kwestia ich uznania. Jesteśmy w niewoli i pragniemy się uwolnić. Wyrzutami nic sobie nie poradzimy.

Winnetou, mimo że siedział przy nas, bardzo mało rozumiał z naszej rozmowy. Ufałem jednak, że będą mógł mu udzielić odpowiednich wskazówek. Wkrótce zdarzyło się to, co przewidzieliśmy. Mianowicie, po posiłku przeszukano nas i wypróżniono kieszenie. Zabrano nam wszystko, wszystko, prócz niedostrzeżonego scyzoryka Emery'ego. Następnie przywiązano nas ponownie do koni i ruszono ku Dolinie Śmierci.

Dawniej, gdy z Winnetou ścigaliśmy Komanczów, ci nie dążyli bynajmniej do Doliny Śmierci. Krążyli dokoła, aby nas wywieść w pole. Dlatego dopiero po kilku dniach dotarliśmy do doliny i dokonali zemsty. Teraz zaś jadąc wprost mogliśmy dotrzeć po siedmiu lub ośmiu godzinach.

Komanczowie mieli o wiele lepsze konie, niż my. Niektóre rumaki były wprost pierwszorzędne. Przeprawiliśmy siew bród przez Canadian i pojechali na północ. Nad rzeką rosły drzewa i gęste trawniki, ale dalej ciągnęła się pustynia.

Cel naszej podróży nazywał się Doliną Śmierci, nie dlatego, że zabiliśmy tam wodza Komanczów, lecz że leżał w zupełnie wymarłej okolicy. Dlatego też Silna Ręka usiłował tam się ukryć przed naszym pościgiem.

Dolina miała kształt zapadniętego krateru. Ściany wznosiły się stromo, tworząc zwartą kamienną masę. Konno można było zjechać tylko jedną ścieżką, pieszo — w kilku miejscach. Właściwa dolina stanowiła koło o obwodzie półgodzinnej jazdy.

Na północy bilo małe źródło. Woda, pachnąca siarką, od razu znikąła w szczelinie, jednak żywiła trochę roślin i traw.

W południe zarządzono wypoczynek. Ku naszej radości otrzymaliśmy ponownie porcję mięsa. Teraz można było wypróbować sztuczkę. Ręce mieliśmy wolne i posługiwaliśmy się nimi podczas posiłku. Potem związano nas na powrót. Uważnie przyglądałem się Emery'emu. Z miną najpocziwszą w świecie sięgnął po rzemień, przełożył go przez przegub lewej ręki, pozwolił związać węzeł i założył ręce na plecach, aby je spętano. Czerwonoskóiy nie powziął żadnego podejrzenia, lecz po związaniu obejrzał więzy, — a miał później tak zadowolone oblicze, że straciłem zaufanie do czarodziejskich zdolności Emery'ego.

— No jakże, — zapytałem — omyliłeś się? Czerwonoskóry uważnie obejrzał twoje więzy i nic podejrzanego nie znalazł.

— A jednak oszukałem go. Mogę każdej chwili uwolnić ręce. Chciałbym i mógłbym ci pokazać. Wiesz, co zrobię ponadto?

— No?

— Dziś wieczorem, zrzeknę się kolacji. Skoro nie zechcę jeść nie uwolnią mi rąk, a w takim razie więzy zachowają się w dawnym stanie. Gdybym jednak jadł, nie wiem, czyby się fortel ponownie udał.

— Ale to może wzbudzić nieufność. Wszak kto ma tak długo związane ręce na plecach, nie pominie żadnej okazji, aby je uwolnić.

— Słusznie! To może istotnie zwrócić uwagę, zatem nie wyrzeknę się wieczerzy.

Wyruszyliśmy ponownie. Eskortowano nas razem. Winnetou jechał pośrodku, dzięki czemu zdołałem mu wyłuszczyć nasz plan w krótkich słowach. Nie mogli nas podsłuchiwać Komanczowie, ani wyprzedzający, ani jadący za nami. Wyraz jego pięknej, jasnobrązowej twarzy nie zmienił się wcale. Szepnął tylko:

— Wolni, tak — ale nie bez mojej srebrnej strzelby!

— A także nie bez mojej broni — powiedziałem po niemiecku, zwracając się do Emery'ego.

— A jeśli wypadnie z niej zrezygnować?

— W takim razie odłożę ucieczkę na później. Wolność jest cennym darem, lecz co z nią pocznę tu, na tym pustkowiu, skoro nie będę miał broni?

— Bardzo słusznie. Ale tu chodzi o życie!

— To rozstrzyga. A zatem uciekać, chociażby bez broni! Ale gdybym był pewny życia, nie uwolniłbym się, dopóki bym nie miał swej broni w rękę.

Za niespełną godzinę miało już zmierzchać gdy dotarliśmy do Doliny Śmierci. Zjechaliśmy wąską i stromą ścieżką jeden za drugim, niczym za konduktem żałobnym. Jeśli istotnie nie uda nam się wrócić na górę! Otrząsnąłem się z tej myśli. Nie! Jeśli ktoś miał zginąć na wieki w dolinie, to nie my, lecz Komanczowie!

Wódz skierował pochód ku miejscu, gdzie biło małe źródło. Osadził konia i zeskoczył na ziemię. Wojownicy naśladowali dowódcę, albowiem tu, nad wodą mieliśmy przemocować. Usiłowano napoić konie, ale rumaki wzdrygały się przed siarczaną wodą, która cuchnęła, jak zgniłe jajka.

Tymczasem rozejrzałem się po dolinie. W północnej, najbardziej stromej skale widniała szczelina, w której pogrzebaliśmy ongiś wodza. Nie była wielka. U podstawy szeroka na sześć stóp, ku górze zwężała się coraz bardziej, aż wreszcie na wysokości mężczyzny miała dwie piędзи. Stąd biegła na znaczną wysokość. Ponieważ niepodobna było na takiej wysokości zakryć skały, powietrze miało tu dostęp. A zatem, gdyby nas zamknięto, zginęlibyśmy z głodu i pragnienia, ale nie z braku powietrza. Płyta, zamykająca rozpadlinę, była u dołu szersza od szczeliny, a wysoka na trzy łokcie. Mimo, że ciężka, nie mogłaby nas zamknąć, nie mogłaby się oprzeć połączonym naszym wysiłkom. Ale w pobliżu leżało mnóstwo innych kamieni, którymi można było podeprzeć płytę w ten sposób, abyśmy nie zdołali jej usunąć ani na włos. Czerwonoskórzy zaprowadzili nas do mogiły. Sześciu odsunęło płytę. Następnie wódz stanął u wejścia do szczeliny i rzekł uroczyście: — Tu spoczywa Atesza–Mu, wielki wódz Komanczów. Jego duch wszedł do Wiecznych Ostępów, gdzie daremnie oczekiwał dusz swych zabójców, którzy mają mu tam służyć. Niechaj wróci, aby usłyszeć, co ja — syn jego i mściciel — wiem!

Przeczekał chwilę, aby ojciec jego zdążył przebyć drogę z zaświatów, po czym kontynuował:

— Silna Ręka był prześladowany i zabity przez Winnetou i Old Snatterhanda. Obaj wrogowie wpadli w moje ręce i muszą śmierć Atesza–Mu przyplacić życiem. Każdy nieboszczyk wchodzi do Wiecznych Ostępów w tym stanie, w jakim znajduje się w chwili zgonu. Jeśli umęczymy i zranim zabójców, przyjdą do Atesza–Mu słabi, krwawiący, i będą złymi sługami. A zatem nietkniętych zamurujemy przy jego kościach, aby umarli bez ran i aby byli silnymi sługami, z którymi będzie przebiegał Wieczne Ostępy, wyniesiony ponad innych. *Huwgh!* Znow ułożono płytę, nie pozwalając mi nawet zajrzeć do grobowca. Odprowadzono nas z powrotem nad wodę, lecz nie tu mieliśmy zostać. W odległości dwudziestu kroków odcinała się w skale wąska rysa — w tej właśnie szczelinie nas umieszczono. Usiedliśmy. Spętano nam nogi i postawiono przy nas dwóch wartowników, którym wódz nakazał największą czujność i ostrożność. Pozostali wrócili nad wodę.

GROBOWIEC KOMANCZA

Szczelina, w której nas umieszczono, doskonale nadawała się na wiezienie. Z trzech stron otoczeni byliśmy skałą, a z czwartej siedzieli uzbrojeni od stóp do głów strażnicy.

— Przeklęty pomysł? — burczał Emery po niemiecku.

— A czemu to? — zapytałem.

— Jesteśmy uwięzieni i nie wiem, czy zdołamy się wydostać.

— Tak sądzisz? Boja przeciwnie, bardzo rad jestem.

— Nie pojmuje cię? Stąd nic nie widać. W dolinie zaś widzielibyśmy wszystko dokładnie i mielibyśmy dookoła wiele przestrzeni.

— Ale i nas by widziano. Niech się przede wszystkim ściemni. Wówczas strażnicy nie będą mogli obserwować. Uwolnimy się niepostrzeżenie. Tu śledzi tylko czworo oczu, w dolinie jednak bylibyśmy wystawieni na powszechny widok.

— Hm, być może. To już twoja właściwość odkrywać w każdym nieszczęściu dobre strony.

Ściemniło się wobec czego rozniecono małe ognisko, ale niestety, nie nad wodą, tylko przed naszą rysą. Nie starczyło bowiem opału pod wielki ogień przydatny do smażenia mięsa. W tym wypadku, niestety, nie mogłem znaleźć atutu na naszą korzyść. Szczelina mieściła najwyżej trzech ludzi. Przed nią palił się ogień, a dalej o cztery kroki siedzieli strażnicy. Nie mogliśmy ich obezwładnić, nie przeskoczywszy uprzednio ogniska, a wówczas mielibyśmy dosyć czasu, aby schwytać za broń lub wezwać pomocy. Poza tym płomień, aczkolwiek nikły, sięgał aż do szczeliny i pozwalał nas obserwować.

— Masz sobie! — rzekł Emery. — A może i teraz nie przyznajesz mi racji?

— Oczywiście, ognisko pogarsza sytuację. Ale bądź co bądź lepiej, że leżymy tu, — w dolinie bylibyśmy na pewno otoczeni czerwonoskórzymi. Tu natomiast mamy tylko dwóch wartowników. A może sądzisz, że ogień będzie płonął przez całą noc?

— Naturalnie. Nie pozwolą mu zgasnąć.

— Owszem, nie mają opału. A do dnia jest jeszcze osiem godzin; nie sądzę, aby starczyło drewna. Popatrz tylko, jak szybko spalają się rośliny, a jak mało zdołano ich zebrać.

Jednakże, jak się wkrótce przekonaliśmy, wciąż jeszcze zbierano. Stos coraz bardziej urastał, nie sięgał jednak wielkich rozmiarów.

Później dano nam wieczerzę. Składała się również z kawałka mięsa. Zdjęto z nas więzy, aby je założyć ponownie. Ku naszej radości, Emery z powodzeniem powtórzył fortel.

Co dwie godziny luzowano wartowników. Przy każdej zmianie sprawdzano więzy. Nikt nie zauważył triku Emery'ego.

Czerwonoskórzy długo czuwali. Słyszeliśmy ich głosy do samej północy. W każdym razie o nas to gawędzono i wątek mógł się snuć długo jeszcze. Ale w końcu przecież zaległo milczenie. Ułożono się widocznie do snu.

Naturalnie, my nie zmrużyliśmy oka. Przysunęliśmy do siebie głowy i po cichu szeptali. Ogień płonął jeszcze, ale drewna było nie więcej, niż na godzinę. Rozmawialiśmy po angielsku, aby i Winnetou mógł brać udział.

— Przekłeta sprawa! — gderał Emery. — Nawet jeśli uda się, to i tak za późno!

— Jak to za późno? — zapytałem.

— To się samo przez się rozumie. Cicho jest na zewnątrz, lecz nie wiadomo, czy wszyscy śpią. Dlatego musimy jeszcze czekać, najmniej przez godzinę. A poza tym, wkrótce nadejdą inni strażnicy i od razu zauważą nasze zniknięcie.

— Poczekajmy zatem, aż nastąpi zmiana warty.

— Stracimy cenny czas i nie powetujemy zwłoki. A jeśli się nawet stąd wydostaniemy, nie znajdziemy daleko. Jakże sobie poradzimy bez koni? Kto wie, ile czasu upłynie, zanim uda nam się postawić nogę w strzemionach? A wówczas — nietrudno będzie nas schwytać!

— Nie schwytają, wszak nie zatrzymamy się przy koniach.
— Jak to? Chcesz uciekać pieszo?
— Tak.
— Pieszko! W takim razie można przysiąc, że nas schwytają.
— Ależ nie. Uciekniemy pieszo, ale niedaleko, nie wyjdziemy nawet z doliny.
— Nie? Wytłumacz mi dokładniej!
— Przede wszystkim idzie o broń. Należy pogodzić się z faktem, że teraz nie zdołamy jej odzyskać. Skoro więc umkniemy daleko, stracimy ją na zawsze. A zatem zostaniemy tutaj, aby czekać chwili, kiedy będziemy mogli broń odzyskać.
— Jakże możemy zostać? Czy istnieje tu jakaś kryjówka, w której moglibyśmy się schronić?
— Tak. Grobowiec wodza.
— Ach, co za zuchwały pomysł!
— Nie tak zuchwały, jak sądzisz. O wiele zuchwalej byłoby opuścić Dolinę Śmierci i biec po dalekiej równinie, gdzie będziemy długo wystawieni na strzały. Prześladowcy poczną następować nam na pięty już od samego rana. A czym to się powinno skończyć wobec braku koni, chyba sam rozumiesz.
— Ale czy już pewne, że nie zdołamy zbliżyć się do wierzchowców i odzyskać broni?
Prawie pewne. Nie tylko zresztą o broń idzie, ale również i o inny sprzęt, który nam zabrano.
— Czy nie moglibyśmy przekraść się i złowić po kryjomu?
— Prawdopodobnie nie. Należy sądzić, że nas zdybią.
— Niech zdybią! Do piorunów, kiedy tylko będę miał wolne ręce, wówczas chciałbym zobaczyć czerwonego, któryby usiłował mi wejść w drogę!
— Czy przypuszczasz, że jestem mniej zdecydowany od ciebie? Nie mam jednak żadnej chęci tracić odzyskanej wolności. Nie twierdze bynajmniej, że koniecznie trzeba się schronić w grobowcu wodza i skoro się uwolnimy, przekonamy się przede wszystkim, czy wszyscy czerwoni śpią i czy mamy swobodny dostęp do naszej własności. A potem dopiero zdecydujemy się na jedno lub drugie postępowanie.
— Tak — szepnął Winnetou, dotychczas milczący. — Plan mego brata Shatterhanda jest rozumny. Nie wszyscy Komanczowie puszcza się w pościg. Wiedząc, że jesteśmy nieuzbrojeni i że uciekamy pieszo, pomyślą, że łatwo nas będzie sprowadzić z powrotem. Dlatego wódz nie wyśle za nami wszystkich wojowników, tym bardziej, że ktoś musi zostać przy łupie.
— Jak to, zostać przy łupie? — zapytał Emery.
— Wszak brat mój wie, że bez uszczerbku mamy przejść do Wiecznych Ostępów. A w takim razie dadzą nam w drogę wszystko, co posiadaliśmy. Winnetou zna dokładnie zwyczaje czerwonych. Nasze ciała nie będą uszkodzone, abyśmy w Wiecznych Ostępach byli zdrowymi i pracowitymi niewolnikami zmarłego wodza. Zwrócą nam zatem broń i cały dobytek, aby przeszedł na własność Silnej Ręki. Dzięki naszej broni wódz Komanczów będzie najznakomitszym wojownikiem w Wiecznych Ostępach.
— Ach, tak! Komanczowie wierzą, że wszystko z czym się pochowało nieboszczyka, dociera do zaświatów?
— Tak. Ofiarują nas zmarłemu wodzowi, będziemy więc w życiu pozagrobowym jego niewolnikami, a wszystko, co zabierzemy z sobą, on posiadzie. Lecz cicho, nadchodzą, zmiana warty...

Strażnicy podnieśli się, aby ustąpić miejsca luzującym ich kolegom. Ci starannie sprawdzili krzepkość naszych rzemieni, po czym usiedli. Jeden z Indian wrzucił ostatnią gałązkę w ogień, który płonął jeszcze przez kilka chwil i wreszcie zgasł raptownie.

W ciemnościach widzieliśmy niebo. Chmurki szybowały, odsłaniając chwilami poszczególne gwiazdy. Było tak ciemno, że nie widzieliśmy nawet wartowników, aczkolwiek siedzieli w odległości trzech metrów.

Skoro upłynął kwadrans, Emery wyciągnął z rzemieni ręce i scyzorykiem uwolnił nogi. Następnie rozsypał nasze więzy, co nie szło zbyt prędko. O wiele prędej by się uporał, gdyby je po prostu przeciął, lecz chcieliśmy je schować w całości dla naszych strażników. Emery nie mógł tego pojąć. Szepnął:

— Lepiej zabić ich, niż ogłuszyć. Jeden okrzyk może wystawić nas na wielkie niebezpieczeństwo.

— Możliwość okrzyku jest taka sama przy zabiciu, co przy ogłuszeniu — odpowiedziałem — a nie należy zabijać nikogo, skoro można ogłuszyć.

— *Well*, jak chcesz! Kto na nich napadnie? Czy my wszyscy trzej?

— Nie, tylko Winnetou i ja. Dla nas to nie pierwszozna. Ja uchwycę prawego Winnetou lewego.

Ręce nasze ucierpiały od więzów. Pocieraliśmy przeguby, aby przywrócić żywsze krążenie krwi. Następnie wzięliśmy się do roboty, wymagającej ogromnej ostrożności, gdyż obaj czerwoni siedzieli zwrócenii do nas twarzami. Trzeba było pełzać. Wszystko byłoby udaremnione, gdyby zauważyli nas choć o sekundę przed ściśnięciem gardła.

Na szczęście, w szczelinie było ciemniej, niż na zewnątrz. Stanęliśmy na kłęczkach i sunęli ku nim, mrużąc oczy, gdyż oko podnieconego człowieka przyświeca nawet w takich ciemnościach. Trzeba było przede wszystkim tak szybko i pewnie obezwładnić strażników, aby nie mieli chwili czasu na krzyk. Obezwładnić bez szmeru, gdyż uderzenie lub upadek mógł nas łatwo zdradzić. A przy tym obaj musieliśmy działać jednocześnie.

Zbliżyliśmy się coraz bardziej do czerwonych. Niebawem Winnetou dotknął mego ramienia. Był to umówiony znak. Posunąłem się dalej i po chwili już oburącz trzymałem Komańcza za gardło. Chwył ten jest trudniej wykonać z przodu, niż z tyłu, ale dość, że się powiódł, zarówno mnie, jak i Winnetou. Strażnicy legli na wznak pod naszymi ciężarami — rozległo się tylko ciche, cichutkie rżenie, które nie mogło dotrzeć do obozu. W następnej chwili ogłuszyliśmy strażników uderzeniem w skronie, po czym zwolniliśmy ucisk gardeł, aby sienie zadusili.

Część planu powiodła się znakomicie. Czerwoni mieli przy sobie tylko noże. Zabraliśmy je, zyskując przynajmniej jakieś narzędzie obrony. Zakneblowaliśmy strażnikom usta i spętanych starannie, umieściliśmy na naszych miejscach.

— Moi bracia niechaj tu poczekają — szepnął Apacz. — Winnetou dopełźnie do obozu, aby zobaczyć, na co się można zdecydować.

Wysunął się bez szmeru, jak waż. Po kilku minutach wrócił. Był to znak.

— Nie dotrzemy ani do broni, ani do rumaków — oznajmił. — Konie są dobrze strzeżone, a nasze rzeczy leżą nad wodą, gdzie czuwając, siedzi wódz. Radość pomsty spędza mu sen z powiek. Winnetou spodziewał się tego.

— Czy nie moglibyśmy napaść wodza, tak samo jak wartowników?

— Nie, gdyż dokoła leżą wojownicy, których nie wyminiemy bez potrącenia.

— Tak, nie pozostaje nic innego, tylko ukryć się i czekać — rzekłem. — A więc do grobowca!

Z początku pełzaliśmy na czworakach, potem dopiero się podnieśliśmy. Dotarłszy do grobowca, bez wysiłku odsunęliśmy wieko o tyle, że mogliśmy wejść. Natomiast daleko trudniej było przysunąć je z powrotem. Aleśmy się i z tym uporali. Ponieważ grunt był kamienny, przypuszczaliśmy, że nie zostawimy śladu naruszenia.

Przylegliśmy w kryjówce niezbyt wygodnie, gdyż szczeliną mimo że głęboka, była bardzo niska. Za nami leżały szczątki Wielkiej Ręki. Aby uniknąć zetknięcia ze zwłokami, musieliśmy przysunąć się do siebie. Szczęściem powietrze miało tu dostęp, więc nie czuć było rozkładu.

Przykucnięci jeden obok drugiego, czekaliśmy dnia w gorączkowym niemal napięciu. Przed brzaskiem nie mogła nastąpić zmiana warty, gdyż obezwładnieni przez nas wartownicy zajęli posterunek na dwie godziny przed świtem. Przypuszczaliśmy, że rozwidni się w ciągu pół godziny.

Pół godziny to niewiele czasu, ale w takiej sytuacji, jak nasza, wydaje się wiecznością. Nie rozmawialiśmy, przede wszystkim dlatego, że z podniecenia straciliśmy mowę, a następnie, że wobec resztek cielesnej powłoki wodza nie mogliśmy się opędzić — rzecz można — świętemu uczuciu, jakie ogarnia człowieka w obliczu śmierci.

Czas mijał. Siedziałem na przodzie przy płycie i przystawiałem oko do wąskiej szpary między płytą a skałą. Noc szarzała. Zbliżała się chwila rozstrzygająca — nie wątpiłem, że przy świetle dziennym wódz spostrzeże nieobecność wartowników na posterunku. Naraz Emery

— Czy widzisz coś, Charley?

— W promieniu trzech, najwyżej czterech kroków. Ale jest coraz widniej.

— Alarm wybuchnie za kilka minut. Poczuliśmy sobie dosyć głupio! Skoro nas tutaj odkryją, jesteście zgubieni!

— Nie tak prędko, jak sądzisz!

— Cóż w tym wypadku poczniesz?

— Jedyną rzecz właściwą. Mianowicie rzucę się na wodza i pochwycę, jako zakładnika.

— Ale jeśli nas stąd nie wypuszczą...

— *Pah!* Muszą wypuścić!

— Lecz nagromadzą głazy za płytą.

— Głazów nie zgromadzą zbyt szybko. Starczy nam mocy. Chwila wysiłku, a płyta runie. Cicho, uwaga!

W dolinie rozległ się głośny i ostry krzyk — indiański okrzyk alarmowy.

— Czy to wódz krzyczał? Wyrzyj, Charley, prędeż, prędeż!

Podczas naszej krótkotrwałej rozmowy tak się rozjaśniło, że wzrok mój sięgał teraz aż do źródła. Widziałem cały obóz i okolice. Tak, to wódz wydał okrzyk. Stał pod rysą, w której nas więziono, a w której leżeli obecnie spętani i zakneblowani strażnicy. Jego okrzyk zbudził wojowników. Skoczyli na równe nogi i skupili się dokoła wodza.

Zrazu powstał wir tłoczących się ludzi i głów, po czym całkowicie ucichło. Wódz polecił uwolnić strażników od więzów i knebli. Stanęli przed nim, a zatem nie uśmierciliśmy ich uderzeniami w skronie. Wkrótce znów rozległo się wycie. Czerwoni rzucali dokoła badawcze spojrzenia, lecz nas, oczywiście, nie dojrzel. Sądzieli więc, że uciekliśmy z doliny. Wódz donośnym głosem wydawał rozkazy. Wojownicy uzbroili się, biegli do koni, wsiedli; i oto pędzili w galopie po wąskiej ścieżce, którą zjechaliśmy. Jeden za drugim znikali na górze.

* * *

Lecz nie wszyscy opuścili dolinę. Trzech zostało, mianowicie wódz oraz obaj strażnicy, których zostawiono może za karę, a może dlatego, że jeszcze sił nie odzyskali. Wódz wrócił na swoje miejsce i usiadł. Strażnicy zaś stanęli w pewnej odległości. Nie śmieli się zbliżyć, aby nie jętrzyć jego wściekłości.

— Jeśli czerwoni mają trochę oleju w głowie, to natychmiast wrócą, — rezonował Emery.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Gdy nie zobaczą nas na górze, powinni zrozumieć, że zostaliśmy w dolinie.

— Bynajmniej. Przypuszczają że mieliśmy dosyć czasu, aby zniknąć z oczu. Będą szukali śladów, których, oczywiście, nie znajdą. Nie wiedząc, w jakim kierunku zbiegliśmy, rozdzielią się na kilka oddziałów, które będą nas tropić w rozmaitych stronach. Jestem przekonany, że nasz plan powiedzie się do końca.

Czekaliśmy. Po kwadransie wrócił jeździec i złożył meldunek wodzowi. Ten podniósł się natychmiast i dosiadł konia. Poszli za jego przykładem obaj strażnicy, po czym wszyscy odjechali, zostawiając nad wodą naszą broń i zrabowaną własność. Zniknęli wnet za skałą, za którą się rozwijała ścieżka, i wkrótce wyłonili się na górze.

— Powiodło się! — krzyknąłem uradowany. — Powiodło się lepiej, niż można było sądzić. Wódz odjechał ze strażnikami. Nasze rzeczy, nasze konie stoją niestrzeżone!

— Wyjdźmy stąd, wyjdźmy, szybko, szybciej! — wołał Emery. Z podniecenia podskoczył w górę i tak silnie wyciął głową o niską skałę, że jęcząc, usiadł z powrotem.

— Jeszcze nie — odpowiedziałem. — Musimy czekać, aż wódz straci z oczu dolinę.

Nie czekaliśmy długo. Powaliliśmy płytę i wyszli ze szczeliny. Oto odzyskaliśmy wolność! Emery pragnął natychmiast pobiec po broń, lecz Winnetou ostrzegł:

— Mój brat niech sienie spieszy zbyt. Przede wszystkim przystawimy z powrotem płytę. Wódz na pewno wnet powróci. Skoro zobaczy, że grobowiec jest otwarty, zwoła natychmiast wszystkich wojowników.

— Cóż to szkodzi! Nie lękamy się ich teraz!

— No, mój brat się przechwała. Jedna tylko ścieżka prowadzi w górę. Jeśli ją obsadzą, nie wydostaniemy się z doliny.

— Nie osiągną ich nasze kule, jeżeli się ukryją za skałą, natomiast my będziemy wystawieni na ogień.

Wspólnymi siłami podnieśliśmy wieko, aby nakryć grobowiec. Następnie pobiegliśmy nad wodę, pragnąc czym prędzej odzyskać swój dobytek podróżny. Niczego absolutnie nie brakowało. Co za radość odzyskać swoją broń i ponadto całą amunicję!

— Teraz umykajmy! — krzyczał Emery, spiesząc do koni.

— Jeszcze nie! — zawołałem. — Musimy wy badać przedtem, co tam na górze słychać.

— Nie jest to konieczne! Czerwoni już nas nie pochwycają! Żaden Indianin nie odważy się zbliżyć, skoro odzyskaliśmy broń.

— Owszem, jeśli będziemy na równinie. Ale tymczasem tkwimy w tym kotle i nie wiadomo, czy wyjdziemy stąd niepostrzeżenie. Przede wszystkim więc trzeba pójść na zwiady.

— Co za przesadna ostrożność! Ulegam, choć nie widzę konieczności. Wdrapaliśmy się po stromej drodze. Przewidując, że wódz wraz z innymi wojownikami może w „każdej chwili wrócić, włąziliśmy bardzo ostrożnie. Szybko przebiegaliśmy miejsca otwarte, kryli się za głazami, aby podsłuchać, czy nikt się nie zbliża. I słusznie! Gdyż oto, stojąc za zakrętem, usłyszeliśmy tupot kopyt. Winnetou był na przedzie. Wyjrzał za skałę, potem zwrócił się do nas, szepcząc:

— Wódz nadjeżdża.

— Sam jeden?

— Tak.

Odgłos umilkł. Wódz zatrzymał się i spojrzał w dół. Gdybyśmy nie założyli z powrotem płyty, zrozumiałby, że się ukrywamy w dolinie. Ale teraz nie powziął żadnego podejrzenia i pojechał dalej.

— Co robić? — zapytał Emery.

— Schwycić go — odezwałem się. — Ale nie tutaj. To miejsce niezbyt się nadaje. Krzyk wodza zwabi wnet wszystkich wojowników. Czym prędzej wróćmy na dół.

Istotnie, zbiegliśmy do kotliny. Zatrzymaliśmy się u wylotu ścieżki. Leżał tu wielki głaz, za którym mógł się ukryć jeden człowiek. Winnetou przykucnął i rzekł:

— Moi bracia niech się schowają za skałą. Kiedy mnie wódz wyminie, skoczą na konia z tyłu, moi bracia zaś spadną nań z przodu.

Emery i ja cofnęliśmy się o dwadzieścia kroków za róg skały. Po chwili nadjechał wódz. Wsłuchiwalismy się w odgłos kopyt. Teraz zapewne mijał kryjówką Apacza, a oto rumak zatrzymał się. Naraz rozległ się stłumiony okrzyk. Wskoczyliśmy zza skały. Na nieruchomym koniu klęczał Winnetou i ścisnął Komańcza za gardło. Ściągnęliśmy osłupiałego z przerażenia wodza, rozbili i spętali mu ręce jego własnym lassem. Potem ponieśliśmy na ustronie i związali mu nogi tak, iż leżał, jak dziecko w powijakach.

— Moi bracia niech przy nim zostaną — rzekł Winnetou. — Ja zaś niezwłocznie wrócę na górę, aby rozejrzeć się, co mamy dalej począć.

Poszedł. Wielka Strzała leżał u naszych stóp i wbił w nas spojrzenie, w którym malowała się niewymowna wściekłość. Kto inny na jego miejscu milczałby z pewnością. Ale on był tak pewny, że zbiegliśmy daleko, i taką płonął ciekawością że zagadnął:

— Gdzie się Old Shatterhand i jego towarzysze znajdowali, gdyśmy ich nie widzieli?

— W grobowcu twego ojca.

— *Uff!* Czemu nie uciekliście od razu?

— Nie chcieliśmy uciec bez broni i rumaków. Odzyskaliśmy je. — Winnetou i Old Shatterhand są nadal zuchwałymi wojownikami!

— A zatem widzisz, że wojownicy Komanczów muszą mieć o wiele więcej oleju w głowie, aby nas utrzymać w niewoli. Schwytałeś nas za sprawą zdrajcy. Ale to tylko raz jeden mogło się powieść. Tylko taki młody zuchwalec, jak ty, może powziąć myśl zamurowania nas w grobowcu ojca. Teraz wiesz już, że nie będziemy jego niewolnikami Wiecznych Ostępach.

— A jednak będziecie! Jeszcze nie odzyskaliście swobody.

— O, czujemy się tak pewni, jak gdyby wcale nie było na świecie Komanczów! Ta jedna broń, którą widzisz w mojej ręce, wystarczy, aby wszystkich, twoich wojowników, jednego za drugim, wysłać do przodków. Chyba słyszałeś o niej?

— Tak. Zły duch ci ją podarował. Możesz z niej strzelać bez przerwy.

— Skoro wiesz o tym, nie wątpisz chyba, że ujdziemy cało? Nie odezwał się. Zamknął na chwilę oczy, po czym otworzył je, obrzucając mnie ostrym spojrzeniem, i zapytał:

— Jestem w waszej mocy. Co zamierzacie ze mną począć?

— Gotowałeś nam śmierć męczeńską. Mieliśmy uschnąć w grobowcu twego ojca. Jakiegoż więc możesz się spodziewać losu?

— Śmierci. Poddacie mnie męczarniom, ale nie spodziewajcie się, że wyciśnięcie ze mnie jakikolwiek jęk.

— Nie poddamy cię męczarniom, ani nie zabijemy. Wszak nie męczyłeś nas, uszanowałeś w nas mężnych wojowników. Pojedziemy stąd i zostawimy cię w więzach. Nie za długo wrócą twoi wojownicy i uwolnią cię. Winnetou i Old Shatterhand nie łakną krwi ludzkiej. Nie zastrzeliliby ongiś twego ojca, gdyby nie spalił owych czterech białych twarzy.

W tej chwili wrócił Winnetou. Usłyszał ostatnie moje zdanie. Zwrócił się do wodza:

— Tak. Wielka Strzała może oznajmić swoim wojownikom, że Winnetou jest przyjacielem wszystkich czerwonych, lecz tomahawk odbija tomahawkiem. Chciałeś nas zgładzić, powinniśmy więc odebrać ci życie. Zachowaj je sobie. Jedno tylko zabierzemy. Musimy dogonić tego białego, który jest wielkim przestępcą. Związałeś się z nim i pozwoliłeś mu uciec wraz z kobietą, która nie jest jego *squaw*. Poza tym sprowadziłeś nas aż tutaj. Dzięki temu wyprzedził nas znacznie i tylko wysmienite wierzchowce potrafią tę zwłokę nadrobić. Wojownicy Komanczów mają o wiele lepsze rumaki, niż my. Wobec tego dokonamy zamiany.

— Czy Winnetou, słynny i mężny wódz Apaczów został koniokrądem? — zawołał jeniec.

— Nie, ale zbieg umknął z twojej winy, dlatego więc masz się postarać, abyśmy go dogonili. Zabieram twego konia, wypominaj to sam sobie. *Howgh!*

Ledwo skończył siedział już na koniu wódz. Skierował go ku ścieżce i dał nam znak, abyśmy go naśladowali. Emery chciał dosiąść swego wierzchowca, ale Apacz rzekł:

— Moi bracia niechaj tu zostawią swoje konie. Na górze znajdą lepsze.

Pojechał, nie spojrzawszy nawet na Komańcza, a my za nim. Było rzeczą oczywistą, że jeniec ubolewał nad stratą rumaka, był to bowiem wspaniały biegał. Wiedziałem zresztą parę niemniej wysmienitych pod niektórymi wojownikami Komanczów. Byłem tedy bardzo ciekaw, czy znajdę je na równinie. Winnetou zapewniał, że dostaniemy dobre konie, ale w jaki sposób, nie mówił. Jechał w milczeniu tak, jak gdyby gardził ostrożnością. Musiał być pewny swojej sprawy.

Na górze Komańcze poczynali sobie beztrosko. Rozjechali się na wszystkie strony, aby nas wytropić. Widzieliśmy ich dookoła z dala od nas, nachylali się nad ziemią, jak wypatrywali oczy za nieodkrytym śladem. Ponieważ konie mogły go podeptać i ponieważ, łatwiej szukać pieszo, spędzili rumaki w jedną gromadę i zostawili pod pieczę jednego tylko wojownika. Miejsce to nie było od nas odległe. Dzieliło nas najwyżej sześćset kroków. Strażnik siedział na ziemi odwrócony tyłem i obserwował zabiegi swoich towarzyszy.

— Usłyszysz kroki mego bieguna — rzekł uśmiechając się, Winnetou. — Zatrzymam się tutaj, moi bracia zaś niechaj pójda i wybiorą sobie dwa najlepsze rumaki.

Ze sztucerem w ręku podkradłem się wraz z Emery' m ku strażnikowi. Był tak zatopiony w obserwowaniu swych ziomków, że nie dosłyszał nawet, jak stanęliśmy za jego plecami. Rzekłem z zniechęcią:

— Czy zechciałby mi syn Komanczów powiedzieć, czego tu szukają jego bracia?

Odwrócił głowę, zerwał się jak oparzony i wybałuszył na nas oczy.

— Czy mój brat zrozumiał pytanie? — dodałem.

— Old... Shatterhand! — wykrztusił z wysiłkiem.

— Tak, to ja. A czy znasz wojownika, który siedzi tam na koniu?

— *Uff!* Winnetou na koniu wodza!

— Pewnie! A zatem powiedz, czego szukają twoi bracia?

— Szukają was! — wybełkotał nieprzytomnie.

— Nas? No, to pędź do nich i zawiadom, że my tu jesteśmy!

Nie przeszło mu nawet przez myśl wykonać polecenie. Wręcz przeciw nie, wciąż mnie oglądał, jak gdyby miał przed sobą marę. Skierowałem w niego lufę strzelby i rzekłem:

— Śpiesz się, powiadam, bo cię natychmiast zastrzelę!

— *Uff!* — zawołał przerażony.

Odwrócił się i wziął nogi za pas. Teraz nikt nam nie przeszkadzał. Winnetou podjechał bliżej. Wybraliśmy dwa najlepsze, osiodłane konie.

Indianin umykał co sił i wydawał straszliwe tyki, które słyszeć było na milę. Kamraci spostrzegłszy go, zewsząd zaczęli się doń zbiegać. Wskutek tego droga została uwolniona. Skoczyliśmy na siodła i pomknęli w galopie na południe, gdzie na odległość strzału nie widać było ani jednego Indianina. Później skręciliśmy na zachód.

BRATOBÓJSTWO

Ani nam przez myśl nie przeszło wracać do tego miejsca rzeki Canadian, gdzie rozstał się z Indianami Jonatan Melton, byłaby to niepotrzebna strata czasu. Trzymaliśmy się raczej, o ile teren pozwalał, linii powietrznej do Albuquerque. W drodze nie przytrafiła się żadna, godna uwagi przygoda. Czwartego dnia wieczorem stanęliśmy u celu.

Miasto Albuquerque bierze swą nazwę od księcia Albuquerque, który był ongiś wicekrólem Meksyku. Albuquerque oznacza biały dąb — *alba quercus*. Miasto składa się właściwie z dwóch dzielnic, wcale do siebie niepodobnych, oddzielonych obszerną, niezabudowaną przestrzenią. Stara dzielnica hiszpańska zachowała w czystości dawny charakter kastylijski i nigdzie chyba nie przeciwstawia się tak wyraźnie współczesnemu amerykańskiemu. Nowe zaś Albuquerque ma wygląd zwykłych miast amerykańskich, wyrosłych jak grzyby po deszczu. Marne, niebrukowane ulice i zaułki z drewnianymi chodnikami dla przechodniów. Budynki drewniane, oblepione sklepami i szynkami wszelkiego rodzaju. Całe miasto leży na prawym brzegu Rio Grande del Norte, na lewym zaś wielka wieś Atrisco.

Można było nawet nie wiedzieć, że zbiegowie wyznaczyli sobie spotkanie w salonie Plenera, aby ich szukać nie w hiszpańskiej, lecz meksykańskiej dzielnicy. Nie uważaliśmy za właściwe od rani w trzech odwiedzić ów zakład. Zajechaliśmy do innego tzw. hotelu, który bynajmniej nie był godny tej nazwy. Zostałem tu wraz z Winnetou, Emery zaś pojechał wprost do Plenera. On najmniej ściągał na siebie uwagę. Poleciliśmy, aby nie narzucał się swą powierzchownością ale za to tym gorliwiej zasięgał języka.

Był już, jak rzekłem, wieczór, gdyśmy przyjechali. Znużeni podróżą, zamierzaliśmy się wcześniej położyć. Gdy, przy kolacji oznajmiłem to posługaczowi, odezwał się:

— Bardzo niesłusznie *gentlemans!* Powiadam wam, że Albuquerque jest ponurym gniazdem i skoro się tu nastrecza sposobność, to należy z niej stanowczo skorzystać, zamiast się kłaść do łóżka.

— Cóż takiego? Jest pan wprost wzruszony, *master!*

— Bo też jest czym się wzruszać! Gdybyście tylko zobaczyli naszą Hiszpankę, *sir!*

— Widziałem już wiele Hiszpanek. Cóż to za jedna?

— Śpiewaczka. Powiadam panu, całe Albuquerque szaleje za nią. Chciała wystąpić tylko jeden raz, ale powodzenie było tak ogromne, że zdecydowała się dać jeszcze dwa wieczory.

— Jak się nazywa ta niezwykła śpiewaczka?

— Pajaro.

— Pięknie brzmiące nazwisko!

— Prawdziwe hiszpańskie. To rodowita Kastylijka, aczkolwiek nade wszystko lubi śpiewać niemieckie pieśni.

— Jak to? Hiszpanka, śpiewająca niemieckie pieśni?

— Tak. Czy to pana dziwi? Jeśli nie lubi pan pieśni niemieckich, to dlatego, że pan nie słyszał, jak śpiewa je seniora Marta Pajaro. A nawet warto również posłuchać jej brata skrzypka! Powiadam panu, że nie znam takiego drugiego wirtuoza, jak ten Francisco Pajaro!

— A więc Marta i Francisco Pajoro? zaciekałeś mnie pan naprawdę. Może się zdecyduję pójść ich posłuchać. Gdzie odbywa się koncert?

— W *saloonie* naprzeciwno. Bilety wszystkie rozprzedane, wykupione i rozchwytywane. Tylko ja mam jeszcze kilka. Miejsce kosztuje właściwie dolara — jak mi pan zapłaci dwa, to panu sprzedam.

— Ach, chce pan zarobić sto procent! Niech tam! Daj pan dwa bilety.

Czytelnik zapyta chyba, dlaczego kupiłem bilety, mimo podwójnej ceny? Z łatwo zrozumiałego powodu: Pajoro znaczy „ptak”, po niemiecku Vogel. Rodzeństwo miało imiona Marta i Franciszek. Lzyz mc nasuwali się na myśl moi starzy znajomi — rodacy, których

sprawy spadkowe zagnały mnie i Winnetou do Egiptu i Tunisu, a teraz znów sprowadziły do Ameryki? Hiszpanka, śpiewająca pieśni niemieckie, — zjawisko nieco osobliwe. Raczej należało przypuścić, że śpiewaczka jest Niemką, że tu, w Nowym Meksyku przybrała nazwisko hiszpańskie. Podzieliłem się domysłami z Winnetou, który z miejsca zgodził się pójść na koncert. Do rozpoczęcia mieliśmy pół godziny, trzeba więc było się śpieszyć. Posługacz hotelowy nie skłamał, przynajmniej co się tyczy publiczności. Salonem była buda, sklecona z desek, tak wielka, że mogła pomieścić sześćset osób, a jednak tylko nieliczne krzesła w ostatnich rzędach były wolne. Tam się usadowiliśmy.

Po kilku minutach wszystkie miejsca zostały zajęte. Przybywało jednak coraz więcej ludzi i zapełniało przejścia. Scenę stanowiło podium, na którym stał fortepian.

Niebawem wstąpili na podium oboje artyści. Tak, to byli oni, Franciszek Vogel i jego siostra. Franciszek trzymał skrzypce, ona zaś siadła do fortepianu. Zagrał jakiś brawurowy *opus* stwierdziłem w jego grze znaczne postępy. Martę widziałem z profilu. Rozwinęła się już całkowicie i wypiękniała. Cierpienia i troski ostatnich lat uduchowily jej twarz i nacechowały piękne rysy bolesną powagą, która mnie przepełniła żalnością. Skończywszy pierwszy numer, oboje ukryli się za zasłoną.

Drugi numer był popisem Marty z akompaniamentem Franciszka. Śpiewała hiszpański romans, śpiewała tak pięknie, że musiała pieśń powtórzyć. Marta nie uciekała się do tanich efektów toaletowych, nosiła długą czarną suknię, wysoko zapiętą pod szyję. Jedyłą ozdobą była róża we włosach. Rodzeństwo popisowało się na przemian lub razem.

Marta zaśpiewała dwie pieśni góralskie, hiszpańską serenadę, po czym nastąpiła wspaniała pieśń niemiecka: *Widziałem cię raz tylko jeden*.

Większość publiczności nie rozumiała tekstu, a jednak zabrzmiał tak huczny poklask, że budynek nieomal zatrzęsł się w posadach. Śpiewaczka musiała bisować dwie strofy.

Winnetou oczywiście poznał Franciszka Vogla. Zapytał mnie:

— Czy mój brat nie pójdzie dowiedzieć się ich adresu? Musimy wszak z nimi pomówić.

Miał słusność. Artyści występowali po raz ostatni. Być może, jutro już mieli odjechać. Trzeba się było z nimi porozumieć. Podniosłem się, by do nich podejść. Musiałem się przedzierać przez tłum widzów, skupionych w przejściu, czym zwróciłem na siebie uwagę. Nagle usłyszałem przerażony, cichy okrzyk:

— *All devils! To Old Shatterhand!*

Obejrzałem się i zobaczyłem dwóch osobników, noszących szerokie *sombreros*. Spod olbrzymich rond widać było tylko ciemne brody. Widząc, że ich obserwuję, odwrócili się w przeciwną stronę. To mnie zastanowiło. Niestety, głośno wymówione imię zwróciło na mnie mnóstwo spojrzeń. Mocno zażenowany, przedzierałem się dalej.

Artyści podczas pauz ukrywali się za zasłoną. Dotarłszy do niej, zapytałem po niemiecku:

— Czy wolno wejść znajomemu?

Uchylono zasłonę. Wszedłem i stanąłem wobec Voglów.

— Kto... kto... jakże... pan, to pan? — zapytał Francisco z oszołomieniem, cofając się dwa kroki.

— Panie doktorze! — krzyknęła niemal Marta.

Miałem wrażenie, że się zachwiała na nogach. Wyciągnąłem rękę, aby ją podtrzymać. Uchwyciła moją dłoń, ucałowała, zanim zdołałem zapobiec temu i wybuchnęła głośnym łkaniem. Doprowadziłem ją do krzesła, posadziłem łagodnie i rzekłem do Franciszka:

— Jakże się cieszę, że was widzę! Mam wam do powiedzenia wiele ważnych rzeczy, ale nie będę teraz przeszkadzał. Podajcie mi swój adres.

— Ostatni dom przedmieścia, nad rzeką, — odpowiedział.

— Czy będę mógł was odprowadzić do domu po koncercie?

— Ależ tak, tak, bardzo pana prosimy!

— Dobrze. Zajdę tu po was. Jest ze mną Winnetou.

Marta ukryła twarz w rękach i płakała. Aby swą obecnością nie spotęgować jej podniecenia, wróciłem do audytorium. Mijając miejsce, gdzie poprzednio wymieniono moje nazwisko, chciałem się uważnie przyjrzeć obu nieznanym, ale krzesła ich były już puste. Uciekli. Bodajbym nie odszedł był od nich!

Dopiero po dłuższej pauzie wyszła na podium para artystów. Marta musiała się uspokoić. Franciszek zagrał utwór koncertowy, po czym publiczność zachwycona i porwana niechętnie opuszczała salon. Sporo czasu minęło, zanim sala się opróżniła. Winnetou wyszedł wraz z tłumem, zostawiając mnie samego z rodzeństwem Vogel. Byłem z tego rad, gdyż rozmawialiśmy po niemiecku i Winnetou nic by nie rozumiał. Skoro uznałem, że już nikt spośród oczarowanych słuchaczy nie będzie się narzucał śpiewaczce z wyrazami hołdu, rozchyliłem zasłonę. Po krótkiej chwili milczenia podałem jej ramię i opuściliśmy lokal. Franciszek został, aby załatwić rachunki z gospodarzem.

Niebo wieczorne miało ten dziwny kolor, właściwy firmamentowi Nowego Meksyku, gdzie często przez całe rok nie pada kropla deszczu. Księżyc świecił, było widno, niemal jak za dnia. Dom, który oboje rodzeństwo zamieszkali na krótki czas pobytu w Albuquerque, wznosił się w pobliżu rzeki. Gospodyni. Hiszpanka, była wdową. Marta nie chciała ulokować się w tutejszych gospodach, które wprawdzie noszą nazwę hoteli lecz nie posiadają żadnych wygód, a są bardzo drogie i, co najważniejsze, skupiają wszelką zbieraninę istot, zagrażających nie tylko wygodzie i spokojowi, lecz osobistemu bezpieczeństwu. Wąska, wydeptana ścieżka zaprowadziła nas nad brzeg rzeki. Przez krzaki nadbrzeżne widać było obrastającą rzekę, gęste sitowie. Gospodyni otworzyła drzwi. Oczekiwała powrotu rodzeństwa toteż wielce była zdumiona, gdy zobaczyła lokatorkę w towarzystwie obcego mężczyzny. Ale, nic nie mówiąc, oświetliła wąskie schody, prowadzące na piętro, gdzie w trzech pokojach mieszkali Voglowie. Domy z takimi piętrami są nader rzadkie w Albuquerque. Gospodyni, zapaliwszy lampy, wyszła, uprzednio jednak upewniła się, że brat Marty wkrótce przyjdzie.

Siedzieliśmy naprzeciw siebie. Trzeba było mówić, zacząłem więc:

— Wie pani naturalnie, że Franciszek odwiedzał mnie w Europie i poinformował o waszej sytuacji?

— Tak. To ja dodałam mu odwagi, aby się zwrócił do pana.

— Aż odwagi?

— Rozumie się. Mniemał, że się pan nie zechce nami zająć po tym wszystkim, co zaszło.

— W takim razie, niestety, nie myśli o mnie tak, jakbym sobie tego życzył. A zresztą, to Winnetou skierował was do mnie.

— Bóg nam zesłał tego złotego człowieka. Wydźwignął nas z nędzy i tylko dzięki jego poparciu mogliśmy rozpocząć tournée koncertowe.

— Jak się wam opłaca?

— Wyśmienicie! Pierwszy nasz występ spotyka się zwykle z rezerwą, potem publiczność domaga się parokrotnego powtórzenia koncertu.

— A teraz dokąd jedziecie?

— Do Santa Fé i dalej na wschód.

— Aha! Nie jest już pani zadowolona z dotychczasowego powodzenia, chcesz zostać milionerką!

Z opuszczonymi oczami, z wyrazem głębokiej powagi odezwała się:

— Milionerką? O, nie chciałabym po raz drugi być nią, w każdym razie za tę cenę, jak już raz musiałam zapłacić. Przekonałam się aż zbyt prędko, że byłam tylko olśniona bogactwem. Mówi pan o moim powodzeniu? Niech pan nie sądzi, że ono mnie upaja! Wie pan, że już wówczas wolałam śpiewać w domu, niż przed publicznością. Nie marzyłam bynajmniej o przyszłości śpiewaczki, którą może słuchać każdy, kto zapłacił za bilet. O wiele lepiej by mi było, gdyby mnie wówczas nie odkrył kapelmistrz. Zaopiekował się mną, wszak nie mogłam się temu przeciwstawić. Gdyby tego nie uczynił, pozostałabym nadal biedną hafciarką i...

Nie dokończyła zdania. Ponieważ się nie odzywałem się, podjęła:

— Byłabym może szczęśliwsza, albo, co więcej, zostałabym nadal tak szczęśliwa, jak byłam podówczas.

— Mam nadzieję, że nie zalicza się pani do osób nieszczęśliwych! Odemknęła powieki, w zamyśleniu wpatrzyła się w przestrzeń ponad swoją głową i rzekła:

— Czym jest szczęście i nieszczęście? Nie należy mieszać szczęścia z wiecznie trwającą radością, a nieszczęścia z nigdy nie ustępującym bólem wewnętrznym. Ale jeśli mnie pan zapyta, czy jestem zadowolona, wówczas odpowiem panu tak, skoro się do tego... zmuszę.

Rozmowa przybierała obrót nieco męczący. Dlatego ucieszyłem się, kiedy wrócił Franciszek. Przyniósł jakieś zawiniątko. Złożywszy na stole, podał mi rękę i rzekł:

— Serdecznie pana witam, panie doktorze! Któżby mógł przypuszczać! Oniemiałem ze zdumienia, ale i radości, gdy pana ujrzałem. Ale teraz uczymy nasze spotkanie. Przyniosłem coś w tym celu. Odgadnijcie, co?

— W każdym razie wino?

— Tak, ale jakie? Oto przeczytaj pan!

— Riedesheimer Berg — przeczytałem.

— Tak — rzekł, śmiejąc się i podsuwając mi pod oczy flaszkę. — A teraz dziwi się pan bardzo?

— Nie wcale nie. Raczej się gniewam.

— Dlaczego?

— To wino nie jest prawdziwe.

— Z początku skosztujemy!

— Niekoniecznie, gdyż nawet etykieta jest podrobiona. Miejscowość nazywa się Rudesheim, a nie Riedesheim.

— Ach! — krzyknął rozczarowany, oglądając uważniej etykietę, — Tego nie zauważyłem.

— Gruby byk ortograficzny! Jeśli etykieta została tu wydrukowana, to tym bardziej wino tutaj było tłoczone. Ileż pan zapłacił za flaszkę?

— Piętnaście dolarów.

— Za dwie?

— Za jedną.

— Tak, to jeszcze uchodzi! Bywają Rudesheimery, które na miejscu więcej kosztują. Można jeszcze przeboleć stratę trzydziestu dolarów. A więc skosztujmy!

Napełnił trzy szklanki. Trąciliśmy się i podnieśli szklanki do ust. Voglowie już po pierwszym hańsieniu zrobili miny niezbyt radosne. Ja wcale nie piłem, gdyż zapach mi wystarczył. Była to zbutwiała polewka z octu i rodzyneków.

— Niech się pan tym nie przejmuj — rzekłem. — Nie przyszedłem do was, aby się upić. Odsuń pan tę lurę i siadaj! Pomówimy o czymś ważniejszym.

— Tak, o pańskich czynach w Egipcie! — rzekł oglądając mnie z zaciekawieniem. — Zadanie jest ponad siły. Jestem przekonany, że nic pan nie wskórał. Nawet najmądrzejszy człowiek na świecie nie potrafiłby odnaleźć poszukiwanego, przy tak nielicznych i mglistych poszlakach.

— Hm! We mgle nieraz wpadają na siebie ludzie, którzyby się podczas pogody nigdy nie spotkali.

— Jak, co?! Co pan powiedział? To ma znaczyć, że pańska podróż nie była jednak daremna?

— To ma znaczyć, że zmuszę pańską siostrę do czegoś, co, jak się zdaje, jest jej nader niemiłe.

— Mianowicie?

— Twierdziła poprzednio, kiedy pana tu nie było, że nie ma chęci zostać znów, milionerką.

— Milionerką? Czy do tego właśnie chciałby ją pan zmusić?

— Tak. Mówię z całą powagą.

— To byłoby więcej niż dziwne, więcej niż cudowne! — zawołał, zrywając się z miejsca. Marta wpatrywała się we mnie uważnie ale nadal milczała.

— Nic cudownego nie ma w tej całej sprawie — rzekłem. — A dziwne jest tylko to, żeśmy jeszcze jej nie załatwili.

— A więc niech pan od razu przystąpi do rzeczy! Wyraził pan swego czasu przekonanie, że towarzysz Smalla Huntera jest oszustem i nazywa się Jonatan Melton.

— I tak jest istotnie.

— Czy spotkał go pan?

— Tak, jak również Smalla Huntera. Jednego martwego, drugiego żywego.

— Którego?

— Meltona. Smali Hunter nie żyje.

— Mój Boże! A więc jesteśmy spadkobiercami ogromnego majątku!

— Milionowego! — dodałem. Schwycił się za głowę i rzekł:

— Ktoby chciał uwierzyć!. Co za radość! Chociażby przez wzgląd na rodziców! Teraz czuje, że z radości można umrzeć, lub zwariować. Podejdz że pan, podejdz! Muszę pana uściskać, człowieku, jedyny, jedyny!

Chciał mnie podnieść z krzesła. Oparłem mu się i, aby ukrócić radosne wzruszenie, rzekłem:

— Niech się pan uspokoi! Sprawa nie doszła jeszcze do takiego punktu, aby można było zwariować z radości. Tak, to prawda, że jesteście spadkobiercami, ale spadku już nie ma. Jonatan Melton zdmuchnął go wam z przed nosa.

— O niebiosa! A więc kurator masy spadkowej. Fred Murphy, wydał mu spadek?

— Tak — odpowiedziałem i wyjaśniłem okoliczności tej afery.

— A wiec Melton musi natychmiast zwrócić wszystko! Gdzież jest ten szubrawiec? Bezwłocznie jadę go odszukać i zmusić do zwrotu majątku!

Mówiąc to, przyjął tak groźną postawę i tak wściekłą minę, że Melton, gdyby tu siedział, na pewno by struchlał z przerażenia

— Jakże! — dodał, gdy nie odpowiadałem. — Gdzie jest ten łajdak?

— Tu, w Albuquerque, — odpowiedziałem spokojnie.

— Co? Tu... w... Albuquerque?

— Tak. Czy pan nie rozumie? Wszak wyruszyłem w świat, aby zdemaskować tego człowieka. Nie schodziłem z jego tropu, a zatem, skoro tu jestem, nietrudno odgadnąć, co mnie sprowadziło.

— Ach, ta! To istotnie prawda! A więc tutaj jest, tutaj! Będę...

— Stój! — krzyknąłem, gdyż podbiegł już do drzwi. — Poczekaj chwilę! Wszak Melton nie stoi na schodach, aby panu poczciwie wpaść w objęcia. Miałem na myśli, że albo jest tutaj, albo, co najmniej, był tutaj, i to niedawno — najwyżej przed dwoma dniami.

— My tu bawimy od dłuższego czasu. I nie mieliśmy o tym pojęcia! Nie wie pan, czy jeszcze jest tutaj, czy już go nie ma? Więc nie mógł się pan dowiedzieć, do jakiego hotelu zajechał?

— Owszem, dowiedziałem się. Prawdopodobnie zajechał do Plenera

— Do Plenera! Bywałem tam kilka razy dziennie! Kto wie czy nie siedziałem z nim przy jednym stole!

— Możliwość taka istnieje.

— I nic nie wiedziałem! Ale to nie moja wina, gdyż nie miałem o tym wszystkim najmniejszego pojęcia! Pan, pan jest temu winien! Trzeba było od razu o niego pytać, skoro tylko przybyłeś do Albuquerque!

— Pytać? Ani mi się śniło! Chętnie przyjmę na siebie tę przewinę, że byłem ostrożny. Czy mogłem się pokazać? Gdyby mnie zauważył od razu by stąd drapnął.

— To prawda. Wybaczy pan! Te miliony całkiem mi rozum zaćmiły.

— Niech się pan skupi. Może pan być przekonany, że nie zaniedbam sprawy. Melton narobił nam wiele kłopotów. Wymykał się wciąż nie wskutek naszych błędów, lecz dzięki szczęściu, które mu stale dopisywało. Siadaj pan i pozwól sobie to opowiedzieć!

Opowiedziałem nasze przygody. Naturalnie na pierwszy plan wysunąłem działalność Winnetou i Anglika. Można sobie łatwo wyobrazić, z jaką ciekawością słuchali. Przerywali mi setkami zapytań i okrzyków, wskutek czego opowieść trwała bardzo długo. Nareszcie doprowadziłem ją do chwili bieżącej, po czym mogłem się napawać zdumieniem obojga słuchaczy.

Franciszek obsypał mnie wyrazami najwyższego uznania. Powstrzymałem go jednak, mówiąc:

— Niech pan to powie nie mnie, lecz *sir* Emery'emu i Winnetou, których wnet zobaczycie. Obaj zasłużyli na pochwały, o ile nam się powiedzie doprowadzić sprawę do szczęśliwego kresu.

Marta milcząco podała mi rękę, co mnie bardziej wzruszyło, niż nadmiernie głośne pochwały jej brata. Chodził teraz po pokoju tam i z powrotem, mruczał, kiwał głową wydawał niezrozumiałe dźwięki, groził pięściami, jak gdyby miał przed sobą Meltona.

— Nie wojuj pan z powietrzem, mój miły przyjacielu! Nic nie wskórasz, ponieważ opowiedziałem już wszystko, wróć spokojnie do hotelu. Zapewne był tam lub jest jeszcze Emery, aby zdać sprawę z pobytu, w *saloonie* Plenera. Jeśli Melton dotąd nie wyjechał, mamy ptaszka w ręku. Ale jeśli go już nie ma, jutro rano wyruszamy w dalszą drogę. Co się zaś tyczy ojca i stryja, to... hm, śmiem twierdzić, że są tu, a nawet, że ich widziałem.

Opowiedziałem zdarzenie z sali koncertowej.

— Obaj noszą *sombrera*? — zapytał Franciszek w zamyśleniu. — Powiedz mi pan, jak wyglądali?

— Chudzi i wysocy, jednakowego prawie wzrostu.

— Zdaje się, że widziałem ich wracając do domu!

— Gdzie?

— Między tym, a pierwszym domem na ścieżce koło rzeki.

— Aha! Czyżby mnie śledzili?

— Wątpię! Wszak nie wiedzą, że nas pan odwiedziłeś.

— Myli się pan, Meltonowie są wielce doświadczonymi *westmanami*. Przypuśćmy, że to oni są owymi słuchaczami z sali koncertowej. Zobaczyli mnie i drapnęli — od razu sobie powiedzieli, że przyjechałem w pościgu za nimi, dlatego też szybko czmychnęli.

— Ale skądżeby się tu wzięli? Nie mogli przecież odgadnąć, że pan pójdzie do nas!

— To prawda. Nie poszli też wprost tutaj, lecz ukryli się w pobliżu koncertowej sali, aby wysłedzić, gdzie mieszkam. Widząc, że odprowadzam pańską siostrę, poszli za nami i zaczęli się w pobliżu, aby mnie unieszkodliwić. Czy widział ich pan?

— Naturalnie! Musiałem ich wyminąć. A teraz przypominam sobie nawet, że złękli się, usłyszawszy za sobą kroki, i szybko się odwrócili!

— Na dworze jest tak jasno, że widać wszystko wyraźnie. Czy zauważył pan, jak byli uzbrojeni?

— Nie przyglądałem się, czy mają noże, pistolety, albo rewolwery. Śpieszyłem do domu, ale to jedno dostrzegłem, że trzymają strzelby

— Nikt bez powodu nie włóczy się po mieście ze strzelbą. Na koncert przecież nie zabrali ze sobą broni. A zatem, jeśli zaopatrzyli się w nią po koncercie, to widocznie uważali, że im się przyda. A zwłaszcza, że czyhali w pobliżu waszego mieszkania. Niewątpliwie godzą na moje życie.

Marta chwyciła mnie za rękę prosząc:

— Na miłość boską, niech pan nie idzie! Musi pan tu zostać!

— Nie mogę. Winnetou i Emery czekają na mnie.

— Niech czekają do jutra!

— Do jutra może się zdarzyć coś, co będzie wymagało mojej obecności. W każdym razie wypatrują, mnie z niecierpliwością. Muszę iść, stanowczo muszę!

— A ja pana nie puszczać! — zawołała, chwytając mnie za drugą rękę. — Chcą pana zastrzelić. Niech się pan zastanowi, co to znaczy!

— To znaczy, że już niejedyn chciał mnie zastrzelić i strzelał, a jednak stoję przed panią żywy i zdrowy.

— Ale teraz niebezpieczeństwo jest zbyt groźne! Na ulicy czekają dwaj mordercy, pomyśl pan, dwaj mordercy!

— Niebezpieczeństwo byłoby groźne, gdybym o tym nie wiedział. Ale skoro wiem, nie ma obawy. Możliwe są dwie ewentualności: albo Meltonowie domyślili się, że pan mnie o nich powiadomi, a w takim razie poszli sobie precz, wiedząc że jestem ostrożny.

— A druga ewentualność?

— Że nie odeszli. Aby mnie zaskoczyć, zaszyli się w zagajniku nad rzeką. Wobec tego pójdę inną drogą.

— Pobiegną za panem i zastrzelą. Nie, zostań pan tutaj, proszę, błagam!

Prosiła szczerze i gorąco. Wiedziałem, że istotnie się lęka, ale nie mogłem ulec. Odpowiedziałem, zwalniając rękę z uścisku:

— Niech mnie pani nie usiłuje zatrzymywać. Muszę iść, muszę naprawdę, gdyż...

Naraz rozległ się wystrzał, a zaraz potem drugi. Jakiś głos zawołał:

— To tam! Tam, te opryszki z zagajnika!

To był głos Emery'ego. Wziąłem lampę, wręczyłem Franciszkowi Voglowi, mówiąc:

— Świeć pan! Prędko, prędko! Muszę iść!

Marta chciała mnie zatrzymać za rękaw. Wyrwałem się i wybiegłem na schody. Na dole nie mogłem otworzyć drzwi, ponieważ nie znałem mechanizmu zamkowego. Musiałem poczekać aż nadejdzie Vogel. Wreszcie znalazłem się na polu, ale mimo jasności nic nie można było zobaczyć.

Na górze, na schodach, stała Marta i wołała:

— Zostań pan! Słyszał pan, że to nie przelewki!

— Dla mnie niebezpieczeństwo minęło; bandyci zostali spłoszeni. Ale jeśli ich kule były celne, w takim razie lęk mnie przejmuje na myśl o Winnetou.

— Winnetou? — zapytał Vogel. — Sądzi pan, że to on był?

— Tak. Poznałem głos Botwella. Emery nie wiedział, że jestem u was. Musiał się tedy dowiedzieć od Winnetou, a ten nie puściłby go samego.

— I lęka się pan o Winnetou?

— Tak. Jeśli kula nie chybiła, to trafiła w niego. A Emery, jak można było sądzić z okrzyku pobiegł za złoczyńcami. Głosu Apacza nie słyszałem. Musiał... ach, Bogu dzięki, oto nadchodzą dwie postacie! Kamień mi się z serca zwałił. To oni, oni, i, zdaje się, żaden nie jest raniony!

Obaj biegli na przelaj przez puste pole. Byli to Winnetou i Emery. Skoczyłem im z radością naprzeciw i zapytałem:

— Czy nikt nie jest raniony?

— Nie — odpowiedział Emery — Kule były dobrze pomyślane, lecz źle wymierzone. Kto wie, co to byli za łotry! W każdym razie para tutejszych rycerzy nocnych. Przyjęli nas zapewne za kogoś innego.

— Nie sądz tak pochopnie! Na mnie czyhali ci rycerze. To starzy Meltonowie, jeśli sienie myślę.

— Pioruny! Czy to być może?

— Nie tylko być może, ale nawet wielce pewne.

— Do kroćset! Gdyby tak istotnie było, gryzłbym się do samej śmierci! Z czego to wnosisz?

— Zaraz się dowiesz. Ale muszę wiedzieć, dokąd zmykali.

— Hen, daleko!

— I nie dogoniliście ich? Wszak Winnetou jest zawołanym biegaczem!

Teraz odezwał się Apacz:

— Winnetou pomknął za nimi. Niemal ich doścignął, gdy naraz dopadli dwóch rumaków i zrejterowali.

— Aha, więc tak? A ponieważ nie mieliście broni, więc nie mogliście strzelać. Plan był wcale nieźle pomyślany. Uciekli, szukaj wiatru w polu.

— Tak sądzisz? — zapytał Emery. — Jeśli się wrócą i przyczają, to grozi nam znowu niebezpieczeństwo.

— Uciekli — o tym nie wątpię. Ponieważ was widzieli i poznali, przynajmniej Winnetou, więc nie odważą się wrócić. Chodźcie ze mną na górę. Seniora pozwoli?

Byłem zadowolony, że przyszli. Mogliśmy na miejscu omówić z Franciszkiem Voglem dalsze postępowanie. Marta była ucieszona widokiem owych dwóch ludzi, którym tyle zawdzięczała. Skorośmy weszli do pokoju, zagadnąłem Emery'ego:

— Przede wszystkim opowiedz, jak się to zdarzyło.

— Źle, bardzo źle! — mówił ze wściekłością — Gdybym przypuszczał, że te draby sterczą tu w polu, to...

— W polu? — przerwałem.

— Tak. A gdzie myślałeś?

— Nie u zagajniku nad rzeką?

— Nie. Dlaczego się tak pytasz?

— Potem. Opowiadaj!

— Wróciłem do hotelu, aby się z wami porozumieć, i zastałem tylko Winnetou, który mi powiedział, kogo spotkałeś. Czekaliśmy na ciebie długo, a ponieważ nie wracałeś, więc poszliśmy do ciebie.

— Ale Winnetou nie znał tego domu.

— Fraszki! Nie jesteśmy dziećmi, potrafimy zasięgnąć wiadomości. Oczywiście, pytaliśmy o mieszkanie państwa Pajaro. Obchodziliśmy wybrzeże, aby się przekonać, czy nie zatrzymał cię jakiś zły przypadek, gdy naraz w odległości czterdziestu, czy pięćdziesięciu kroków podniosły się z prawej strony w polu dwie postacie. Widzieliśmy, jak przyłożyły broń i padły na ziemię w chwili, gdy błysnęły wystrzały. Po czym skoczyliśmy i pobiegli ku strzelającym. Szubrawcy podali tyły i zmykali co tchu. Winnetou wyprzedził mnie; wiesz, że biega lepiej. Zbliżał się do nich coraz bardziej. Naraz ukazały się, jakby spod ziemi wyczarowane dwa wierzchowce. Złoczyńcy dopadli koni i ruszyli galopem. Taki był przebieg zdarzenia.

Lekki uśmiech przemknął przez twarz Winnetou.

— Winnetou był już tak bliski jednego, że uchwycił wierzchowca za ogon, ale puścił po pierwszym skoku.

— Wszak mieliście rewolwery. Czemuście nie strzelali?

— Nie wiedzieliśmy z kim mamy do czynienia, — odpowiedział Emery. — Gdybym przypuszczał, że to Meltonowie, inaczej bym postąpił!

— Mój brat niech tak nie mówi! — rzekł Apacz — Postąpiliśmy jak dzieci. Strzelali, są więc mordercami, a mordercom nie pozwala się zbiec. Nie powinniśmy byli się zrywać. Pomyśleliby, że jesteśmy ranni, a może nawet zabici i zbliżyliby się do nas, a wówczas... czy wie mój brat Emery, co byśmy zrobili?

— Do wszystkich piorunów! — zawołał natchnionym głosem Bothwell. — Naturalnie, że wiem! Złapałibyśmy ich i trzymali. Nie nas przecież uczyć, jak się traktuje takich łotrzyków! Tak, masz słuszość. Postępowaliśmy, jak sztubacy. Jakże można było tak zbaranieć! Powiedz mi tylko, Charley...

— Łatwo powiedzieć — odparłem. — Wszak, nic nie podejrzewając szliście swoją drogą. Byliście zaskoczeni, gdy tu, tak blisko miasta, znienacka powitano was strzałami. Dowodzi to niezwyklej przytomności ducha, żeście natychmiast padli na ziemię. Nikt nie może żądać więcej od najzręczniejszego nawet i najstynniejszego *westmana*.

— *Well!* To mnie pociesza. A jednak lepiej byłoby uciec się do fortelu Wimietou. Cóż, kiedy przepadło. Nie mówmy już o tym wypadku, nie przysparzajmy sobie zgryzoty.

— Tak, mówmy lepiej o wiadomościach, które zdołałeś zebrać. Czy masz coś ważnego?

— Tak. Jonatan Melton był tu i zatrzymał się z narzeczoną u Plenera.

— Kiedy?

— Wczoraj przed obiadem. Oboje posilili się, zmienili zaprząg i bezzwłocznie odjechali.

— Karetą?

— Tak. Plener dał im przewodnika. Pojechali przez Acoma do małego Colorado.

— Gdybyż w to można było wierzyć! A nuż chcieli sprowadzić nas na manowce.

— W takim razie Plener byłby w zмовie z Jonatanem.

— Niekoniecznie. Jonatan mógł go oszukać, aby i nas okpić.

— Może. Plener robi wrażenie hotelarza, kutego na wszystkie cztery nogi, ale łotrem nie jest na pewno. I po co by Jonatan się trudził, aby zachować ostrożność? Wszak jest pewny, że zginęliśmy w Dolinie Śmierci.

— Być może i właśnie dlatego nie zaciera za sobą śladów. Czy to wszystko?

— Nie. Plenerowi nie chciałem zbyt narzucać się z pytaniami. Zwróciłem się do jego ludzi, ale nic z nich nie mogłem wyciągnąć. Wobec tego wieczorem znów zagadnałem hotelarza. Powiedział, że dziś przed obiadem przyszli do *saloonu* dwaj mężczyźni, urządzili przyzwoitą pijatykę dopytywali się o Jonatana. Udzielił im tych samych informacji co i mnie. Wkrótce potem odeszli.

— Przyszli więc pieszo?

— Tak. A teraz jeszcze przypominam sobie, że napomknął, iż nosili na głowie wielkie *sombreros*.

— A zatem ojciec i stryj Meltonowie. Byli tak przezorni, że nie ruszyli do Plenera, lecz tylko wstąpili na chwilę.

— Ale czemu pozostali w mieście do wieczora, a nie pomknęli od razu w ślad za swoim drogim Jonatanem?

— Prawdopodobnie dlatego, że byli zmęczeni i dlatego, że chcieli dać wypoczynek koniom.

— O ile nie zamienili zmęczonych wierzchowców na wypoczęte. Pieniędzy chyba im nie brak.

— Naturalnie, Jonatan z pewnością obdzielił ich gotówką. Przybyli tu inną drogą, niż Jonatan, że względu na przezorność. Dziś wieczorem dla rozrywki poszli na koncert i ujrzeli mnie. Wywnioskowali stąd wcale trafnie, że dotrzymujecie mi towarzystwa. Skradali się za mną i, czatując, wypatrywali nad rzeką. Lecz oto wyminął ich *master* Vogel. Wiedzieli, iż jest bratem pani Marty; u której goszczę, i przypuszczali, że mnie ostrzeże.

— A jednak nie uciekli? Myślałem, że wezmą nogi za pas.

— Ani im w głowie nie powstało. Byłem sam jeden i przy tym nieuzbrojony. Wiedzieli o tym, więc łatwo mnie było ukatrupić. Mogli do mnie strzelać z odległości, na jaką nie niosą rewolwery. Jakże sobie sprytnie poczynali!

— Sprytnie? Wręcz przeciwnie. Jestem zdania, że nie mogli głupiej postąpić.

— O nie! Postąpili sprytnie, że nie zaczaili się nad rzeką. Byłem ostrzeżony, że tam właśnie czatują. Stąd można było przypuścić, że pójdę przez pole. Istotnie, tak właśnie postanowiłem. Przypadli zatem w polu, niedaleko rzeki, aby mnie trafić w tym wypadku, gdy pójdę ścieżką nadbrzeżną. Lecz oto nadeszliście wy. Oczywiście zbrodniarze od razu poznali.

— Mnie również?

— Naturalnie. Winnetou nietrudno poznać, nawet w głębszym mroku, niż dzisiaj. Widzieli mnie. Teraz ujrzeni Winnetou, więc domyślili się, kim ty jesteś. Byliście dla nich równie niebezpieczni, jak ja. Dlatego potraktowali was kulami, przeznaczonymi dla mnie. Musimy Bogu podziękować, że wniwecz obrócił ich zamiary.

— Stanowczo. Z początku niebezpieczeństwo groziło tobie, ale następnie i nam śmierć zajrzała w oczy. Podczas gdy kule gwizdały nad nami, ty siedziałeś tutaj bezpieczny. Ale jakże im wpadło na myśl trzymać konie w pogotowiu?

— Ponieważ zobaczyli mnie na koncercie. Być może, zobaczyli także Winnetou. Wiedząc, że ich będziemy szukać, pomyśleli zawczasu o ucieczce. Gdy wysledzili, dokąd poszedłem, wrócili po konie i trzymali je w pogotowiu, aby zaraz po morderstwie salwować się ucieczką.

— Dokąd pojechali?

— Zapewne w ślad za Jonatanem. Nie ulega wątpliwości, że umówili się z nim przed wyjazdem z Nowego Orleanu.

— Ale jak tu przybyli inną drogą, tak sarno inną mogą teraz pojechać? Wówczas odezwał się Winnetou:

— Zamek białej *squaw*, który jest celem ich ucieczki, wznosi się między małą Colorado a Sierra Blanca. Prowadzi tam tylko jedna, dogodna droga o czym wiedzą ci, którzy tam już byli. Tę właśnie drogę obrał błada twarz Jonatan. Czemuby mieli jego ojciec i stryj jechać gorszymi drogami?

— I ja tak sędzę — potwierdziłem. — Starzy Meltonowie są nader zuchwałymi łotrami. Nie zadają sobie wiele fatygi, chyba z konieczności. Jestem bezwzględnie przekonany, że pojedą drogą na Acoma. Jutro skoro świt, wyruszymy w pościg.

— Ja wam towarzyszę! — zawołał podniecony Franciszek Vogel. — Pan? — roześmiałem się. — Czy chce pan koncertować na wierzchołkach Sierra Blanca?

— Świerzbi mnie, żeby zagrać Meltonom taką melodię, żeby jej nigdy nie zapomnieli.

— Pozostaw to nam, drogi przyjacielu. Jest pan wielce dzielny skrzypkiem, ale to nie pańskie nuty kryją się w kanionach Colorado. Jedziemy za Meltonami, aby im odebrać łup. W tej wyprawie pan się nam nie przyda. Wyprawa nie potrwa długo. Jedź pan tymczasem do Santa Fé z koncertami. Odwiedzimy was tam i złożymy u waszych stóp miliony.

— Nie, nie! Pan ma się uganiać za bandytami, za mordercami, aby mnie wzbogacić, a ja tymczasem mam koncertować? Nie potrafiłbym pociągać smyczkiem po strunie! Nie sprawiaj mi pan przykrości i nie skazuj na bezczynność! Chyba bym był do cna wyprany z honoru, gdybym na to przystał.

Właściwie miał rację. Mieliśmy się narażać dla niego, me dziw, że chciał dzielić nasz los. To samo chyba pomyślał Emery, albowiem zapytał:

— Czy umie pan znośnie jechać?

— Nie tylko znośnie. Tego się uczyłem na wsi od dzieciństwa.

— A obchodzić z bronią?

— Mistrzem w strzelaniu nie jestem, ale już nie raz strzelałem i, jeśli podejną na odległość trzech kroków, to na pewno nie chybię. Widzi pan, że jestem gotów służyć w miarę swoich skromnych sił.

— Hm. Jak myślisz, Charley? Chłopak ma odwagę, Wzruszyłem ramionami, ale nie oponowałem. Istnieje także odwagą która wypływa z nieznamości stosunków i niebezpieczeństw. Cma odważnie lata nad świecą, gdyż nie wie, czym jej grozi płomień.

Teraz i Marta zaczęła prosić, abym zabrał ze sobą jej brata. Zauważyła mój ruch i zwróciła się do Emery'ego. Rycerski Anglik nie był z gatunku „silnych mężczyzn” — nie mógł się oprzeć pięknej młodej kobiecie.

— Czy widzisz jakieś ważne przeszkody, Charley?

— Nie. Pomów o tym z Winnetou. Niech on rozstrzygnie.

Skoro wspominam o Winnetou, muszę wyjaśnić, że aczkolwiek rozmawialiśmy po niemiecku, to jednak w miarę potrzeby tłumaczyliśmy mu przebieg rozmowy. Skoro Emery wyłożył rzecz całą, Apacz rzekł:

— Winnetou jest przeciwny temu, albowiem ten młody człowiek tylko nam przeszkodzi, zamiast pomóc. Ale idzie o jego pieniądze, które złupili złodzieje, a zatem nie możemy odmówić jego życzeniu. Ale niech się nie łudzi, że na drodze naszej będą wyrastać róże. Całe osiem dni spędzimy w siodle, zanim dotrzemy do celu.

— Chętnie to przetrwam — rzekł po angielsku Vogel.

— Jeśli mój młody brat zdobędzie do świtu dobrego konia z siodłem, cugłami i broń z amunicją, to niech z nami jedzie, w przeciwnym razie nie będziemy mogli nań czekać, bo czas nagli.

Vogel ujął mnie za rękę i poprosił:

— Pomóż mi pan, drogi panie doktorze! Koni w Albuquerque nie brak, broni i amunicji także, aczkolwiek ceny są wygórowane. Większość sklepów jest jeszcze otwarta. Chce pan pójść ze mną?

— Chętnie. Prędko to załatwimy i będziemy mogli się przez kilka godzin pizespać.

Teraz nastąpiło coś, czego się nie spodziewałem. Marta zapytała:

— Czy sądzi pan, że Judyta z Meltonem dojedzie szczęśliwie.

— Sądzę.

— W takim razie, proszę aby kupił pan dwa konie i siodło damskie.

— Czy dobrze panią rozumiem chce pani dla siebie wierzchowca?

— Tak. Pojadę z panami.

— Niepodobna! Na to nie możemy się zgodzić.

— Czy Judyta nie znosi podobnych trudów podróży?

— Ona podróżuje w karecie. To jest co innego.

Nie mogłem jej jednak trafić do przekonania. Emery musiał w duszy śmiać się z życzenia Marty, zachowywał jednak powagę i grzeczność, nie chciał oponować. Zwróciliśmy ją przeto do Winnetou, gdyż byłem przekonany, że wódz lepiej potrafi odmówić, nie urażając jej ambicji. I tak się też stało.

Atak młodej przedsiębiorczej kobiety był zatem zwycięsko odparty. Winnetou, Emery i ja pożegnaliśmy się z Martą. Obaj pierwsi poszli do domu, ja zaś z Voglem udaliśmy się na poszukiwania wierzchowca oraz sprzętu podróżnego, w który miał się Vogel zaopatrzyć. Musieliśmy budzić rozmaitych *misters*, *masters* i *seniores* i z powodu zakłócenia spokoju nocnego płacić sutą nadwyżkę w dolarach i piastrach. Szczególnie wiele kłopotu mieliśmy z koniem. Stare zapracowane szkapy pokazywano tuzinami, ale szlachetnego zwierzęcia nie można było dostać nawet na lekarstwo.

Kołataliśmy do ósmych, dziewiątych, dziesiątych drzwi, zrywając ze snu mieszkańców, aż wreszcie jakiś dzielny człowiek sprzedał nam starego, ale jeszcze dość dobrego konia — który wart był czterdzieści dolarów — za „marne” osiemdziesiąt. Wiedział bowiem sprytny kupczyk, że nam na koniu zależy. Vogel nie zastanawiał się nad kupnem. Koncerty tak mu się popłacały, że mógł sobie pozwolić na ten wydatek. Było już tak późno, że Vogel, który musiał jeszcze poczynić przygotowania do podróży, nie miał czasu na spoczynek. Przyszedł do nas w godzinę po świcie. Niebawem przepawiliśmy się przez rzekę do Atrisco, a następnie pojechali na południowy zachód do Rio Puerto.

Pomijam milczeniem szczegóły tej jazdy, muszę tylko wspomnieć, że Vogel trzymał się znośnie na koniu, ale mimo to, ponieważ wierzchowiec jego nie dotrzymywał kroku naszym komanczowskim biegunom musieliśmy jechać wolniej. Gdzie niegdzie napotykaliliśmy wyraźny trop dwóch ruaków — niezawodnie należały do Meltonów. Wyprzedzili nas o całą noc, jednakże pewne, nieomyłne znaki wskazywały, że zbliżamy się do nich powoli, ale

nieustannie. Gdyby nie jechał z nami Vogel, moglibyśmy jazdą *par force* doścignąć ich bardzo szybko.

Wieczorem drugiego dnia dotarliśmy do Acoma, do starego indiańskiego pueblo, gdzie, jak sądziliśmy, zatrzymali się też obaj Meltonowie.

Pueblo jest to warowne miasto dawnych mieszkańców tego kraju. Zostało ich w Nowym Meksyku wszystkiego dwadzieścia. Najznacześniejsze to Taos, Laguna, Isleta i Acoma. Nie należy sobie wyobrażać tych starych miast i wiosek jako miejscowości, zabudowanych domami, pociętych szeregami ulic. Wznoszono je jako fortece dla obrony przed napadami wrogów. Są to zatem warownie, ale architektonicznie, nie w naszym znaczeniu tego słowa, ciężkie budowle gliniane lub kamienne, stosownie do przewagi jednego lub drugiego materiału, budowle bez stylu, nierozczłonkowane, jeśli nie nazywać rozczłonkowaniem tego, że wyższe piętra są cofnięte wstecz.

Proszę sobie wyobrazić dwie dosyć oddalone ściany skalne, między którymi leżały niegdyś większe i mniejsze bloki. Zwalono je razem i zlepiono gliną, powstał mur, wysokości jednego piętra, który sięgał od jednej do drugiej ściany. Nie było w nim ani drzwi, ani okien. Przestrzeń, zawarta między murem a skałami, zabudowano dalszymi ścianami z gliny w szereg czworokątów, po czym całość pokryto u góry grubą warstwą gliny, w której poczyniono otwory, stanowiące wejście do czworoboków i mieszkań. Nad tą budowlą parterową wzniesiono z tego samego materiału i w ten sam sposób drugie, trzecie itd. piętra, lecz tak, że każde wyższe piętro było cofnięte o parę lub więcej metrów, a zatem miało jak gdyby taras na dachu niższego piętra. Zasadniczo otwory w dachach służą zamiast drzwi i okien. Aby dostać się do mieszkania, trzeba się wspiąć na wyższe piętro i stamtąd przez odpowiedni otwór zejść, jakby do piwnicy. Dostać się zaś na taras parterowy można tylko za pomocą drabiny. Kiedy się więc drabinę wciąga na płaski dach, dostęp dla wroga jest utrudniony i niebezpieczny. Na wyższe piętra prowadzi czasem ułożony w kształcie stopni mur, ale najczęściej także i tu używa się drabin, które w każdej chwili mogą być wciągnięte na górę. Widzimy więc, że budowle te ongiś doskonale służyły ku obronie. Gdy wszystkie drabiny zostały wciągnięte na górę, wróg musiał własne drabiny przystawiać i wdrapywać się na platformę parteru, przy czym wystawiał się strzały ze wszystkich wyższych pięter, a poza rym na niebezpieczeństw a ataku z wnętrza dolnego piętra. A gdy po morderczej walce opanował pierwszą platformę, musiał ponowić niebezpieczne wysiłki, aby dostać i wywalczyć drugą. Pizy tym nie miał żadnej osłony, podczas, gdy system tarasowy budowli stanowił wyśmienitą osłoną dla atakowanych.

Tak wygląda właściwe, prawidłowo zbudowane pueblo. Ale takie są nader rzadkie. Zazwyczaj są to nieprawidłowo sklecone kompleksy najrozmaitszych komórek z gliny, wzniesione zwykle w ponurych miejscowościach, wyglądająca jak szkaradne rumowiska. W takich pustych wewnątrz kostkach z gliny roiło się niegdyś od setek i tysięcy ludzi, gramolących się z jednej komórki do drugiej przez otwory w płaskich dachach. Teraz ludność pueblów jest znacznie przeredzona.

Mieszkańców pueblo nie trzeba mieszać z wolnymi Indianami. Są to dobrodusznicy, ciemni ludzie, zapewne podupadli potomkowie Azteków. Mimo większości katolickiej, nie można ich nazywać chrześcijanami. Skrycie modlą się jeszcze do swego Manitou i uprawiają stare, pogańskie praktyki, sprzeczne z chrześcijaństwem. Winna jest temu stara, iberyjska opieszałość, która wszystkiemu pozwala iść swoim trybem i przywiązana raczej do zewnętrznych pozorów, nie szczepi prawdziwej, natchnionej, przekonywującej wiary. Szyderstwo ze świętej religii wywoła jedynie śmiech Pueblosa, natomiast należy się strzec obrazy jego przesądów, przekazanych z czasów pogańskich, gdyż wówczas z łagodnego baranka zmienia się w uporczywego i niebezpiecznego mściciela. Indianie ci zajmują się po części rolnictwem, po części też chowem bydła i chałupnictwem, ale produkcja ich stoi na poziomie najniższym. Drobne role leżące zwykle w pobliżu pueblo, uprawiają iście dziecinnymi narzędziami. Pueblosi bronią się uporczywie przed wszelką innowacją, chociażby

najbardziej praktyczną, skoro wybiega poza tradycję. Wolą raczej zbierać glód na kamieniach, aniżeli zmierzić je lub uprawiać narzędziem doskonalszym od niezgrabnej pałki i drewnianego haka. To samo rzec można o chowie bydła. Widać trochę chudych kur, trochę świń i wiele psów. Groźne, kłające brytany wałęsają się na wolności podczas, gdy — rzecz niewiarygodna! — świnię są na łańcuchach.

Chałupniczy przemysł polega na wytwarzaniu koszyków, toreb i różnych plecionek. Wypalają też Pueblosi dzbany i urny, w których nie dopatrzysz się odrobiny kunsztu. Z gliny lepią figurki niezwykle śmieszne. Nie posiadają ani krzty poczucia pięknego kształtu. U nas czteroletnie dzieci kreślą na tabliczkach szyfrowych o wiele zgrabniejsze postacie. Figurki te służą najczęściej jako zabawki, często jednak miewają utajone, religijne znaczenie. W takim razie stoją w *estufa*, małej komórce, otoczonej podmurowaniem, trzech stóp wysokości. Drażni ustawione we wnętrzu, symbolizują zapewne pęd ku niebu. *Estufa* są bardzo pieczołowicie chronione przed wtargnięciem w niepowołane ręce.

A zatem przyjechaliśmy wieczorem der Acomy i zapytali o gubernatora. Nie należy wyobrażać go sobie jako gubernatora w naszym znaczeniu. Sprawuje urząd wiejskiego wójta. W miejscowościach, gdzie rozmawia się po hiszpańsku, najmizerniejszy bodaj urzędniczy przybiera wysoki, pięknie brzmiący tytuł. Hiszpańskim zaś władają lepiej lub gorzej prawie wszyscy Pueblosi.

Niebawem zbiegli się mieszkańcy i jęli nas oglądać niezbyt przychylnym wzrokiem. Musieli mieć ku temu powody. Nie zamierzaliśmy niczego żądać, zapytaliśmy się tylko o naczelnika, chcąc poprosić o informacje, dotyczące Meltonów. Zsiadliśmy z koni, ale żaden Pueblos nie myślał ich potrzymać, wskazać nam drogi do wody, ani nawet zaprowadzić do naczelnika. Wspomnę mimochodem, że nie widać było w tłumie żadnej młodej dziewczyny, ale za to sporo bardzo pięknych chłopców.

Ponieważ nie odpowiadali, a nawet przybrali niechętną postawę, więc musieliśmy sami sobie radzić. Przymocowawszy cugle rumaków do ściany skalnej, rozejrzeliśmy się za wodą. Odprowadzono nas ponurymi spojrzeniami. Znalazłem się z Emery'm w małym ogródku, gdzie poza kilkoma warzywami rosło parę kwiatusków. Emery schylił się, aby wyrwać rzodkiew, za którą by oczywiście dobrze zapłacił. Ale w tej chwili przybiegł jeden z owych ładnych chłopców, uchwycił go za poły i starał się odciągnąć. Emery odtrącił go silnie i miał już wykonać zamiar, ale w porę ująłem go za rękę i odciągnąłem. Naraz wprost przed sobą zobaczyliśmy „coś”. Emery podszedł bliżej, zajrzał przez niski mur i wybuchnął głośnym śmiechem. Stał tu co najmniej tuzin kukieł, bardzo śmiesznych, szerokobiodrych, o rękach w kształcie kiełbas, wyciągniętych w śmieszny sposób. Głowy bez nosów, z dwiema dziurami zamiast oczu i wielką dziurą zamiast ust. Wiele było też siedzących potworków, niezmiernie wybrzuszonych, o trzech głowach: jedna na szyi, druga na plecach, trzecia na piersiach. Uszy były dłuższe, niż ręce. Emery sięgnął po jedną z tych łatek, ale powstrzymałem go i wyjaśniłem religijne znaczenie, jakie przypisują Pueblosi fetyszom glinianym. Roześmiał się i odszedł. Tłum postępował za nim, został tylko chłopak broniący rzodkwi. Obejrzał mnie niepewnym wzrokiem, potem szybkim ruchem zerwał kwiat, wręczył mi i rzekł:

— Dziękuję! Rzodkiew była dla mego ojca. Jest to nasza jedyna rzodkiew.

Był to głos dziewczyny. Teraz przypomniałem sobie, że w niektórych pueblo dziewczęta są ubierane jak chłopcy. Noszą spodnie i czeszą na bok, krótko ścięte włosy, wskutek czego trudno je od odróżnić chłopców. Chętnie bym jej coś w zamian ofiarował, ale co? Przypomniało mi się, że w pasie mam mały srebrny futerał zgubionego ołówka. Wyjąłem go, rozkręciłem, aby pokazać sposób użycia, i podałem dziewczęciu.

— Weź to za kwiatek!

Spojrzała na mnie zdumiona i nie śmiała wziąć. Drobiazg wydał jej się cennym dziełem sztuki, niedoścignionym przedmiotem marzeń.

— Moje? — zapytała, ale mimo niedowierzania w oczach jej pojawił się błysk radości.

— Tak. Twój kwiat bardziej mi jest miły, niż ta mała *kaja*.

— A mnie twoja *kaja* o wiele miłsza, niż mój kwiat. Dziękuję ci! Jesteś dobry, bardzo dobry. Spozstrzegłam to od razu.

Wzięła futerał, pocałowała szybko moją dłoń i uciekła z radosnymi okrzykami, aby wspiąć się po drabinie do mieszkania i ukryć swój skarb w bezpiecznym miejscu. Taką drobnostką można czasem uszczęśliwić człowieka! I jak rychło, jak szczerze nieraz się opłaca jedno przyjazne słowo! Mogłam się o tym wkrótce przekonać.

Teraz przyszedł po nas Winnetou. Odkrył rodzaj cysterny, w której skupiała się woda ze skąpych, całorocznych opadów. Zaprowadziliśmy tani konie i zaczęli czerpać wodę naczyniami glinianymi zawieszonymi na sznurze. Lecz oto przybiegli z krzykiem Indianie, aby nam przeszkodzić. Winnetou, Emery i Vogel sięgnęli po broń. Pueblosi cofnęli się, bo wiedzieli, że mimo liczebnej przewagi, nie poradzą sobie z naszymi strzelbami. Ich własna broń była pożałowania godna.

Nie uległo wątpliwości, że ci biedni ludzie mają wszelkie prawa do swojej wody. Uważałam, że nie można jej odbierać przemocą. Musieli przynajmniej coś za to dostać. Prosiłem przyjaciół, aby spuścili z wrogiego tonu i rozdałem Indianom kilka srebrnych monet, jako zapłatą za wodę. Natychmiast zmienili stosunek do nas i pozwolili czerpać do woli.

Ponieważ zbliżał się wieczór, więc musieliśmy poszukać miejsca na nocleg. Wroga postawa Indian nie pozwalała przenocować w pueblo lub nawet w pobliżu. Wprawdzie nie sądziliśmy, aby mogli dopuścić się jawnej napaści, ale w każdym razie gotowi byli czynić nam wstrętę. Odjechaliśmy na znaczną odległość i ułożyli się w szczerym polu. Rozumie się, że czuwaliśmy na zmianę.

Nie minęły jeszcze dwie godziny od zmierzchu, gdy z daleka wyłoniła się jakaś postać, zaczęła zbliżać się do nas i zatrzymała w pewnej odległości. Przywołaliśmy ją bliżej.

— Chcę rozmawiać z dobrym seniorem — brzmiała zapowiedź. Poznałem głos dziewczynki, która ofiarowała kwiat.

— Idź do niej! — rzekł Emery. — Na pewno ciebie ma na myśli. Kiedy podszedłem Puebloska rzekła:

— Musimy rozmawiać cicho, gdyż przybiegłam skrycie, nie chcę bowiem, aby ci wyrządzono krzywdę.

— Któżby miał mnie skrzywdzić?

— Obaj biali, którzy dziś do nas przybyli.

— Ach, widziałeś ich zatem? Kiedy to było?

— Trzy godziny przed waszym przyjazdem.

— Jak długo się tu zatrzymywali?

Podeszła do mnie bliżej i szepnęła:

— Jeszcze są u nas.

— Jeszcze są? To dla nas bardzo ważna wiadomość! Jesteśmy ci za nią ogromnie zobowiązani.

— O, nie! Przybiegłam tutaj, aby okazać ci wdzięczność. Obaj biali mówili o was. Oznajmili naszym, że przyjdziecie wkrótce po nich.

— I podjudzali was przeciwko nam?

— Tak. Zapowiedzieli, że splądrujecie nam *estufa* i że chcecie rozbić naszych bogów.

— Ani to nam w głowie nie postało! Co jeszcze mówili?

— Że jesteście niebezpiecznymi ludźmi, dokonaliście już wiele morderstw i przyjechaliście, aby nas ograbić.

— Wstrętne kłamstwo. Wręcz przeciwnie! Obaj biali są mordercami i złodziejami — już niejedną zbrodnię mają na sumieniu. Dlatego ścigamy ich, aby pojmać i ukarać. Jesteśmy uczciwymi ludźmi.

— Wierzę, senior. Nie wyglądasz na złego człowieka i zachowałeś się w stosunku do nas nader przyjaźnie. Dlatego podkradłam się tutaj, aby was ratować.

— Ratować? A więc grozi nam niebezpieczeństwo?

— Tak, niebezpieczeństwo. W jakim stopniu, nie mogę osądzić. Ale obaj biali są jeszcze tutaj.

— Gdzie? Czy możesz mi wskazać?

— Mogłabym, ale nie powinnam. Nie chcę być zdrajczynią swego plemienia.

— Dobrze, nie będę pytał. Ale wszak możesz powiedzieć, na czym polega niebezpieczeństwo?

— Przypuszczam, że grozi wam śmierć! Co ma się naprawdę zdarzyć, o tym wiedzą niektórzy nasi mężczyźni, kobietom i dzieciom nic nie wyjawiono. Ale właśnie to każe mi sądzić, że coś doniosłego i niezwykłego przeciwko wam się gotuje.

Rzekłszy to, uciekła tak szybko, że nie zdążyłem jej nawet podziękować. Przekonałem się więc znowu, że dobroć popłaca. Nie ufaliśmy Indianom, ale nie myśleliśmy o niebezpieczeństwie. Dziewczę, być może, uchroniło nas od śmierci.

Moi towarzysze byli niemniej zdumieni, kiedy im powtórzyłem słowa dziewczynki. Emery chciał natychmiast jechać do pueblo, aby pociągnąć do odpowiedzialności mieszkańców. Ale Winnetou oświadczył:

— Niech się mój brat nie śpieszy! Czerwoni zaufali kłamcom i oszustom. Czyż należy ich dlatego zabijać?

— Zasłużyli na śmierć, gdyż godzą na nasze życie — odpowiedział Anglik.

— Nie przekonaliśmy się jeszcze o rym. Zresztą ich jest mnóstwo, a nas tylko czterech.

— Nie obawiam się ich wcale!

— Mój brat na pewno nie przypuszcza, żeby Winnetou się lękał, ale czterej mężowie, jakkolwiek odważni, nie mogą napaść na pueblo, a tym mniej napaść jawnie.

— Ale potrafimy ich zmusić do wydania Meltonów!

— Zmusić? A zatem walczyć z nimi? Tego właśnie najbardziej bym się wystrzegał. Jeśli na nich napadniemy, Meltonowie albo im pomogą albo skorzystają z zamieszania i umkną. Tylko sprytem możemy dopiąć celu. Poczekajmy, aż przyjdą do nas. Wiedzą chyba, gdzie obozujemy. Powinniśmy się przenieść. Zaczną nas szukać w każdym razie można się tego spodziewać, po Meltonach, których przy tej okazji łatwo nam będzie złapać.

Trafił nam do przekonania. Zastosowaliśmy się do jego planu i ułożyli znacznie dalej. Skoro byliśmy ostrzeżeni, mogliśmy się tylko cieszyć z obecności Meltonów w pueblo. Nie trzeba już było uganiać się za nimi. Mieliśmy ich tutaj i chyba nie przecenialiśmy swoich sił, wierząc, że niechybnie wpadną w nasze ręce.

— Kto wie, czy w ogóle gotowało się coś przeciwko nam, — rzekł Emery. — Dziewczyna mogła się omylić.

— Nie sądzę — odparłem.

— Ależ nikt nie nadchodzi!

— Ponieważ nas nie znaleziono na dawnym miejscu i ponieważ czerwoni zrozumieli, jak niebezpiecznie jest do nas się zbliżać.

— A więc musimy czekać dnia. Ale powtarzam, trzeba będzie zmusić Pueblosów, aby nam wydali Meltonów!

— Meltonów już nie będzie. Jeśli przez noc nic złego nam się nie stanie, Meltonowie nie będą się ościagać i czym prędzej czmychną dalej.

— Być może, że zostaną, licząc na pomoc Pueblosów.

— Nie mogliby chyba popełnić większego głupstwa. Jeśli zostaną, aby wraz z Pueblosami atakować nas, to chyba nie wątpią, że wpadną nam w ręce, albo zginą od naszych kul. Zbyt są szczywani, aby tego nie rozumieć. Znają także dosyć dobrze Pueblosów — wiedzą, że ci nie

przysuną się do nas blisko, gdyż nasze strzelby niosą o wiele dalej, niż ich broń. Jestem pewny, że umkną stąd na pewno.

— A my zostaniemy jedynie przy pewności.

— Naturalnie. Ale możemy temu zapobiec, przenosząc się na zachód od pueblo. W tym kierunku uciekną. Prawdopodobnie usłyszymy, jeśli nie wyminą nas z wielkiej odległości.

Winnetou przyznał mi słusność. Po raz drugi zmieniliśmy postój. Winnetou i Emery ułożyli się do snu, ja zaś poszedłem na prawo, a Vogel na lewo. W ten sposób powiększyliśmy obszar, podległy naszej czujności. Aby słyszeć lepiej i dalej, położyłem się uchem do ziemi.

Czekaliśmy długo i nieruchomo przez dłuższy czas. Trzy kwadransy dzieliły nas od świtu. Naraz usłyszałem głos. Dobiegł ze strony Vogla i, jeśli się nie myliłem, był to daleki tętent dwóch rumaków, które wybiegły z pueblo na równinę. Podniosłem się, podszedłem do Vogla i zapytałem:

— Czy nie słyszał pan czegoś?

— Tak. Kroki ludzkie.

— Ile nóg mogło stąpać?

— Kto potrafi liczyć uszami! Było ich wiele par. Szły z pueblo i wyminęły nas, ale dosyć daleko.

— Słyszałem to same, ale pan się myli. To nie byli ludzie, lecz konie.

— Mógłbym się założyć, że to ludzie. I na pewno było ich ponad dziesięciu.

— Nie ma pan mojej wprawy. Były to dwa konie, które tak tętniły, że człowiek niedoświadczony mógł przyjąć tętent za tupot dziesięciu lub więcej biegnących ludzi. Musimy obudzić Emery'ego i Winnetou, gdyż jestem przekonany, że to Meltonowie.

Obudziliśmy ich. Podzielali moje zdanie. Emery rzekł:

— Tak, to oni. Uciekli, jedźmy za nimi!

— Nie — oponował Winnetou. — Moi bracia muszą poczekać, aż się rozwidni, inaczej zgubimy ślady.

— Nie musimy czekać. Wiemy w jakim kierunku uciekają.

— Nie, nie wiemy — rzekłem. — Winnetou ma słusność. Musimy bezwarunkowo czekać.

— Wiadomo nam, że dążą do małego Colorado. Jeśli pojedziemy w tym samym kierunku, to koniec końców natkniemy się na ich trop.

— Chyba nie wątpię że im się nie uda.

— O nie! Skąd mają przypuszczać, że znamy cel ich jazdy? Przyjechali do Albuquerque później, niż Jonatan, a zatem nie mógł im opowiedzieć o naszym spotkaniu. Sądzą, że to ich ścigaliśmy i że nie wiemy gdzie się mają spotkać z Jonatanem. Dlatego pragną nas wodzić po innych drogach.

— *Well!* Ale cóż to szkodzi? Pojedziemy wprost ku Colorado, aby schwycić Jonatana. Jeśli zaś oni jadą w innym kierunku, to niech sobie jadą.

— Ale powinniśmy ich schwycić!

— Na pewno zastaniemy ich u Jonatana. Skoro jego schwytamy, poczekamy na nich. A, że przyjadą, to rzecz pewna.

— Bynajmniej. Jestem przeciwnego zdania. A jeśli nawet przyjadą, to tak przezornie, że trudno ich będzie zdybać.

— Twierdzisz to z całą pewnością?

— Tak. Mam ku temu powody. Zapytaj Winnetou. Na pewno zgodzi się ze mną.

— Czemu mieliby się później mieć bardziej na baczności, niż teraz?

— Chcą nas odciągnąć od Colorado. Jeśli zauważą że nie ścigamy ich, mogą wpaść na przypuszczenie, że dążymy do zamku Judyty i że ich wyprzedzimy. Jeśli więc tam pojadą, to nie omieszkają zachować wszelkich środków ostrożności.

— Hm. Teraz rozumiem.

— Pomijam już, że w takim wypadku łatwo możemy się dostać między dwa ognie. Z jednej strony Jonatan, z drugiej obaj Meltonowie.

— *Pshaw* Czyż mamy się lękać Jonatana?

— Słusznie. Ale zapominasz, że go wspomaga gromada Indian, którzy przywędrowali wraz z Judytą i jej nieboszczykiem mężem, wodzem Yuma. Musimy się z tym liczyć.

— To prawda, więc sądzisz, że należy ścigać Meltonów, nawet jeśli obiorą fałszywy kierunek.

— Tak. Musimy ich schwytać. Dlatego nie możemy wyruszyć, dopóki światło dzienne nie uwidoczni śladów.

— Poza tym trzeba napoić konie — wtrącił Winnetou. — Wprawdzie piły wczoraj wieczorem, ale nie wiemy, dokąd nas droga zawiedzie i czy dziś, a nawet jutro natrafimy na wodę.

Wyczekiwaliśmy, aż się na wschodzie ukarze brzask. Pueblo wyłoniło się z mroku. Z dala już widać było, że wszyscy mieszkańcy czuwają, dowód oczywisty, że w nocy nie zmrużyli oka. Podążyliśmy do cysterny, co widząc, wysłali do nas jednego ze swoich.

— Jeśli chcecie napoić konie, to musicie zapłacić!

— Kim jesteś, że wymagasz od nas zapłaty?

— Jestem naczelnikiem Pueblosów.

— Ach tak! Chcieliśmy wczoraj z tobą pomówić i pytaliśmy o ciebie. Czemu nikt nam nie odpowiedział?

— Ponieważ nie było mnie tu wczoraj.

— Kłamstwo wierutne, przypominam sobie twoją twarz. Kiedy stąd, jak twierdzisz, wyszedłeś?

— Wczoraj rano.

— A zatem byłeś tu onegdaj i poprzednio?

— Tak.

— W takim razie może powiesz czy przybyli tu w tym czasie obcy?

— Nikt nie przybył.

— Ale wszak wczoraj przybyli do was dwaj biali jeźdźcy?

— Nie. Skoro wróciłem do domu, opowiedziano mi tylko o was. Gdyby ktoś jeszcze tu był, powiadomiono by mnie na pewno.

— Tu byli dwaj jeźdźcy. Szukali nas w nocy i chcieli zabić. Struchlał ze strachu.

— Senior, — rzekł — jak może pan coś podobnego twierdzić. Jesteśmy ludzie spokojni, uczciwi, nie napastujemy nikogo.

— Gdybyście w rzeczywistości byli uczciwi, nie nałgalibyście tak brzydko. Właściwie nie powinniśmy puścić wam tego płazem, ale jesteśmy chrześcijanami. Wiemy, że obaj jeźdźcy wyjechali przed niespełną godziną. Lecz, że nie lękamy się ich i że mamy was w wielkiej pogardzie, to nie będziemy was karać i zapłacimy nawet za wodę.

Daliśmy mu żadaną sumę. Napoiliśmy konie, sami też ugasili pragnienie. Ruszyliśmy, z początku nie szukając tropu Meltonów. Ale, skoro znaleźliśmy się poza polem widzenia Indian, każdy z osobna rozpoczął poszukiwania. Pierwszy odkrył ślady Apacz. Z początku prowadziły na zachód, ale później zakreślały łuk w północno-zachodnim kierunku.

— Widzisz! — rzekłem do Emey'ego, — Moje przypuszczenie się sprawdza. Kanalie istotnie zoczyli z prostej drogi.

— Fatalność! Kto wie, jak długo będą nas za sobą wlec, ile czasu upłynie, zanim wrócimy na właściwą drogę.

— Galopem wkrótce byśmy ich doścignęli.

— A wiec w galop!

— Niestety, wierzchowiec Vogla nie dotrzyma kroku.

W tej chwili Winnetou zeskoczył z konia, uważnie zbadał grunt i zapytał Vogla:

— Mój młody brat nie uczył się czytać śladu?

— Nie — odrzekł zapytany. — Jeśli ślady nie są dosyć wyraźne, to nie potrafię ich znaleźć.

— W takim razie nie powinniśmy go tutaj samego zostawić, gdyż nie znajdzie nas i zabłądzi. Meltonowie dosiadają dobrych wierzchowców, a jednak możemy ich wkrótce doścignąć. Winnetou wraz z Old Shatterhandem ruszą w pościg. Wystarczy nas dwóch, aby łotrów schwytać. Mój brat Emery pojedzie w ślad za nami z tym młodym człowiekiem.

Mina Anglika dowodziła, że nie był zbyt zachwycony tym obrotem rzeczy. Ale nie narzekał. Spięliśmy konie do galopu, Emery zaś został z Voglem za nami.

Meltonowie ubiegli nas o godzinę drogi. Nawet gdyby dosiadali, jak sądził Winnetou, dobrych rumaków, musieliśmy ich dogonić na naszych wyśmienitych biegunach przed obiadem, w razie, gdyby doszło do wyścigu. W przeciwnym wypadku mogliśmy ich schwytać wcześniej. Wynik zależał od tego, czy nas spostrzegą zawczasu.

Jechaliśmy przez bezpłodny step. Grunt był twardy jak kamień. Staraliśmy się zostawić za sobą wyraźny ślad. Trop Meltonów był jednak tylko od czasu do czasu widoczny. Mieli się na baczności. Zależało im, abyśmy wiele czasu zmarnowali na szukanie śladów. Musieliśmy natężyć całą uwagę, aby jednak nie zwalniać biegu. Tu dopiero wyszło na jaw mistrzostwo Apacza.

Równina przeszła powoli w teren falisty. Wzniesienia przecinały się z dolinkami, i jedne i drugie nabierały coraz pokaźniejszych rozmiarów. Po upływie dwóch godzin mknęliśmy już przez okolicę górzystą. Były to południowe odgałęzienia Sierra Mądre.

Jechaliśmy wprost przed siebie w górę i w dół, co zresztą nie nastęczało szczególnych trudności, gdyż wzgórza nie były ani bardzo wysokie, ani bardzo strome. Odznaczały się całkowitym brakiem roślinności. Trzy już godziny minęły. Wjechaliśmy na jeden z wyższych szczytów, skąd widać było leżącą przed nami dolinę i najbliższe wzniesienie. Spostrzegliśmy wyraźnie obu Meltonów. Jechali właśnie pod górę. Aby zbliżyć się do nich, zanim zdołają nas spostrzec, gnaliśmy co koń wyskoczy w dolinę. Nie mogli słyszeć tętentu. Jednakże jeden z nich odwrócił się przypadkowo. Zobaczył nas, ostrzegł brata, po czym obaj puścili konie w szalony cwał. Winnetou rzekł z uśmiechem:

— Te wierzchowce niedługo wytrzymają taki bieg. Jeźdźcy nie uciekną daleko.

— Jak według ciebie należy ich schwytać? — zapytałem.

— Groźbą — odparł. — Zbliżymy się do nich na taką odległość, aby mogli nas usłyszeć. Rozkażemy Meltonowi zatrzymać się, zejść z rumaków i złożyć broń. Jeśli nie usłuchają, będziemy musieli strzelać. Nie zabijemy ich, tylko zranimy, pragniemy bowiem schwytać ich żywcem.

— Prawdopodobnie z bliska spróbują do nas strzelać.

— Władamy bronią sprawniej od nich i przebijemy im ramiona kulami.

Mówił z taką pewnością, a jednak inaczej miała się rzecz ułożyć. Skoro wjechaliśmy na najbliższą górę Meltonowie byli już w dolinie. Dobywali ostatnich sił z rumaków. Odwracali się ku nam od czasu do czasu. Ścigaliśmy ich pod górę i w dół, zbliżając się coraz bardziej. Konie Meltonów zdradzały zmęczenie, podczas gdy nasze trzymały się jeszcze świetnie.

Wkrótce zobaczyliśmy dwa łańcuchy wyżyn, które biegły daleko na zachód. Zamknięta między nimi wąska, równa dolina była zawałona miejscami skalnym rumowiskiem. Całość wyglądała tak, jak gdyby jakiś ród gigantów wykopał tu ogromny rów, czy kanał, który wysechł. Do tego kanału pędzili Meltonowie, a my za nimi. Pościg mógł trwać najdłużej jeszcze kwadrans.

Naraz zdarzyło się coś tak strasznego, że włosy nam niemal stanęły dęba. Obaj bracia mknęli w galopie przez głązy i rumowiska. Jeden z rumaków potknął się i runął, kryjąc pod sobą jeźdźcę. Towarzysz jego osadził konia, skoczył na ziemię, aby mimo zbliżającego się z każdą sekundą niebezpieczeństwa, pomóc bratu. Nieco później dojrzeliliśmy, że tym, który runął, był Tomasz Melton.

Jego brat Harry usiłował podnieść konia, ale na próżno — wierzchowiec miał przednią nogę złamaną. Harry zdołał go tylko odwlec na bok i w ten sposób uwolnić Tomasza, który zerwał się na równe nogi. Można było poznać po gestykulacji niezwykle podniecenie braci. Mieli tylko jednego rumaka — tylko jeden z Meltonów, mógł jechać. Drugi musiał niechybnie wpaść w nasze ruce.

— Dwóch jeźdźców i jeden koń. Mamy ich! — zawołał Winnetou.

Wjechaliśmy do kanału. Teraz właśnie rozegrała się okropna scena Harry Melton chciał dosiąść swego rumaka, Tomasz przeszkadzał mu, usiłując konia uprowadzić na bok. Kłócili się, ale niedługo, gdyż całe to ścinające krew w żyłach zdarzenie — rozegrało się szybciej, niż można opisać. Harry odsunął brata i włożył nogę w strzemiona, ale w mgnieniu oka runął na ziemię, uderzony kolbą. Tomasz, powaliwszy brata, schylił się nad nim na krótką chwilę, po czym dopadł konia i pogalopował. Dopiero później zrozumieliśmy po co się schylił. Cała ta scena nie trwała dłużej, niż dwa pacierze. Niepodobna było w tak krótkim czasie zbliżyć się do nich na odległość strzału.

Rozpędziliśmy rumaki jeszcze bardziej i wkrótce dojechali do miejsca, gdzie leżał Harry Melton i wierzchowiec jego brata. Zwierze, wierzgając trzema zdrowymi nogami, usiłowało się za wszelką cenę podnieść, ale daremnie. Melton leżał bez ruchu.

Zatrzymaliśmy się przy Harrym i zsiadli z koni. Krew płynęła z głębokiej rany w lewej górnej części piersi.

— Bratobójca! — zawołał gniewnie Apacz.

— Tak, bratobójca! — potwierdziłem i ciarki po mnie przeszły.

— Jedziemy za nim?

— Nie. I tak nam nie umknie! Mamy tu przed sobą zapewne konającego. Musimy zostać. Być może, uda się go uratować.

Winnetou nie sprzeciwił się, chociaż rzucił spojrzenie w dal, gdzie jeszcze wyraźnie widać było uciekającego mordercę. Zerwaliśmy z rannego surdut i rozpięli kamizelkę. Koszula była splamiona krwią. Musieliśmy także zdjąć kamizelkę i obnażyć całą pierś. Krew wyciekała obficie, ale nie tak silnie, aby można się było obawiać szybkiego jej upływu.

Melton zaczął oddychać. Krew nie biła mu do gardła wraz, z oddechem — to był pomyślny znak. Usiłowaliśmy przewiązać ranę i jakoś się nam powiodło. Niestety, nie było wody.

Siedzieliśmy dość długo przy rannym, oczekując jego przebudzenia. Sporo czasu upłynęło, zanim otworzył oczy. Chwycił się rękami za głowę i wlepił w nas nieruchome spojrzenie. Następnie jakby oprzytomniał. Poznał nas, zaklął, chciał się zerwać, ale od razu upadł z powrotem.

— Niech pan leży, *master!* — rzekłem. — Śmierć siedzi panu na piersiach i czym bardziej się pan wysila, tym szybciej pana, zabierze.

Spostrzegł krew, opatrunek i zapytał zdławionym głosem:

— Krew... krew... gdzie... skąd?

— Z pańskiej piersi.

— Kto... kto?

— Brat.

— Tomasz... mój brat...

Przymknął powieki, aby zastanowić się nad straszną wiadomością potem otworzył oczy. Wściekłość odmalowała się na jego zawsze jeszcze szatańsko pięknej twarzy i zgrzytając zębami, rzekł:

— Niech Bóg przeklnie tego mordercę. Judasza Iskariotę! Wydał mnie w wasze łapy!

— To jeszcze drobnostka. Prawdopodobnie wydał pana nie tylko nam, lecz i śmierci. Czas porachować się z sumieniem.

— Gdzie... gdzie jest?

— Uciekł na pańskim koniu.

— Tak, tak, teraz już wiem! Jego koń się potknął, a ja zsiadłem ze swego aby mu pomóc. Wówczas chciał skoczyć na mego wierzchowca. Klóciliśmy się, dosiadłem konia. Więcej nic nie wiem!

Podaję jego słowa w formie płynniejszej, bez pauz, które następowały po każdym wyrazie. Wyjaśniłem rannemu:

— Nie dosiadł pan konia, strącił pana uderzeniem kolby. Potem widzieliśmy, że nachylił się nad panem. Wówczas pchnął pana nożem w pierś.

— Nachylił się? — zapytał i dodał szybko: — Gdzie mój surdut?

— Tu leży.

— Podajcie mi go, natychmiast!...

Podaję mu skrwawiony surdut. Macał drżącą ręką boczną kieszeń, ale nic nie znalazł.

— Pusta — jęknął. — Pusta!... Ograbił!

— Co?

— Pugilares z pieniędzmi! O ten Judasz... I to jest mój brat!?

— Czyje to były pieniądze?

— Mnie, moje...

— Ale skradzione, zagrabione?

— To was nie obchodzi, wy... wy...

Zobaczył obok siebie nóż, który wyciągnęliśmy mu z pasa, pochwycił go i zamierzył się na mnie. Mimo osłabienia niełatwo mu było wyrwać nóż z ręki.

— Nie zadawaj sobie *master* trudu, aby przekonać nas o swoim usposobieniu — rzekłem. — Znamy pana i tak dosyć dobrze.

Walka, aczkolwiek krótka, pogorszyła jego stan, krew wypływała z rany obficie. Zawarł oczy. Podczas, gdy usiłowałem zahamować krwotok, szeptał jakby nieprzytomnie, powoli, z długimi pauzami:

— Schwytany... pojmany!... Winnetou... Shatterhand... psy!... Ograbiony... zakłuty... przez Tomasza... przekłuty Judasz... przekłuty Iskariota... O zemsty, zemsty... zemsty!...

Bredził półprzytomnie. Wykorzystałem ten stan, aby się czegoś dowiedzieć i zapytałem:

— Zabrał pańską część pieniędzy Huntera, ten szubrawiec?

— Tak... pieniądze Huntera!.. — potwierdził, nie otwierając oczu.

— A miał wszak tyleż, co i pan?

— Tak, akurat tyleż...

— A resztę posiada Jonatan?

— Jonatan... Zemsty... Zemsty!...

— Nie ominie go. Pojedziemy za nim do... Czekałem z naprężeniem, co odpowie.

— Do Flujo Blanco... Whitefork — wyszeptał.

— Gdzie leży zamek Judyty?

— Jej zamek... jej pueblo...

Naraz rozwarł szeroko oczy, wraził mi je w twarz i krzyknął:

— Kim jesteś?

— Zna mnie pan.

— Tak, ja... znam ciebie! Old Shatterhand... Winnetou, obaj diabli... diabli!... Czego się... pytasz? Zostaw mnie w spokoju!

— Myślałem, że mamy pana pomścić?

— Pomścić?... Tak, tak!... Pędźcie za nim! Zastrzelcie go! Zabierzcie mu pieniądze i przynieście — naraz ścisnął pięści i dodał: — Nie, nie... nic nie powiem, nic! Niech Tomasz ucieknie! Jesteście... jesteście... nic się nie dowiecie... nic ode mnie!... Idźcie do piekła... piekła...!

Wyprężył się i umilkł. Krew bluznęła z rany. Ponieważ się nie poruszał, więc zatamowaliśmy krew szybko. Zmorzył go głęboki sen.

Winnetou dotychczas milczał. Badawcze spojrzenie utkwiał w twarzy śpiącego i rzekł:

— Już nie opuści tego miejsca.

— Miejmy nadzieję, że jeszcze przed śmiercią poczuje skruchę.

— Oby się to prędzej skończyło! Musimy ścigać jego brata. Czy mu współczujesz?

— Tak.

— Nie zasługuje na współczucie. Był gorszy niż dzikie bestie. O wiele więcej litości budzi ten rumak, który nigdy nie zgrzeszył, Winnetou położy kres jego mękom.

Zwierzę, parskając z bólu, na próżno usiłowało stanąć. Apacz przyłożył mu lufę swej srebrnej strzelby i wystrzelił. Dźwięk strzału obudził Meltona. Obejrzał się dookoła i zapytał:

— Kto strzelał? Czy to było dla... dla...

Runął z powrotem i leżał nieruchomo przez godzinę. Chwilami szeptał coś, czego niepodobna było zrozumieć. Ten spokój zewnętrzny wydawał się snem, ale tylko się wydawał. Świadomość nie drzemała. O czujności jej świadczył, snujący się po obliczu, zmienny wyraz uczuć.

— Teraz wiemy już dokładnie, gdzie szukać Judyty — rzekłem do Winnetou.

— Tak, nad Flujo Blanco.

— Czy brat mój zna tę rzekę?

— Byłem wprawdzie nie tam, ale w pobliżu, i łatwo do niej trafię. Wypływa z Sierra Blanca. Jankesi nazywają ją White-Fork.

Koło południa nadjechali Emery z Voglem. Wieczorem Melton wyzionął ducha. Zerwał się nagle na nogi, wymienił imię swego brata, miotając przy tym przekleństwa, których nie sposób tu przytoczyć, po czym runął na ziemię. Nazajutrz rano pogrzebaliśmy go pod kamieniami, aby chroniły ciało przed dziobami i szponami sępów. Po czym opuściliśmy to ponure miejsce zbrodni.

NAD FLUJO BLANCO

Ponieślibyśmy niepotrzebną stratą czasu, gdybyśmy teraz pojechali śladem Tomasza Meltona. Nie ulegało wątpliwości, że zbrodniarz zdążył do syna. Puściliśmy się więc na południowy zachód, aby zawrócić z okrężnej drogi, którą poprzedniego dnia musieliśmy obrać. Niebawem znaleźliśmy się między Sierra Mądre a górami Zuni.

Rzecz dziwna! Skoro mieliśmy za sobą góry, klimat odmienił się w sposób wręcz uderzający. Wiecznie jasne niebo meksykańskie pokrywało się kilka razy dziennie ciężkimi chmurami i zsyłało ulewne deszcze, aby się znowu przetrzeć. Droga wypadła nam przez tereny małego Colorado, gdzie deszcze kolejno następowały po jasnej cudnej pogodzie.

Pod pewnym względem dogadzało to nam, ale pod innym było wielce niewygodne. Wilgoć żywiła obfitą zieleń, nigdzie nie zbywało na wodzie, ani na paszy dla rumaków, ale byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Z powodu poprzedniego upału mogło to się odbić niebezpiecznie na naszym zdrowiu. Byliśmy przyzwyczajeni, wyjąwszy oczywiście Vogla, do ulewy, spiekoty i mrozu, ale teraz jakże tęskniliśmy wieczorami za suchym, krytym schroniskiem!

Wieczorem, trzeciego dnia po śmierci Harry'ego Meltona, Winnetou oświadczył, że nazajutrz zbliżymy się do Flujo Blanco. Deszcz padał jak z cebra. Nie był to już zwykły deszcz, lecz zlewające się z góry jezioro, które mogło niejednego jeźdźca zmyć całkiem z siodła. Żal mi było biednego Franciszka Vogla. Nieprzyzwyczajony do tak potwornych przygód, starał się nadrabiać miną.

Miejscami droga gubiła się wśród drzew i zarośli, świadczących o bliskości źródeł i strumyków. Na południu wznosiły się Sierra Blanca, niedostrzegalne z powodu deszczu.

Naraz chmury, jak gdyby zdmuchnięte, odsłoniły roześmiane niebo, ale niestety, na jak krótko! Teraz mogliśmy się dokładnie rozejrzeć. Im dalej, tym powietrze było jaśniejsze i przezroczystsze. O ile poprzednio nie widać było nic z odległości nawet dziesięciu kroków, o tyle teraz — ach, można było nawet zobaczyć człowieka, stojącego aż hen na gołym wierzchołku góry, do której dążyliśmy. Musiał chyba stać tam podczas nawałnicy. Teraz oto poruszył się i szedł nam na spotkanie, które niebawem nastąpiło u stóp góry. Był to Indianin w średnim wieku, ubrany na pół w skóry, na pół w kaliko. Jego przyjazne powitanie dobrze nas ku niemu usposobiło. Nie miał broni. Przyglądał się ciekawie i okazywał chętkę do pogawędki. Zagadnałem pierwszy:

— Do jakiego plemienia należy mój czerwony brat?

— Jestem Zuni — odrzekł. — Skąd przybywa mój biały brat?

— Z Acoma.

— A dokąd jedzie?

— Do Colorado i jeszcze dalej. Czy mój brat zna tę miejscowość?

— Tak. Mieszkam tutaj w pobliżu wraz z żoną.

— Czy można się tu gdzieś przespać nie kąpiąc w deszczu?

— Jeśli to moim braciom odpowiada, zaprowadzę ich do swego domu.

— Ach, jest tu gdzieś dom?

— Tak. Moi bracia mogą pójść i obejrzeć. Skoro im się spodoba, będą mogli zostać. Żaden deszcz nie przenika przez dach, a ognisko płonie przez całą noc.

Poszedł naprzód, a my za nim.

— Zuni? Co to za ludzie? — zapytał Emery. — Czy już spotkałeś jakiegoś Zuni?

— Tak. Zuni to najliczniejsze plemię Indian, osiadłych w pueblach. Niegdyś odgrywali wcale znaczącą rolę. Są bardzo łagodnego usposobienia i uchodzą za najzdolniejszych Pueblosów.

— Ten człowiek nie wygląda podejrzanie. Jestem ciekaw, jakiego rodzaju budowlą jest jego „dom”. Byłoby wcale niezłe, gdybyśmy mogli schronić się pod dachem i wysuszyć odzież.

Zuni poprowadził nas przez teren zarośnięty trawą porznięty wąskim, wijącym się wężowo strumykiem. Nad nim wznosił się dom — duża murowana kostka z jedynym otworem, przez który wchodziło się do wnętrza. Mury były gliniane, dach z mat, zalepionych z obu stron gliną. Jedna tylko izba służyła do wszystkiego. W kącie leżały płody rolne, w drugim pośniano ze skóry i listowia. Pośrodku tylnej ściany wznosiło się palenisko, również ubite z gliny. Obok leżał zapas zrąbanego drzewa. Wejście było zawieszane kilkoma skórami. Najbardziej zainteresowały nas wielkie sztuki wędzonej zwierzyny, zwisającej z pułapu. Nasz Zuni był zatem nie byle jakim myśliwym.

Kiedy weszliśmy do domu, z pośniano podniosła się kobieta, obejrzała nas ciekawie i zniknęła.

— Oto mój dom — rzekł Indianin. — Jeśli się spodoba moim braciom, to mogą zostać, jak długo zechcą.

Spojrzenie Winnetou powiedziało mi, że jest gotów przyjąć zaproszenie. Odrzekłem gospodarzowi:

— Jeśli mój brat roznieci ognisko, abyśmy mogli wysuszyć odzież, to chętnie u niego zostaniemy.

— Ogień wkrótce zapłonie.

Ukląkł przy klepisku, aby rozpaść ogień. Zdziwiło mnie, że nie wyręczał się żoną. Zazwyczaj Indianin jest zbyt dumny, aby osobiście zniżyć się do posług domowych.

Dla koni znalazło się odgrodzone pomieszczenie. Zdjęliśmy z nich siodła, które miały nam służyć jako poduszki. Podczas gdy Zuni podsycił ogień, zapytałem:

— Jak długo mój brat tu mieszka?

— Od urodzenia.

— A czy zna także wodę, która nosi nazwę Flujo Blanco?

— Tak. To niedaleko stąd.

— Czy tam mieszkają ludzie?

Było to bardzo ważne dla nas pytanie. Z zainteresowaniem oczekiwałem odpowiedzi. Zuni odezwał się bez wahania:

— Tak. Mieszkają czerwoni i biali.

— Od jakiego czasu?

— Od wielu lat.

— Czy jest tam pueblo?

— Tak, pueblo, które od niepamiętnych czasów zamieszkiwali Zuni. Ale pewnego razu przybyli Indianie z Meksyku, z Sonory — wówczas jeszcze, kiedy ta miejscowość należała do Meksyku. Znaleźli złoto nad wodą i odkupili od Zuni pueblo. Zapłacili bronią, którą później sprowadzili. Odtąd pueblo należało do wodza Yuma. Przed kilkoma laty przybył tu jego wnuk. Przyprowadził ze sobą piękną białą *squaw* i wielu wojowników z żonami i dziećmi. Zamieszkali w pueblo. Wódz często wyjeżdżał ze swoją *squaw* do wielkiego miasta, zwanego Frisco i tylko z rzadka tu zaglądał. Wkrótce potem umarł. Przez długi czas nie widziałem jego białej *squaw*, ale niedawno znów wróciła wraz z pewnym białym mężczyzną.

— Czy przyjechali konno?

— Nie, w starej pocztowej karocy. Towarzyszył im woźnica i przewodnik z Albuquerque, który jechał obok karety na koniu. Wczoraj w nocy przybył jeszcze jeden biały. Słyszałem, że to ojciec owego białego, z którym przyjechała *squaw*.

— Kto ci mówił?

— On sam.

— Kiedy?

— Kiedy był u mnie.

— Hm! Przyjechał w nocy i był u ciebie? To dziwne! Ktoś, kto wśród nocy znajduje twój dom, musi go dobrze znać. Czy był u ciebie już przedtem?

— Nie. Ale moje ognisko płonęło, a drzwi były otwarte. Światło rozlewało się dalej. Zauważył je i przyszedł zapytać o drogę do pueblo. Przenocował u mnie i o świcie zaprowadziłem go do celu podróży.

— Jak daleko stąd?

— Dwie godziny szybkiej jazdy.

— A zatem jesteś zaprzyjaźniony z białymi i czerwonymi mieszkańcami pueblo?

— Tak.

— Czy nie powiedzieli ci, że my przybędziemy?

— Nie. Jedźcie do pueblo?

— Tak. Czy rano pokażesz nam drogę?

— Chętnie.

— Czy trudno ją znaleźć?

— Kto nie zna drogi, ten może minąć wejście do pueblo i nie zauważyć go wcale. Flujo mknie przez dolinę, zamkniętą między bardzo wąskimi i bardzo stromymi górami. Na lewym brzegu rzeki, między skałami, nieznaczny odstęp stanowi wylot, wąskiego korytarza, prowadzącego do pueblo.

— Chcielibyśmy przyjechać niespodzianie. Mieszkańcy pueblo wiedzą wprawdzie, że przyjedziemy, ale nie wiedzą kiedy. Czy możesz nas zaprowadzić tak, aby nikt nie zauważył?

— Bardzo łatwo.

— Czy pueblo jest wielkie?

— Nie. Ale nad wyraz mocne i pewne. Żaden wróg nie potrafi go zdobyć. Wąski przesmyk, o którym mówiłem, prowadzi do obszernej okrągłej kotliny, otoczonej niedostępnymi skałami. Kotliną jest zarośnięta zielenią; pełno w niej krzewów, drzew, oraz innych roślin. Tu pasą się konie i tu Yuma sadzą dynie, cebulę i inne potrzebne im ziemniaki. U wylotu korytarza wznosi się samo pueblo, zbudowane na skale, wąskie, nader wysokie, aczkolwiek nie dosięga wierzchołka skały. Tu mieszkała biała *squaw* z naczelnikiem Yuma, i tu mieszka teraz z białym i jego ojcem.

Nic przed nami nie skrywał. Upewniliśmy się, że nie podejrzewał nas o wrogie zamiary względem mieszkańców pueblo. On sam nie budził w nas żadnego podejrzenia, ani we mnie, ani w Winnetou. Czytałem to z twarzy mego przyjaciela.

A jednak niezupełnie przypadł mi do serca nasz gospodarz. Nie mógłbym powiedzieć, dlaczego. Ale gdy się zacząłem zastanawiać i baczniej obserwować, wykryłem powód niechęci. Była nią przesadna uprzejmość Indianina. Zazwyczaj bowiem Czerwonoskórzy są powściągliwi, zwłaszcza w stosunku do nieznajomych, których obdarzają życzliwością dopiero po dokładnym poznaniu. Zuni natomiast traktował nas niczym starych dobrych znajomych i okazywał wręcz zadziwiająco wylewność. A przecież rozmawiał z Judytą i Meltonem. Czyżby mu istotnie nie powiedzieli, że przyjazd ich do pueblo ma być zachowany w sekrecie.

Jeszcze coś ponadto wzbudziło we mnie nieufność. Żona Indianina wyszła z domu natychmiast po naszym przybyciu i nie wracała. Za drzwiami grzmiało, błyskało, deszcz padał jak z cebra. Gdzie się mogła zapodziać ta kobieta podczas takiej burzy? Ważnym musiał być powód, który wygnał ją z domu, tym bardziej, że mąż sam podejmował się usług, właściwych kobiecie.

Do tych usług należało również przyrządzenie posiłku dla gości. Zuni podał nam ćwierć pieczonej zwierzyny, pokrajał ją, ale sam nie brał udziału w wieczerzy. Tłumaczył się, że jadł niedawno.

Nie dowierzałem. Wszak stał na górze, w czasie deszczu, jak strażnik, któremu nie wolno opuszczać posterunku. Dopiero, gdy nas zobaczył, zbiegł na dół. Im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej wzrastały moje podejrzenia. Mogło się wydawać, że wypatrywał nas z góry. Postanowiłem mieć się na baczności. Zaniósłem broń do jednego kąta, wraz z siodłami. Widząc to, Winnetou nieznacznie ściągnął brwi. To miało znaczyć:

— Czemu? Czy straciłeś ufność? Cóż, będziemy ostrożni. Zuni miał flintę, niezbyt sprawną oraz łuk i kołczan ze strzałami.

Broń ta wisiała na kołku, wbitym w ścianę. Podczas gdyśmy się posilali, przykucnął w pobliżu po indiańsku i zdawał się być uradowany, że nam jadło smakuje. Zapytany o zwierzynę, począł się żalić na Gilenno — Apaczów, którzy często nawiedzają te strony i tępią całą zwierzynę.

— Te psy nie mają prawa do tych ostępów — rzekł. — Czemu nie pilnują swoich terenów, których nikt im nie plądruje. Nienawidzę wszystkich Apaczów!

— Wszystkich? A to dlaczego? Nie słyszałem, aby Zuni wojowali z Apaczami.

— Ponieważ jesteśmy zbyt słabi. Zabierają nam własność, a my nie możemy się bronić. Wszyscy są złodziejami i rabusiami, należy ich zetrzeć z oblicza ziemi!

— Wszystkich? Istnieją mężni i słynni mężowie między nimi.

— Nie wierzę. Niech mi mój brat chociaż jednego wymieni.

— No, na przykład Winnetou.

— Nie mów mi o tym! Kiedy was jutro zaprowadzę do Yuma, dowiedcie się od nich, co to za parszywy szakal.

— Czy Winnetou był kiedyś wrogiem Juma?

— Zawsze. Ale raz wyrządził im tak wielkie szkody, że nigdy mu tego nie zapomną. Biada mu, jeśli wpadnie w ich ręce.

— Wielkie szkody? Jakże to się stało?

— Napadli na hacjendę i posiadli już ceną zdobyczą, kiedy on się zjawił i łup odebrał. Później wojownicy Yuma obozowali nad starą kopalnią, w której pracowali biali cudzoziemcy. Yuma ciągnęli z tego duże zyski. Winnetou i tego ich pozbawił.

— Jakże to mogło być? Wszak jest to jeden człowiek. Czy może jeden człowiek wyrządzić takie szkody całemu plemieniu?

— Nie był sam. Towarzyszył mu ktoś o wiele, wiele gorszy od wodza Apaczów, biała twarz imieniem Old Shatterhand.

— Hm, ten *westman*! Przypominam sobie. Jeśli się nie mylę, to słyszałem już o tej sprawie. Czy to nie była hacjenda del Arroyo, a kopalnia, czy nie nazywała się Almaden Alto?

— Tak.

— Czy Yuma mieli powód do splądrowania i spalania hacjendy?

— Tego, tego nie wiem — odpowiedział zakłopotany.

— Był to rabunek, wiem na pewno. A w Almaden szło o wiele większe przestępstwo.

— Nieprawda!

— A jednak. Zwabiono tam wielką gromadę białych i uwięziono w podziemiach kopalni rtęci. Mieli pracować bez wynagrodzenia, niczym niewolnicy, dopóki nie wyzwoliła ich śmierć męczeńska.

— Cóż to obchodziło Winnetou i Old Shatterhanda?

— Robotnicy byli ziomkami Old Shatterhanda, więc ujął się za nimi.

— I wystąpił przeciwko Yuma! Czemu więc dziwisz się, że nienawidzą jego i Winnetou?

— Dziwię się, ponieważ o ile pamiętam, zawarli pokój.

— Który nie ma żadnego znaczenia. Powtarzam jeszcze raz, biada im, jeśli wpadną w ręce Yuma!

Zuni odmienił teraz ton, mówił z niepojętą goryczą.

— Zdaje się, — rzekłem — że jesteś serdecznym przyjacielem Yuma, gdyż mówisz z taką wściekłością jakbyś był jednym z nich.

— Jestem ich przyjacielem. Wrogowie ich są moimi wrogami.

— Ale wydaje się, że jesteś źle o tych wrogach poinformowany. Winnetou i Old Shatterhand obeszlili się wówczas z Jumami bardzo łagodnie. Wiele razy ich pokonali i mieli w swej władzy, a jednak postępowali z nimi pobłażliwie. Zresztą, nie mówmy o tym!

— Tak, nie mówmy! Skoro o tym pomyślę, pragnę Apacza i jego przyjaciela widzieć przy palu męczeńskim.

Odwrócił się od nas, oparł plecami o ścianę i wpatrywał posepnie w ogień. Jego grzeczność wzięła w łeb. Winnetou rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

Gdyby to Zuni wiedział, że jesteśmy tymi, których pragnie widzieć przy palu! Bądź co bądź, rzecz dziwna, że nas nie poznał. Wszak widział, że Winnetou jest Indianinem. Dlaczego nie zapytał, z jakiego plemienia pochodzi? Winnetou był zbyt dumny, aby zaprzeczyć swego imienia. A następnie — srebrna strzelba i mój sztucer. Każdy Indianin zna tę broń, choćby ze słyszenia. Stały teraz w kącie; padało na nie światła ogniska. Gdyby tylko Zuni rzucił tam jedno spojrzenie, musiałby się domyślić, kogo ma przed sobą. Stanowczo gospodarz nas coraz mniej mi się podobał.

Wreszcie wróciła jego żona. Przemokła do suchej nitki, odzież przyłgnęła do ciała. Nie racząc na nas spojrzeć, usiadła na pościeli. Nie była szpetna, lecz zahukana, wylękniona, co świadczyło, że małżonek ją tyranizuje.

— Gdzie się włóczyła pod takim deszczem ta biedna niewiasta? — zapytał Emery po niemiecku, gdyż po angielsku Zuni mógł zrozumieć. — Jakież to powód zmusił ją do wystawiania się na ulewę?

— Powód bardzo ważny — odrzekłem. — Jak daleko do Flujo Blanco według słów Zuni?

— Dwie godziny konnej jazdy.

— A, jak długo Indianka bawiła poza domem?

— Na pewno przez cztery godziny i — ach, czy myślisz, że pojechała do Meltonów?

— Uważam za rzecz prawdopodobną, że zawiadomiła ich o naszym przybyciu.

— Mam głęboki szacunek dla twojej domyślności, ale w tym wypadku na pewno się mylisz.

— Twierdze, że Zuni poznał nas skoro tylko zobaczył, i że grzeczność jego była tylko maską.

— Jeśli masz słuszność, może to pociągnąć za sobą nieprzyjemne skutki. Zechcą nas tu schwytać?

— Prawdopodobnie.

— W takim razie musimy czym prędzej odjechać.

— Nie, bynajmniej.

— Człowieku, chcesz, żeby nas schwytano?

— Nic podobnego.

— Ale to się na pewno stanie, jeśli poczekamy, aż tu przybędą.

— Nie będziemy czekać bo, jeśli się nie mylę, są już przed domem.

— Tak myślisz?

— Tak. Prawdopodobnie przyjechali wraz z kobietą.

— I są przed domem?

— Tak.

— Pioruny! A my tu siedzimy przy drzwiach otwartych, przy jasnym ognisku. Parę strzałów wystarczy, aby nas sprzątnąć!

— Nie lękaj się! Meltonowie chcą nas schwytać żywcem, a dlatego wcale nie schwytają.

Poszedłem po sztucer, żeby mieć go w pogotowiu. Korzystając z okazji, zbliżyłem się do drzwi i ściągnąłem skórę, pozostawiając otwarte tylko wąskie pasmo u dołu, aby dym mógł się ulotnić. Teraz niepodobna nas było obserwować z zewnątrz.

— Czemu zamknąłeś drzwi? — zapytał gospodarz. — Chcesz, abyśmy się podusili?

— Dym swobodnie wychodzi. Nikt się nie zadusi — odparłem.

— Ale drzwi muszą być otwarte! Mówiąc to, podniósł się z miejsca.

— Proszę cię, niechaj drzwi będą zamknięte. Nie chcę, aby nas widziano z zewnątrz.

— Kto miałby widzieć?

— Być może ty sam wiesz kto.

— Nikogo tam nie ma! Drzwi będą otwarte!

Chciał podejść do otworu. Ten upór upewnił mnie w powziętym podejrzeniu.

— Stój, bo strzelam! — zawołałem, przykładając do skroni sztucer.

Widząc wycelowaną w siebie lufę, krzyknął przerażony:

— Chcesz mnie zastrzelić?

— Tak, o ile nie usiądziesz natychmiast przy swojej *squaw*.

— A to dlaczego?

— Nie pytaj, tylko słuchaj!

— Dom jest mój, a nie wasz!

— W tej chwili jest nasz. Od ciebie samego zależy, czy go odzyskasz.

— Jesteście moimi gośćmi. Zaprowadziłem was do siebie. Czy wy tak wywdzięczacie się za gościnę?

— Tak, ponieważ zaprosiłeś nas, aby zgładzić. A więc siadaj bezzwłocznie, jeśli nie chcesz dostać kulki!

Spełniając rzekomo rozkaz, zbliżył się do miejsca, gdzie wisiała jego flinta. Podniosłem się szybko, odgrodziłem go od strzelby i wskazując na posłanie, rzekłem:

— Nie tu, ale tam masz pójść! Uwijaj się szybko, bo wyczerpiesz moją cierpliwość.

Stał przede inną i błyskał wściekłymi ślepiami.

— Ruszaj! — powtórzyłem. — Jestem Old Shatterhand, a tu siedzi Winnetou, o którym poprzednio mówiłeś. Chciałeś widzieć nas przy palu męczeńskim, a oto musisz oglądać także w innych warunkach.

Wybuchnął wzgardliwym śmiechem.

— Czy sądzisz, że mnie przerażają wasze imiona? Nic podobnego! Skoro tylko was ujrzałem wiedziałem już kim jesteście.

— Domyślałem się.

— Przybyliście tutaj, aby zabijać, ale biegliście sami w objęcia śmierci. Czy wiesz, kim jestem?

— Kim?

— Nie Zuni, lecz jednym z owych wojowników Yuma, którzy tu przybyli wraz ze swoim wodzem i jego białą *squaw*. Dziś czeka cię odwet za hacjendę Arroyo i za Almaden Alto!

Odwrócił się ode mnie i podszedł do posłania, ale nagle wykonał błyskawicznie zwrot i skoczył do drzwi, odsuwając zasłonę skórzaną. Mogłem go jeszcze zatrzymać kulą, ale nie chciałem zabijać. Żona jego podniosła się z wolna, nieznacznie. Chciała się wymknąć za mężem.

— Może tęsknisz za mężem? — zapytałem.

Nie odpowiedziała.

— Jeśli chcesz pójść za nim, to idź; nie zatrzymujemy cię tutaj.

Obrzuciła nas niepewnym spojrzeniem i rzekła:

— A co mi zrobicie, jeśli zostanę?

— Nic. Nie walczymy z kobietami. Siedź zatem spokojnie i czyń, co ci się podoba, ale nie waż się nam zawadzać.

— Senior, jesteś dobry! Zostanę tu i nie uczynię nic, co by się mogło wam nie podobać.

Poprawiliśmy zasłonę nad drzwiami, po czym towarzysze moi wzięli broń do ręki. Usiadłem z powrotem przy ognisku. Emery i Winnetou poszli za moim przykładem, Vogel jednak szepnął zdenerwowanym głosem:

— Na miłość boską, nie siadajcie tam!

— A to czemu? — zapytałem.

— Mogą was trafić kule przez drzwi! Wrogowie podkradną się do zasłony i zjrzą do nas.

— Tego właśnie pragniemy.

— Aby mogli nas powystrzelać?

— Radzimy sobie sprawniej, niż oni. Jeżeli usiądziemy pod ścianami, nie zobaczą nas i nie spróbują nawet strzelać. A przecież przyjemnie byłoby dać im nauczkę. Siadaj pan spokojnie z nami. Nie masz się czego lękać. Może pan polegać na naszych oczach, ale strzeż się zerkać ku drzwiom, te draby natychmiast pochwycą spojrzenie. Oglądaj, co ci się żywnie podoba, byleby nie drzwi.

— Ale jeśli zechcą zdobyć dom szturmem?

— Jakże to zrobią?

— Nagle rzucą się do izby.

— Wiedzą dobrze, że w takim wypadku wszystkie nasze strzelby będą w nich skierowane. Od szybkich wystrzałów mego sztucera żaden się nie wywinie. Nie ma znów ich tak wielu, aby mogli szafować krwią swoich towarzyszków.

Vogel usiadł, plecami zwrócony do drzwi. Od czasu do czasu wzruszał plecami, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się z tyłu kuli. Rozmawialiśmy głośno, aby oszukać nieprzyjaciół. Nie troszcząc się na pozór o zasłonę, w istocie nie spuszczałyśmy z niej oka. Chwilami wiatr ją poruszał, co oczywiście utrudniało obserwację.

Naraz zobaczyłem między końcem zasłony a podłoga lufę. Wysuniętą co najmniej na dwa cale. W okamgnieniu strzelba Winnetou podskoczyła do jego szczęki — rozległ się strzał i okrzyk. Lufa zniknęła.

— Pierwszy, który się odważył, nie wróci już więcej! — roześmiał się Emery. — Hultaje zasłużyli na chłostę. I to nas chcieli schwytać!

— Czy sądzi pan, że im się nie uda? — zapytał Vogel.

— O tym nie ma mowy! Trzeba zgasić ognisko, aby nas nie widzieli i położyć się koło drzwi, aby zgładzić jednego za drugim.

— Lepiejby było wgramolić się na dach — wtrąciłem. — Z dachu będziemy mieli widok na wszystkie strony.

Winnetou przytaknął. Pułap wisiał na wysokości pięciu łokci. Można było wybić dziurę flintą Indianina, aby oszczędzić naszą broń. Ale przedtem powinno zgasnąć ognisko, gdyż świeciłoby przez dziurę i zdradzało nasze zamiary. Skoro więc wypaliło się, Emery zdjął flintę i zabrał się do roboty. Winnetou miał mu pomóc. Ja zaś podszedłem do drzwi, aby zapobiec ewentualnym niespodziankom.

Przypadłszy do ziemi, powoli wysunąłem głowę. Przed drzwiami nie było nikogo. Spojrzałem na prawo, ku ścianie, — ani żywej duszy. Na lewo — ach, tu skradał się ktoś chyłkiem, powoli, cichaczem, prawdziwie po indiańsku. Czekałem, aż zbliżył się na trzy stopy do drzwi, po czym szybko wybiegłem, lewą ręką uchwyciłem go za piersi, a prawą wyciąłem osiem, dziesięć, dwanaście dźwięcznych policzków z lewej i prawej strony! W końcu cisnąłem go daleko przed siebie. Był to Indianin — wypuścił z ręki broń. Podniosłem ją i zabrałem do domu. Ten pewnie też nierychło wróci! Gdyby sytuacja nie była tak poważna cała ta scena rozśmieszyłaby mnie ogromnie. Wspomnę, że deszcz ustał i niebo zaczęło się przecierać. Na koniec w dachu powstała tak wielka dziura, że mogliśmy się wgramolić. Plecy Emery'ego służyły za drabinę, sam zaś Anglik został przez nas wciągnięty. Oczywiście, pełzaliśmy chyłkiem, gdyż inaczej łatwo by nas zauważono przy blasku gwiazd. Rozłączyliśmy się. Ja zająłem przedni szczyt domu, Winnetou tylny, Emery prawy, a Vogel lewy.

Skoro przysunąłem się do krawędzi dachu, zobaczyłem przed sobą dwóch drabów. Nie chcąc ich pozbawiać życia, wystrzeliłem z rewolweru. Krzyknęli ze strachu i uciekli szybko. Tymczasem z tyłu padł strzał ze srebrnej strzelby Winnetou, a potem rozległ się jego metaliczny głos:

— Precz od koni, bo mój najbliższy wystrzał trafi cię w głowę! Czytelnik przypomina sobie, że umieściliśmy konie w ogrodzono uprowadzić wierzchowce. Strzały rozległy się także z innych stron. Yuma okrążyli cały dom, ale już w najbliższej chwili pierzchnęli czym prędzej.

Zamiar spalił na panewce. Żaden Yuma nie śmiał się przysunąć. Skoro dzień zaświtał, nie było dokoła żywej duszy.

Zeszliśmy na dół. Kobieta leżała na tym samym miejscu, na którym ją zostawiliśmy — Widać było, że nie jest zbyt przywiązana do swego męża, Winnetou podszedł do niej i zapytał:

— Dlaczego moja czerwona siostra nie wyszła do swego męża?

— Nie chcę go znać — odpowiedziała. — *Seniores*, podarujcie mi trochę pieniędzy, abym mogła wrócić do swego plemienia!

— Do Yuma, do Sonory? — zapytałem zdumiony.

— Tak, senior.

— I przebędziesz sama daleką drogę między tylu wrogimi plemionami?

— Nie lękam się tych plemion. Biedna *squaw* nie ma wrogów.

— To prawda. Żaden prawdziwy wojownik nie wyrządzi ci krzywdy. Ale dlaczego chcesz się rozstać z mężem.

— Ponieważ zmusił mnie, abym porzuciła ojczyznę i wywędrowała aż tutaj! Tam mieszkają moi rodzice i bracia, a tu powoli usycham z tęsknoty.

— Czy twój mąż źle się z tobą obchodził?

— To niegodny człowiek. Nienawidzę go!...

— Dobrze. Damy ci tyle pieniędzy, że wystarczy na drogę. Dałem jej, ile mogłem. Emery ofiarował dziesięć razy więcej, Vogel dodał kilka dolarów, a Winnetou ziarenko złota, wyciągnięte zza pasa. Krzyknęła radośnie:

— *Seniores*, dziękuję wam! Mieliście tu zginąć, a oto pomagacie biednej niewieście. Jakże się cieszę, żeście uszli cało!

— Jakie były zamiary naszych wrogów? — zapytałem.

— Podczas waszego snu chcieli was pojmać.

— Czyj to plan?

— Obu białych, ojca i syna. Z początku przybył syn wraz z białą *squaw*. Sądził, że już nie żyjecie. Potem przyjechał ojciec i opowiedział, że pędzicie jego śladem i że zamordowaliście i obrabowali jego brata. Kazano nam wejść na wierzchołek góry, wypatrywać was i zaprosić do naszego domu. Kiedy przyszlście, mimo niepogody musiałam jechać do Flujo Blanco, aby zawiadomić *seniorów*. Przybyli ze wszystkimi wojownikami.

— Czy nie mogłaś nas ostrzec?

— Nie. Czyż nie uważałam was za złoczyńców? Ale gdy zwróciłeś się do mnie tak przyjaźnie, zrozumiałam, że nas oszukano. A teraz obdarowaliście mnie szczodrze. Chciałabym się wywdzięczyć...

— Możesz się wywdzięczyć, udzielając nam pewnych wskazówek.

— Pytaj tylko, *senior!* Chętnie ci będę odpowiadała.

— Ufam ci, bo masz dobre i uczciwe spojrzenie. Twój mąż opisał nam wczoraj drogę do pueblo. Czy myślisz, że nas nie oszukał?

— Nie. Ojciec białego seniora zalecił mówić prawdę.

— Ale wszak usiłowano nas pojmać w tym domku!

— Gdyby się ten plan nie powiódł, chciano na was zastawić potrzask.

— Czy wiesz jaki?

— Tak. Wiedzieliśmy o wszystkim. Cieszono się powszechnie, gdyż chciano wyrzucić na was zemstę za dawne sprawy.

— Mam nadzieję, że opowiesz nam szczegółowo o tej drugiej zasadzce!

— Powiem ci. Mój mąż opisał pueblo w tym celu, aby zwabić was tam w razie, gdyby pierwotny plan się nie udał.

— Nie trzeba nas było zwabiać, bo i tak jesteśmy zdecydowani za wszelką cenę zwiedzić pueblo.

— Zginęlibyście, gdybym wam teraz nie zdradziła tajemnicy. Ponieważ was tutaj nie schwytano, więc wszyscy nasi, którzy tu byli w nocy, wrócą do pueblo i pozostawią za sobą wyraźne ślady, abyście łatwo znaleźli drogę. Prowadzi ona do doliny Flujo Blanco, przez rzekę, a następnie biegnie lewym brzegiem, aż dolina zwęża się do tego stopnia, że wzdłuż wybrzeża może jechać tylko jeden człowiek. W tym właśnie miejscu jest otwór w skałach — wąska dróżka prowadzi tędy do pueblo. Z obu stron wznoszą się niedostępne skały. Tu właśnie chcą was wciągnąć. Połowa naszych ludzi oczekuje w tej cieśninie, druga zaś połowa schowała się w kryjówce przydrożnej. Przepuści was, a potem pójdzie za wami. Będziecie wzięci w dwa ognie.

— Nienajgorszy plan. Wąziutki wąwóz, w którym mogliśmy jechać tylko gęsiego, z prawej i lewej strony skaliste ściany, a z przodu i z tyłu wrogowie.

— Tak, *senior*! Plan ten obmyślił stary.

— Jak powiedziałem, nieźle. Ale nie spostrzegł jednego lub więcej błędów, bo gdybyś nas nawet nie ostrzegła, nie wpadlibyśmy w pułapkę. Ten stary zaś nie oszuka nas. Jeśliby chciał schwytać, musiałby poczynać sobie chytrze. Pierwszy wybieg nie udał się, aczkolwiek nikt nas nie ostrzegł drugi tym mniej może powieść. A zatem połowa waszych ludzi miała się schronić w kryjówce i przepuścić nas, podczas gdy druga miała jechać przed siebie?

— Tak, *senior*.

— A poza tym mieli zostawiać wyraźne ślady? Moja siostra niech mi uwierzy, że nie jesteśmy ślepi. Liczylibyśmy ślady i od razu spostrzegli, że połowa ich znikła nagle. Zresztą, ta połowa nie może zniknąć — wszak nie rozwieje się w powietrzu. Poznaliśmy po tropie, że jeden oddział wrogów poszedł w jedną, a drugi w drugą stronę. Nakrylibyśmy Indian w zasadzce.

— Ale jakże byście później przeszli przez cieśninę?

— Być może, wcale byśmy nie przeszli. A zresztą, mielibyśmy wrogów tylko z przodu. Musieliby też jechać w pojedynkę, a więc z każdej strony mógłby walczyć tylko jeden jeździec, a w takim razie nie zostałby z Yuma nikt, aby policzyć ciała poległych.

Widziałem, że była przerażona. Zawołała błagalnie:

— *Senior*, nie czyn tego! Nie chcę, aby moje ostrzeżenie przyprawiło o zgubę moich rodaków. Wolę sama się zabić.

— Uspokój się! Nie uważamy Yuma za naszych wrogów. Zawarliśmy ongiś pokój i chcemy z nimi postępować jak z przyjaciółmi. O ile to zależy od nas, żadnemu z twoich nic się nie stanie złego. Chcemy tylko schwytać obu białych, którzy was jednak nie obchodzą, — to wszystko. Spróbujemy osiągnąć cel chytrą, a w takim razie nie dojdzie nawet do walki. Powiedz teraz, czy cieśnina stanowi jedyną drogę do pueblo?

— Tak. Nie ma innej.

— A czy można wdrapać się na otaczające skały?

— Nie, to niemożliwe, gdyż są tak proste i strome, jak mury tego domu. Jeśli chcesz, mogę wam pokazać.

— Kiedy? Jak?

— Już teraz. Rzeka jest na dole, a płaskowzgórza wysokie. Można dojechać do górnego krańca i stamtąd obejrzeć pueblo.

— Musimy to zobaczyć. Czy chcesz nas zaprowadzić?

— Tak. Wsiądźcie na konie i jedźcie stąd wprost na południe, aż dotrzecie do wielkiej, samotnej skały. Tam mnie oczekujcie. Pojadę drogą okrężną, aby mój ślad nie łączył się z waszym.

Osiadaliśmy rumaki. Rzekomy Zuni posiadał dwa konie. Na jednym uciekł, drugi stał w ogrodzeniu wraz z naszymi i miał się teraz przydać jego żonie.

Pędziliśmy w oznaczonym kierunku. Pół godziny minęło, zanim zobaczyliśmy umówioną skałę. Niebawem przyjechała *squaw*. Wyruszyliśmy za nią na zachód.

Było to zarośnięte krzakami płaskowzgórze z głęboko zarytymi strumieniami. Cwałowaliśmy jeszcze przez godzinę, aż wreszcie dojechaliśmy do gęstego gaju o dumnie wzniesionych koronach. Rozciągał się daleko; zdawało się, że w kształcie podkowy. *Squaw* zeskoczyła z konia i spętała mu przednie nogi, aby nie mógł daleko uciec. Poszliśmy za jej przykładem i zapuścili się gąszcz. Kobieta prowadziła nas na przełaj. Po chwili zatrzymała się i rzekła:

— Jeszcze parę kroków a znajdziemy się nad krawędzią głębokiej kotliny, w której zobaczycie pueblo. Strzeżcie się, aby was z dołu nie zauważono.

Na skutek tego ostrzeżenia położyliśmy się na ziemi. Pełzaliśmy przez krzewy skrajne i wnet znaleźli się nad krawędzią. Rozwarła się przed nami otchłań tak stroma, że aż w głowie się mogło zakręcić. Dno było zarośnięte trawą na której pasło się może dwadzieścia koni i kilkaset owiec, przeznaczonych widocznie na pokarm dla mieszkańców. Z trawy wznosiły się wysokie drzewa, wyglądające z tej odległości jak drobne krzewy.

— Znów kotlina! — rzekł Winnetou, który leżał obok mnie.

Te słowa były znamienne. Tak, znów kotlina! Podczas naszych wypraw, kotliny odgrywały zawsze wybitną rolę. Jakże często stawały się dogmatem Bożym dla naszych nieprzyjaciół. Zawsze się wystrzegaliśmy tych pułapek, przygotowanych przez naturę. Ilekroć nie mogliśmy ich uniknąć, zawsze musieliśmy gorzko tego żałować.

Kotlina obecna mogła się stać prawdziwym więzieniem dla swoich mieszkańców, gdyż jedna tylko droga prowadziła z niej, mianowicie ta wąska cieśnina między skałami, o której opowiadała nam *squaw*.

Kształt miała niemal prawidłowo okrągły, ściany jej wznosiły się jak mury pionowo. Nie było w nich zakrętu, ani odstępu, ani żadnej szczeliny, któryby udostępniła drogę na dół.

Leżąc na wprost wylotu cieśniny, mogliśmy się przekonać, jak była wąska. Starczyło miejsca zaledwie na jednego jeźdźca. Obok tej cieśniny, wiodącej do Flujo Blanco, wznosiła się budowla, którą Judyta nazwała swym zamkiem. I trzeba przyznać, nie bez racji.

Było to pueblo, zbudowane w formie tarasowej. Widać było, że przed wielu, wielu wiekami oderwał się od skał i runął w dół ogromny potok kamieni. Głazów tych użyto do zbudowania pueblo. Budowla, oparta o skałę, składała się z ośmiu kondygnacji, tworzących tyleż tarasów, czy ii platform, gdyż każde wyższe piętro było cofnięte wstecz. Sprawiała wrażenie czworobocznej piramidy, przeciętej prostopadle, przy czym jedna połowa była jak gdyby wmurowana w skałę. Na każde piętro prowadziła osobna drabina. Gdyby zabrano tylko najniżej umieszczoną, zamek przeobraziłby się w niedostępną warownię.

Ongiś budowla ta doskonale odpowiadała przeznaczeniu. Sama przez się już była niezdobytą ostoją, a ponad to mieściła się w kotlinie o jednym tylko nader wąskim przesmyku, do którego obrony wystarczyłyby kilka osób. Tę twierdzę można było zdobyć tylko zniemacka O wygłodzenie mieszkańców nikt by się też nie pokusił — dno kotliny dostarczało dosyć płodów rolnych, aby ich wyżywić, a i wody zabraknąć nie mogło; połyskiwała w wielkim okrągłym zbiorniku, wbudowanym w środek parteru. Prawdopodobnie dostarczało jej podziemne źródło.

Teraz z kolei zwróciliśmy uwagę na ludzi. Przed cieśniną obozowali Indianie z bronią w ręku. Przywódca — przynajmniej na takiego wyglądał — siedział nad nimi na pierwszej platformie pueblo w dobranym towarzystwie Jonatana Meltona i Judyty. Jonatan miał przy sobie strzelbę.

— Czy widzisz, *senior*, że jest tak, jak mówiłam? — zapytała Indianka — Cześć wojowników czeka na was przy wejściu, a reszta zaczęła się nad rzeką, aby was wpędzić do cieśniny.

— Gdzie jest ojciec tego białego, który siedzi na dole przy białej *swuaw*.

— Nad rzeką, on tam przewodzi. A tu jest jego syn. Teraz nie wątpię, że was schwytają.

Anglik odezwał się:

— Jak pięknie moglibyśmy stąd sprzątnąć Jonatana! Czy posłać mu kulkę?

— Ależ nie! — odpowiedziałem. — Po pierwsze, chcę go mieć żywcem, a po drugie, wątpię czy trafisz.

— Oho! Czy sądzisz, że nie umiem strzelać?

— *Pshaw!* Wiesz, znam twoją biegłość, ale taki strzał z góry na dół jest niepewny. Nawet ja nie ośmielę się twierdzić, że trafię.

— *Well!* A po trzecie?

— Po trzecie wystrzał byłby manifestacją i zaszkodziłby nam wielce. Nie wiadomo, jak w tym wypadku skończyłaby się cała wyprawa.

— Dobrze, a zatem nie strzelać. Ale co uczynić? Czy skoczysz na dół, aby uchwycić za czub miłego Jonatana?

— Na dół? Być może tak, mimo że nie będziemy skakali. Spójrz na pueblo. Jak daleko jest stąd, a więc z krawędzi skały, aż do najwyższego z tarasów budowli?

— Sądzę, że najmniej czterdzieści łokci.

— Jest tak, jak mówisz.

— Czy chcesz zbudować tak wielką drabinę? — rzekł z uśmiechem.

— Jeśli masz zamiar stroić żarty, to postaraj się, aby były dowcipniejsze.

— Hm, tak, sprawa jest nader poważna. Musimy się za wszelką cenę dostać do pueblo, a ponieważ niepodobna przeniknąć cieśniną, przeto musimy zejść tędy na dół.

— Nie powiem, że niepodobna. Objaśniłem już czerwonej *squaw*, w jaki sposób poradzilibyśmy sobie z owym wąskim przesmykiem.

— Ale to wymagałoby otwartej walki i gdybyśmy nawet weszli cało do kotliny, łatwo możnaby nas było sprzątnąć z tarasów pueblo. Myślę, że moglibyśmy się też potajemnie przekraść, oczywiście w nocy. W takim razie musielibyśmy zaskoczyć strażników, może nawet ich zakłuć, a tego chciałbym, za wszelką cenę uniknąć. Nie pozostaje więc nic innego, tylko zejść stąd na dół.

— Czy za pomocą naszych *lass*?

— Tak.

— Słuchaj, to niebezpieczna zabawa! Wszak nasze *lassa* są kupione. Gdybyśmy sarni je splekli, mielibyśmy pewność, że wytrzymają. Ale opuszczać się w takie głąbie na kupionych *lassach*, to więcej, niż podrwić głowę.

— Wytrzymają nasz ciężar. Przetłuszczono je, a następnie wędzono. — A jednak nie polegałbym na tych rzemieniach. Czy pomyślałeś też o tym, że będą się kołysać?

— Tak. Rozproszę twoje obawy — sam się pierwszy opuszczę. A następnie naciągnę *lasso* mocno, abyście mogli zejść bez kołysań.

— *Well!* Spróbuj, a jeśli ci się uda, pójdę za tobą. Ale przedtem zapytaj *squaw*, czy...

— Nie! — przerwałem. — Indianka nie powinna wiedzieć, że chcemy zejść tędy. Wierzę, że dobrze nam życzy, ale lepiej będzie, jeśli się nie dowie o naszych zamiarach. Chociaż nie chce nas zdradzić, może w każdym razie wygadać się przed mężem, albo innym Yuma.

— W takim razie dobrze się stało, że rozmawialiśmy po niemiecku. Gdzie się podział Apacz?

Winnetou bowiem zniknął na prawo w krzakach.

— Dziwna rzecz, jak jednomyślnie zwykliśmy decydować w skomplikowanych okolicznościach — odparłem. — Jestem pewien, że Apacz poczołgał się wprost nad pueblo, aby spojrzeć w dół i zastanowić się nad sposobem zejścia do kotliny.

Nie myliłem się bynajmniej. Wkrótce Winnetou wrócił i rzekł:

— Jedna tylko droga bez rozlewu krwi prowadzi do celu. Musimy się spuścić na górną platformę.

Mówił w języku Siouksów, a to z tych samych powodów, które skłoniły nas do porozumiewania się po niemiecku.

— Czy myślisz, że nasze *lassa* wystarczą? — zapytałem.

— Tak.

— I że się nie przerwą?

— Nie. Nasze trzy lassa są tak długie, że jeśli je zwiążemy w jedno, to sięgną do najwyższej platformy pueblo.

— Ale jak je umocujemy na górze?

— Niedaleko krawędzi wznosi się drzewo o tak mocnych korzeniach, że na pewno wytrzyma nasz ciężar. Przypuszczam, że mój brat zgodzi się dziś wieczorem przeprowadzić na dół?

— Tak. Zamierzałem zaproponować ci to samo. Ale na czym strawimy czas do wieczora?

— Czy mój brat nie umie sam sobie odpowiedzieć na to pytanie?

— Być może. Nade wszystko trzeba się postarać, aby wrogowie nie odkryli nas i nie przejrżeli.

Winnetou skinął potakująco i rzekł:

— Tak, musimy odwrócić ich uwagę. Jak według mego brata, należy postąpić?

— Musimy Yuma nasunąć myśl, że napadniemy ich nad rzeką.

— Słusznie. Powinni sądzić, że chcemy się przekraść przesmykiem do pueblo, trzeba więc wrócić na dół.

— Już teraz? — zapytał Emery.

— Tak — potwierdził Apacz. — Powinni, a nawet muszą nas zobaczyć albo, co najmniej, zauważyć naszą obecność na dole.

— Bądźmy ostrożni! Mogą nas po prostu zastrzelić.

— Gdybyśmy się zbliżyli na odległość strzału. Ale tego będziemy się wystrzegali.

— Jeden oddział zaczął się w kryjówce. Gotowi nas podpatrzeć, nie wiemy przecież, gdzie się ta kryjówka mieści. Łatwo możemy im wpaść w ręce.

— Nie. Wszak mamy oczy i uszy. A poza tym może Indianka zdradzi nam również kryjówkę.

Istotnie powiedziała, skoro zapytaliśmy.

— Kiedy wrócicie do mego domu i pójdziecie śladami, wydeptanymi wyraźnie, abyście je mogli widzieć, to dotrzecie niebawem do małego strumyka, który wpada do Flujo Blanco. Tam Yuma mieli się rozłączyć. Jeden oddział miał iść do pueblo, a drugi dalej, wzdłuż strumyka, i zaszyć się w krzakach.

— I teraz wypatruje nas z prawdziwą niecierpliwością — wtrąciłem. — Wszak pierwszy oddział przybył już do pueblo, widzimy go oto na dole. Czy pozwolimy dłużej czekać tym *gentlemanom*?

— Nie. Natychmiast pojedziemy na dół, ku rzece — rzekł Winnetou i, zwracając się do kobiety, dodał: — Nie zwodzi nas moja siostra?

— Nie — odpowiedziała.

Twarz jej świadczyła o szczerości tych słów.

— Wynagrodzimy cię za to. Jeśli schwytny obu białych tylko podstępem, bez walki, to dostaniesz więcej jeszcze, niż dotychczas, pieniędzy. Ale jeśli nas zdradzisz, to pierwsza kula ugodzi cię. Wierzaj mi, że nie żartuję. Chętnie wynagradzamy, ale umiemy też karać.

— Chcę stąd umknąć po kryjomu, ale nie chcę szkodzić swoim. Zamierzacie ich oszczędzać i dajecie mi pieniądze, abym mogła się dostać do Sonory, dlatego wam dobrowolnie powiedziałam wszystko, czegoście żądali i dlatego też nie zdradzę was.

— A więc niech moja siostra wróci do domu!

Chciała natychmiast odejść. Nam jednak brakło jeszcze jednej cennej wiadomości. Nawet Winnetou, tak zawsze przezorny, zapomniał o ten szczegół spytać. Toteż mnie wypadło zatrzymać kobietę.

— Znasz dokładnie pomieszczenia pueblo?

— Wszystkie.

— Czy wiesz, gdzie mieszkała biała *squaw*?

— Na pierwszym piętrze.

— Jak się do niej wchodzi?

— Z drugiego piętra w dół. W otworze, pośrodku platformy tkwi drabina.

— A więc na pierwszym piętrze. A pod nią, na parterze mieszkają Indianie?

— Nie.

— Na co przeznaczono parter?

— Mieszkańcy przechowują tam zapasy kukurydzy oraz inne ziemiopłody i warzywa, rosnące w dolinie. Jest tam również studnia.

— Widzę. Czy to cysterna?

— Nie. Woda wypływa z rzeki.

— A zatem ten strumyk, który stąd widzimy, łączy się z Flujo Blanco?

— Tak. Woda nigdy nie wysycha, bo też nie wysycha rzeka.

— A gdzie mieszkają Yuma?

— Na wyższych piętrach.

— A czy wiesz, gdzie się umieścili obaj biali ojciec i syn?

— Syn mieszka na pierwszym piętrze.

— A ojciec, Gdzie mieszka ojciec?

— Na drugim.

— Jakże się ta biała *squaw* ma dobrze czuć na takim pustkowiu? Brak jej chyba wygód, bez których białe kobiety nie mogą się obejść.

— Niczego jej nie brak. Wódz sprowadził wszystko, czego sobie życzyła. Zaślepiiony miłością, nie cofał się przed żadnym trudem. Nasi mężowie stale jeździli do Prescott lub Santa Fé, aby przywozić jej obstalunki.

— Czyżby więc wasz wódz był tak bogaty, że mógł zaspokoić wszystkie jej zachcianki?

— O to nie powinieneś pytać — nie mogę ci odpowiedzieć. Żaden czerwony mężczyzna i żadna czerwona kobieta nie zdradza, gdzie leży złoto i srebro, którego tak pragną biali.

— Dobrze. Wiem już wszystko, co wiedzieć chciałem. Możesz wracać. Ale nie zapomnij tego, co ci powiedział Winnetou. Jeśli nie postępowałaś z nami uczciwie, to wywdzięczymy ci się kulką, jeśli uczciwie zapłacimy złotem.

— Kiedy, senior?

— Skoro tylko złowimy obu białych.

— A gdzie?

— W twoim domu. Zapewne będziemy tamtędy wracać.

— Ale proszę was, dajcie mi to po kryjomu, żeby nikt nie widział!

— Ufaj nam! Przecież za przysługę nie odpłacimy ci krzywdą. Dosiadła swego konia na oklep i pomknęła. Wkrótce zniknęła na północnym wschodzie, na drodze do swego domu. Stamtąd do Flujo blanco jechało się na zachód. A zatem z naszego miejsca do rzeki trzeba było obrać kierunek północno — zachodni. Znając położenie domku, nietrudno było obliczyć odległość od rzeki. Z domku do rzeki dwie godziny jazdy, z naszego więc miejsca — godzina, tym bardziej że puściliśmy wierzchowce w cwał.

PUEBLO

Po trzech kwadransach dotarliśmy do śladów, wyraźnie wydeptanych przez Yuma. Charakter miejscowości świadczył o pobliżu rzeki.

Emery zapytał Winnetou:

— O co wam właściwie chodzi? Chcieliście się pokazać Yuma, ale jak i gdzie, o tym nie słyszałem.

— Mój brat nie słyszał ponieważ nie pytał. Poszukajmy kryjówki wrogów.

— Poszukamy otwarcie?

— Nie. Ukradkiem.

— Chcemy przecież, aby nas ujrzeli.

— Tak, powinni nas zobaczyć, ale wówczas dopiero, gdy będziemy przy nich.

— Ach! A zatem podkraść się do nich. Nie możemy tedy zabierać ze sobą koni?

— Nie. Umieścimy je w pobliżu. Zostanie przy nich nasz brat Vogel. Tak, czy owak, nie mógłby pójść z nami, nie umie się podkraść i tylko pokpi sprawę.

— Przede wszystkim więc musimy poszukać dla niego i dla koni dogodnej kryjówką.

Wkrótce znaleźliśmy. Była to rozległa grupa krzaków, leżąca od nas na prawo. Pojechaliśmy tam, ukryli konie i udzielili Voglowi wszelkich potrzebnych w danym wypadku wskazówek. Niechętnie rozstawał się z nami, ale musiał sam przyznać, że nie ma doświadczenia *westmanów* i, zamiast pomocy, przyniósłby nam szkodę.

Wracaliśmy śladami Yuma z najwyższą przezornością, gdyż należało przypuszczać, że chociażby z niecierpliwości Indianie wyślą naprzeciw wywiadowcę. Kryliśmy się za każdym drzewem i krzakiem, póki nie przekonywaliśmy się, że wrogów przed nami nie ma.

Tak manewrując, przybyliśmy wreszcie w pobliże głębokiej doliny, gdzie Flujo Blanco wrzyna się w płaskowzgórze. Dolina tworzyła kanion, do którego zbliżaliśmy się prostopadle, to znaczy droga nasza krzyżowała się z linią doliny pod kątem prostym.

Naraz teren zaczął opadać. Wydrążenie na kształt wąwozu prowadziło nas ku rzece. Winnetou, jak zawsze przezorny i zapobiegliwy, rzekł:

— Nie zapuścimy siew ten wąwóz. Musimy się dowiedzieć, dokąd prowadzi. Przeto wyminiemy go i dojdziemy do krawędzi kanionu.

Tak się też stało. Niebawem dotarliśmy do wysokiej krawędzi, z której można było spojrzeć w dół, na rzekę. Zobaczyliśmy wylot wąwozu, a na wprost niego, na drugim brzegu, ujście strumyka, na pewno tego właśnie, o którym opowiadała *squaw*, a który wypływał spośród skał. Między strumykiem a skałami było tyle wolnego miejsca, że można było wzdłuż brzegów iść, a nawet jechać. Emery wskazał w tym kierunku i rzekł:

— Tam jest kryjówka. Jak się dostaniemy do niej niepostrzeżenie? Jeśli pójdziemy wzdłuż brzegu, to szubrawcy wnet nas zobaczą.

— Czy musimy iść tamtędy? — zapytałem. — Znajdziemy inną drogę, jeśli nie tu, to gdzie indziej.

— Ach! Chcesz podejść ich z tyłu?

— Tak. Wypatrują nas z tej strony, więc zjawimy się z przeciwnej.

— Ale w takim razie musimy się przepawić przez rzekę, przez kanion, przez skały, a fruwać nie umiemy.

— Skoro nie umiemy fruwać, będziemy musieli iść Wróćmy do wąwozu! Znamy teraz dobrze teren i nie wątpię, że się nam powiedzie.

Wróciliśmy do wąwozu i weszli, oczywiście zachowując wszystkie należne środki ostrożności. Nad brzegiem rzeki ujrzeliśmy, że ślady Yuma się rozdzieliły — połowa biegła naprzód, druga przez rzekę ku strumykowi. Nie uszłoby to naszej uwagi, nawet bez ostrzeżenia

squaw. Po prostu nie mogłem pojąć, jak obaj Meltonowie mogli przypisywać nam tak beznadziejną ślepotę. Na ten ślad zwróciłby uwagę każdy, a cóż dopiero taki Winnetou!

Przeprawiliśmy się w pław przez rzekę, ale, zamiast pójść wzdłuż strumyka, cofnęliśmy się brzegiem Flujo Blanco aż do miejsca, gdzie nietrudno było wydzwignąć się na brzeg. Teraz więc staliśmy na płasko — wzgórzu drugiego brzegu rzeki. Poszliśmy na lewo, na ukos, w kierunku strumyka. Niebawem dotarliśmy do miejsca, gdzie zejść było łatwo.

Yuma wypatrywali nasz lewej strony, pod górą strumyka, my skradaliśmy się ze strony przeciwległej. Oczywiście, musieliśmy podwoić czujność. Emery jeszcze niezupełnie zdawał sobie sprawę z naszych zamierzeń. Gdyśmy się zatrzymali na dobrze krytym miejscu.

— Czy ta fatyga była konieczna, Charley?

— Tak — odparłem. — Yuma spodziewają się nas. Jeśli nie przyjedziemy, będą nas szukać. Znajdą ślady, prowadzące do pueblo i, jeśli im nawet nie uda się zaskoczenie, to dowiedzą się o naszym planie i schwytają nas na pewno wieczorem, gdy zaczniemy się spuszczać do kotliny.

— Hm, słusznie. Ale mogliśmy gdzie indziej się schronić do wieczora.

— Nic by nie pomogło. Musimy ich szukać; powinni sądzić, że tylko cieśniną zamierzamy się dostać do pueblo. A poza tym, pomyśl tylko, jak pięknie ich podejdziemy. Wypatrują nas i nasłuchują, spodziewając się, że przyjdziemy wzdłuż rzeki lub jeśli nawet odkryliśmy ślady, wzdłuż strumyka. W obu wypadkach wpadniemy im w race. A oto jesteśmy nad nimi i przyjdziemy ze strony nieoczekiwanej.

— No, i co mamy z tego?

— Co mamy z tego? — zapytałem zdumiony. — Co za pytanie?

— Dziwisz się? Wszak nie chcesz czerwonym wyrządzić nic złego. Rozumiem, gdybyśmy mieli ich zastrzelić — to owszem, istniałaby racja, abyśmy się prażyli w tym upale i podkradali z narażeniem głowy. Ale zabijać nie mamy ochoty, wypłoszymy Yuma tylko i pozwolimy stąd uciec.

— Tak, pozwolimy, ale nie staremu Meltonowi. Tego schwytałyśmy. A wieczorem będzie pora na syna. Jesteś już zadowolony?

— Jeśli tak, to owszem. Nie mówiliście, że tu chodzi o starego Meltona!

— To się samo przez się rozumiało. Ale teraz dalej, bo draby mogą się zniecierpliwzić i opuścić kryjówkę.

Podkradliśmy się dalej, nie chodząc już, lecz pełzając po ziemi. W każdej chwili mogliśmy się natknąć na wroga.

— *Uff!* — usłyszałem nagle zdziwiony okrzyk Apacza.

Wyprzedził nas o kilka kroków. Podniósł się, stanął za gęstym krzewem i wskazał naprzód, na przerzedzone miejsce. Podpełzaliśmy. Ogarnęło nas zdumienie, a raczej rozczarowanie. Trawa na tym miejscu była udeptana, tu się ukrywali Yuma, ale teraz nie widać było nikogo.

— Poszli sobie — mruknął Emery.

— Tak, o ile to nie jest podstęp, — ostrzegłem. — Być może, zobaczyli nas i cofnął i się, aby przywitać kulami.

— Zobaczymy! — rzekł Apacz — Moi bracia niechaj tu poczekają. Oddalił się, przeskoczył przez strumyk i znowu pełzał. Gdyby nawet tam się Yuma pochowali, nie byłiby go dostrzegli w gęstwinie krzewów i chrustu. Skradał się jak wąż. Zniknął na dziesięć minut i znowu się pojawił, nie pełzając już, lecz idąc. Był to znak, że nie znalazł wrogów.

— Uciekli! — krzyknął z daleka kwaśno Emery. — Wrócili do pueblo, bo wyczerpała się ich cierpliwość. A zatem nie schwytałyśmy starego Meltona.

— Gdybyż się tylko na tym skończyło! — dorzuciłem.

— Tylko na tym? Co jeszcze innego mogło się zdarzyć?

— Przeprawili się przez rzekę. Jeśli zobaczyli nasz ślad, to...

— Do piorunów, tak! W takim razie pójdą brzegiem i wrócą do strumyka. Musimy tu zostać i przyjąć ich godnie. Lepszego obrotu nasza sprawa nie mogła przyjąć.

— Nie jestem tak uradowany, jak ty. Skoro zobaczą ślady, pójdą za nami, ale pytanie, w którą stronę? Jeśli pójdą wstecz, to znajdą Vogla i nasze konie.

— Byłby to największy pech, jaki można sobie wyobrazić.

— Więcej niż pech. Musimy szybko podążyć za nimi i przekonać się, dokąd poszli.

Pośpieszyliśmy do rzeki i szybko przeprawili się przez płytką wodę. Na gruncie u wylotu wąwozu ujrzeliśmy o wiele więcej śladów, niż poprzednio. Oglądałem je, ale nie mogłem nic wywnioskować. Tak samo Emery, a nawet Winnetou potrząsnął głową i wreszcie rzekł:

— Być może, Yuma znowu wrócili. Moi bracia niech szybko pomkną za mną ku wierzchowcom.

Przebiegliśmy wąwóz. Tu na trawie, ku najwyższemu przerażeniu, zobaczyliśmy ślady Yuma. A zatem odkryli nasz trop i poszli za nim, ale, niestety, nie naprzód lecz wstecz, tam, skąd przybyliśmy. Teraz biegliśmy co tchu do krzaków, gdzie zostawiliśmy Vogla z końmi. Nie myśleliśmy o środkach ostrożności — wszak chodziło o naszego towarzysza i o nasze konie. Jak ścigane zwierzęta, pędziliśmy przez zagajnik, z bronią w rękę, aby w każdej chwili mogła przemówić.

Dobiegliśmy, lecz nie było koni, ani Vogla. Darnina nie była udeptana, ani śladu walki. Nasz słynny wirtuoz został po prostu zaskoczony. Ślady łukiem, wracały stąd do wąwozu. My, tak doświadczeni, tak mądrzy, tak przemądry ludzie ponieśliśmy haniebną porażkę. Emery omal nie pękł z wściekłości.

— Stoicie tylko i wylupiacie na siebie gały! — zawołał. — Gdzie jest stary Melton, którego mieliście schwytać? Gdybyście mnie usłuchali, nie stalibyśmy tu, jak wychłostane żaki!

— Czy mój brat Emery nigdy nie popełnił błędu? — zapytał spokojnie Winnetou.

— Dostyc wiele, dostyc! — odpowiedział Anglik ze swą śmieszoną szczerością. — Ale nie powinniśmy się tutaj zatrzymywać. Musimy mknąć czym prędzej, musimy go uwolnić. Ruszajmy szybko, ruszajmy!

Pomknął naprzód. Widząc, że wleczeni się za nim powoli, przystanął w biegu i zawołał:

— Chodźcie, no chodźcie! Nie można tracić czasu.

— Dokąd to? — zapytałem. — Do pueblo?

— Do... Ach, więc myślisz, że go tam zawlekli? W takim razie nie pójdzie nam tak gładko, jak sądziłem.

— Rozumie się, nie możemy, w jasny dzień, szturmować fortecy.

— Ale co zrobimy do nocy?

— Poczekamy, nic więcej.

— A więc chodźmy! Pójdźmy na krawędź tej skały, z której mamy się opuścić na dół, i zobaczmy, co zrobią z Voglem i końmi.

— A jeśli Yuma zaczną nas szukać? Jeśli znajdą nas i unieszkodliwią? Wówczas nie tylko nie schwytamy Meltonów, ale na domiar stracimy Vogla.

— Ale gdzie spędzimy tak długi czas?

— Pokażę wam — rzekł Winnetou. — Moi bracia niech idą za mną!

Przeprowadził nas aż pod wąwóz i usiadł pod krzakiem.

— Czy zechcą moi bracia tu siedzieć? — zapytał.

— Ja nie! — mruknął Emery. — Siedzimy przed samym nosem wroga.

— To jest jedyna rzecz właściwa — oświadczyłem. — Yuma po odprowadzeniu Vogla do pueblo, na pewno tutaj powrócą.

— Nie odważą się.

— W każdym razie Meltonowie wyślą jednego lub kilku wywiadowców, aby się dowiedzieć, gdzie jesteśmy i co robimy.

— A jeśli nadejdą. Cóż my?

— Odeślemy ich z powrotem do pueblo i każemy się kłaniać Meltonom. W ten sposób uzyskamy pewność, że naszemu towarzyszowi nie wyrządzą złego.

— Hm, tak... chciałbym wiedzieć. Biednemu chłopcu grozi niebezpieczeństwo, nad które nie ma większego.

— Nie tak groźne znowu! Dopóki tu jesteśmy nie powinien tracić otuchy.

— Oho! Pomyśl o spadku.

— No? Dalej.

— Jeśli im wyzna prawdę, natychmiast go zakatrupią.

— Nie będzie chyba tak głupi, aby ją wyznać.

— Czemu nie, myślę, że na pewno wygada się ze strachu, czy złości.

— Powie — potwierdził Winnetou spokojnie. — Wyzna prawdę i dlatego właśnie Winnetou usiadł na tym miejscu.

Teraz przytrafiło mi się coś niezwykłego, nie zrozumiałem intencji Winnetou. Widząc, że obrzucam go pytającym spojrzeniem, rzekł:

— Czy mój brat Szarlieh wierzy, że się Meltonowie nas lękają?

— Tak.

— Czy myślą, że będą nas mogli tutaj złapać i zgładzić.

— Nie. Wręcz przeciwnie, wiedzą, iż rola ich dobiega końca.

— Tak, nie pozwolimy się zaskoczyć i zabić. Mogli schwytać Vogla, ale nie nas. Odkryliśmy ich gniazdo. Jeśli stąd uciekną, to pomkniemy za nimi i nie spoczniemy, dopóki nie wpadną nam w ręce. Zdają sobie z tego sprawę. Naraz chwytają Vogla, który wyrzuca im zbrodnię i powiada, że jest jedynym prawdziwym spadkobiercą. Co w takim razie mają uczynić?

— Natychmiast go usunąć — odpowiedział tonem pełnym przekonania Emery.

— Czy mój brat Szarlieh podziela to zdanie?

— Nie — zaoponowałem, domyślając się już zamiarów Winnetou. — Morderstwo nie polepszy ich sytuacji, lecz o wiele pogorszy. Mordercy nie będą mogli liczyć na nasze pobbżazanie.

— Mój brat ma słuszość, gdyż trzymając go jako zakładnika, zyskują moźność ratunku.

— A więc mój brat Winnetou myśli, że jeśli zostaniemy tutaj, to wkrótce nadejdzie wywiadowca, później poseł?

— Tak.

— Mój brat najlepiej z nas przewiduje. Nigdy się nie myli. Jestem przekonany, że i dziś spełni się jego przypuszczenie.

— Bardzo wątpię — mruknął niechętnie Emery. — A nawet jeśli się to sprawdzi, czy wejdziecie w układy z tymi ludźmi?

— Tak. Należy czynić, co rozum dyktuje. Przede wszystkim powinniśmy dbać, aby się nic złego nie stało naszemu towarzyszowi, a przeto na pozór przystać na poczynione propozycje, albo, co najmniej, wziąć je pod rozwagę. Działaliśmy dziś nieprzezornie i bez szczęścia, ale jedna okoliczność godzi mnie z naszym fatalnym położeniem.

— Jaka?

— Że mamy lassa przy sobie. Gdybyśmy je zostawili przy koniach, wszystko byłoby dla nas stracone i nie wiedziałbym, jak uwolnić Vogla.

— *Pshaw!* Uwolnilibyśmy go w każdym razie.

— Ale z jakimi przeciwnościami musielibyśmy walczyć! Jestem przekonany, że Vogel będzie wolny już jutro rano. Mam nadzieję, że...

Winnetou przerwał mi lekkim skinieniem. Leżał tak, że mógł spoglądać w wąwóz. Dojrzałem błysk w jego oczach. Naraz usłyszałem szmer kroków, ktoś się skradał. Zaszyliśmy się głębiej w zagajnik. Niebawem wywiadowca nadszedł. Był to Indianin. Obejrzał się na prawo i lewo, nie widząc nikogo. Wyszedł z wąwozu i zaczął badać ślady, odcisnięte przez nas i przez jego towarzyszy na trawie.

Teraz odwrócił się do nas plecami. Winnetou podniósł się cichaczem za nim, ja i Emery nie daliśmy na siebie czekać. Apacz spytał głośno:

— Czego tu szuka mój czerwony brat, w trawie?

Yuma odwrócił się, zobaczył nas i ze strachu wypuścił z rąk flintę. Winnetou odtrącił ją szybko nogą i dodał:

— Czy mój brat coś zgubił?

Widziałem, jak po brązowej twarzy Yuma przebiegł błyskawicznie wyraz zdecydowania, stanąłem w odległości trzech kroków od wąwozu. W tejże chwili Yuma wykonał szybki obrót i padł wprost w moje objęcia. Wyrwał się, szamotał, ale po paru próbach spotulniał i pozwolił się rozbroić. Odwiodłem go od wąwozu i kazałem usiąść na miejscu, gdzie poprzednio siedzieliśmy. Winnetou znowu się tak umieścił, aby mieć wąwóz na oku i rzekł do schwytanego Yuma:

— Czy mój brat wie, kim jesteście? Zapytany skinął potakująco.

— Niech wymieni nasze nazwiska!

— Winnetou i Old Shatterhand. Drugiego białego nie znam.

— Ten biały jest słynnym myśliwym, który się jeszcze nigdy nie uląkł wroga. Mój brat dobrze wymienił nasze nazwiska. Gdzież je słyszał? A może nawet poznał nas kiedyś?

— Widziałem was w Sonorze, w hacjendzie del Arroyo i w Almaden Alto.

— Jeśli mój brat sobie przypomina, co tam zaszło, to chyba wie również, że nie jesteście wrogami Yuma, gdyż zawarliśmy z nimi pokój. Czemu występują teraz Yuma przeciwko nam? Yuma milczał.

— Pokonaliśmy wówczas wiele setek Yuma teraz zaś jest was tak mało. Czy sądzicie, że tym razem uśmiechnie się do was szczęście?

— Zamieszkujemy pueblo, niedostępne dla wroga.

— Mój brat się myli. Skały Almaden Alto były o wiele mocniejsze i mniej dostępne, niż wasze pueblo, a jednak dotarliśmy tam i nawet schwytali właściciela. Almaden Alto było bronione przez licznych Yuma, a oto mój przyjaciel Old Shatterhand sam tych czynów dokonał. Jakże łatwo nam dostać się do waszego pueblo! Możecie wszyscy czuwać, jeśli zechcemy, przemkniemy niepostrzeżenie przez wąskie wejście. Wtedy nie będzie dla was ratunku. Dlatego radzę nie doprowadzać nas do ostateczności.

Słowa te zwały wywiadowcy kamień z serca. Lękał się bowiem, że go zabijemy. Odpowiedział szybko:

— Dlaczego wódz Apaczów rzuca słowa na wiatr?

— Na wiatr? Dlaczego? — zapytał Winnetou, aczkolwiek dobrze rozumiał do czego zmierza Yuma.

— Gdyż ci, do których rada jest skierowana, nie mogą jej usłyszeć.

— Odeślemy cię do nich z powrotem.

Twarz Yuma rozpromieniła się radością. Rzekł:

— A więc pozwól mi odejść! Opowiem swoim braciom, co im radzisz.

— Poczekaj chwilę! Odkąd to czerwoni wojownicy nie wstydzą się być niewolnikami kobiety, białej *squaw*!

— Nie jesteśmy jej niewolnikami!

— Jesteście nimi. Dla jej sprawy zadzieracie z trzema znakomitymi wojownikami, którzy, jak wiadomo, mogą was pogromić, skoro tylko zechcą. I dla tej kobiety bierzecie w obronę ludzi, którzy są złodziejami i mordercami i nawet nie należą do plemienia czerwonych! Zaslugujecie na głęboką pogardę.

Oczy Yuma błysnęły gniewem. Opanował się jednak i rzekł:

— Biała kobieta była *squaw* naszego wodza, dlatego jej służymy.

— Jacyż to czerwoni wojownicy służą *squaw* swego wodza, a tym bardziej po jego śmierci? Mój brat niech opowie swoim towarzyszom, co Winnetou o nich pomyśli, jeśli będą dłużej

bronić białej kobiety i jej obu przyjaciół. Schwytaście młodego białego naszego towarzysza, zabraliście nam konie, napadliście na nas wczoraj wieczorem, aby schwytać i zabić, to wszystko woła o pomstę, która was niechybnie spotka, jeśli się nie zgodzicie na pojednanie.

— Czego żąda od nas Winnetou?

— Naszych koni, młodego człowieka, o którym wspomniałem i obu białych, którzy mieszkają u *squaw* w pueblo.

— Wygórowane żądania! A co w zamian przyrzeka Winnetou?

— Życie.

Poznać było po Yuma, że odczuwa wielki respekt wobec Winnetou, ale tym razem jego cienkie wargi zadrgały ironicznie, kiedy odparł:

— Jeśli nam zechcą odebrać życie, to potrafimy je obronić. A może sądzi wódz Apaczów, że nie mają się go kule?

— Tutaj, wśród was, jestem pewien, że mnie żadna kula nie ugodzi. Znam was dobrze. A zatem wiesz, czego żądam: ojca i syna mieszkających u was, młodego białego, którego schwytaście, oraz koni.

— A co się stanie, jeśli nasi wojownicy się nie zgodzą?

— Tego ci nie powiem, ale niebawem się dowiedziecie. Teraz możesz odejść. Zostaniemy tutaj, aż słońce zbliży się do widnokręgu na dziesięć szerokości ręki. Jeśli do tego czasu nie dacie odpowiedzi, to spór nasz rozstrzygnie tomahawk. W ciemnościach dotrzemy do rzeki, powystrzelamy wszystkich, którzy nam staną na drodze, wędrujemy się do pueblo i zabierzemy wszystko, czego nam odmawiacie. Wówczas wasze kobiety i dzieci podniosą lament i zaczną wyć nad śmiercią, która uniosła ich mężów i ojców.

— Winnetou jest wielkim wojownikiem, ale i Yuma nie są myszami, które lekliwie wylatują z dziur, skoro słyszą kroki wroga.

— Nie usłyszycie ich nawet. Będziemy między wami, zanim się spostrzeżecie.

— Mamy noże. Zatopimy je w sercu wroga!

— Nie zobaczycie go nawet. Mój brat może teraz iść do pueblo, aby wrócić następnie z odpowiedzią. Im prędzej nadejdzie, tym lepiej dla was.

— Czy mogę zabrać swą broń?

— Nie. Jeniec odzyskuje broń po zawarciu pokoju, nie wcześniej.

Yuma podniósł się i zniknął z głową podniesioną, dumnie krocząc. Buta nie pozwoliła mu ujawniać radości, którą odczuwał, że uszedł cało. Skoro zniknął, Emery rzekł z uśmiechem:

— Mój brat chyba nie przypuszcza, że Yuma ze strachu wydadzą nam te trzy osoby i nasze konie.

— Nie. Ale Winnetou wie dokładnie, co teraz nastąpi.

— Jestem bardzo ciekaw.

— Yuma został wysłany na przespiegi po to, aby dowiedzieć się, gdzie jesteście i co zamierzamy. Zostawią nas jednak w spokoju, wiedzą bowiem, że po schwytaniu naszego towarzysza podwoimy czujność. Wywiadowca wróci i opowie Meltonom, gdzie nas spotkał, jakeśmy go zaskoczyli i co mu powiedzieli. W następstwie zaproponują pewną ugodę. — Zgodzą się wydać jeńca i konie. Poza tym przyrzekną jeńcowi cześć spadku, ale w zamian zażądają, abyśmy się wycofali stąd i nigdy już nie wchodzili im w drogę. Moi bracia wątpią? Dowiedzą się wkrótce, że sianie mylą. Nie długo będziemy czekać na posłanką.

— Posłanką? — zapytał zdumiony Emery.

— Tak. Meltonowie nie przyjdą sami, nie mogą zaś wtajemniczyć żadnego Yuma w to, co mają nam do powiedzenia. Istnieje tylko jedna osoba, którą mogą posłać, a jest nią biała *squaw*. Sądzą też, że damy się zwieść jej pięknej twarzy.

Wysoko ceniłem bystrość Apacza, jakże często frapowała mnie nieomyślność jego instynktu! Ale teraz miałem wrażenie, że się przerachował, on zaś widocznie odgadł moje wątpliwości i w

milczeniu, z serdecznym uśmiechem pobłażania spoglądał na mnie jednym okiem. Zawsze przybierał ten wyraz, ilekroć, będąc innego zdania jak ja, miał rację.

Czekaliśmy przeszło godziną, leżeliśmy na wprost wąwozu. Wreszcie zobaczyliśmy czerwonego. Był to Yuma, z którym poprzednio rozmawialiśmy.

— I cóż, Winnetou, czy to jest biała *squaw*? — zapytał Emery.

— Nie — odrzekł obojętnie Apacz.

— Byłoby to rzeczą niezwykłą, gdyby wysłali kobietę jako pośrednika! Jedyne zresztą nieprawdopodobieństwo w twoich wy wodach.

— Mój brat dowie się o prawdzie wielu rzeczy, które uważał poprzednio za nieprawdopodobne. Posłuchajmy, co powie Yuma!

Yuma powoli się zbliżał. Usiadł obok nas, jak gdyby nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Cekał, aż pierwsi doń przemówimy. Winnetou był zbyt dumny, ja też ani myślałem zaczynać, tylko Emery był gotowy odezwać się z ciekawości, ale na moje skinienie zaniechał. Wobec tego Yuma był zmuszony zagaić rozmowę.

— Moi bracia — zapytał — nie myśleli, że tak szybko wrócę?

— Nie myśleliśmy o tobie — odparł Winnetou. — Czy wrócisz, czy nie, to była dla nas rzecz zupełnie obojętna.

— Dokonałem powierzonego mi przez was poselstwa.

Oczekiwał zapytania, ale i tym razem musiał sam dodać:

— Oznajmiłem je obu mężom, którzy mieszkają u białej *squaw*.

— A nie wojownikom Yuma? — wyrwał się Anglik.

— Im również. Wszyscy słyszeli. Ojciec białego, który został mężem białej *squaw*, posłał mnie do was z odpowiedzią.

— Która brzmi?

— Biała *squaw* przyjdzie się z wami porozumieć.

Drobny uśmiech zwycięstwa przebiegł po twarzy Winnetou. Anglik rzucił gniewnie:

— Biała *squaw*? Czy mniemasz, że zwykliśmy układać się z kobietami?

— Biały, który mnie przysłał, był zdania, że chętnie z nią pomówicie.

— Dlaczego sam nie przybył?

— Gdyż nie miał czasu.

— Mógł przysłać syna.

— Ten także nie przyjdzie. Przypuszczają, że ich nie puścicie z powrotem.

— Wcale słusznie. Mamy ku temu powody. Gniew ponosił Emery'ego. Ale Winnetou wtrącił:

— Gdy przychodzi do nas poseł, ktokolwiek to będzie, nie zatrzymujemy go, jeśli chce odejść. Wódz Apaczów nie zwykł układać się z kobietą, ale aby wojownicy Yuma przekonali się o naszym przyjaznym do nich stosunku, godzą się na przyjęcie białej *squaw*. Wróc zatem do pueblo i powiedz jej, że czekamy.

Yuma odszedł; oczekiwaliśmy z niecierpliwością przybycia Judyty, która nie bacząc na to, co przedtem się zdarzyło, miała czelność osobiście układać się z nami.

— No, — rzekł Apacz do Emery'ego — czy mój brat się przekonał, że nieraz nieprawdopodobne prawdą się staje.

— Tu właśnie zaszedł taki wypadek! Jak ta osoba śmie do nas przybyć, nie mieści mi się w głowie! Jestem ciekaw, co nam oznajmi.

— To co mówiłem. Winnetou nie użył jej ani słowa, niech moi bracia z nią rozmawiają.

— Ja nie! Obawiam się, że popsują sprawę grubiaństwem. Charley, czy podejmiesz się tego zlecenia?

— Z niechęcią, ale cóż, muszę! Proszę cię jednak, nie przerywaj. Możesz popsuć nam szyki.

Zapewne nie wątpiono w pueblo o naszej zgodzie, gdyż niedługo wypadło nam czekać na pojawienie się Judyty. Przyszła w towarzystwie młodej Indianki, która niosła lekkie krzeselko, splecione z trzcinki i sitowia.

Judyta nosiła przepyszny strój — tu na pustkowiu, na granicy między Nowym Meksykiem a Arizoną. Skoro się do nas zbliżyła, przybrała zwycięski uśmiech. Skinęła nam głową. Dała znać Indiance, aby postawiła krzesło na wprost nas, usiadła i rzekła:

— Jestem ucieszona, *sennores*, że widzę was w takim dobrym stanie. Daleka jazda nie przyniosła uszczerbku waszemu zdrowiu, nie wątpię, że to wpłynie dodatnio na załatwienie naszej sprawy.

Nie wstaliśmy na jej powitanie, a nawet nie odpowiedzieli jej ukłonem. Moja twarz nie była też bynajmniej odzwierciedleniem uprzejmości, kiedy odpowiedziałem:

— Żadnych pogawędek, seniora! Trzymaj się ściśle sprawy, która nas skłoniła do spotkania. Mieszka pani teraz z tak zwanym Smallem Hunterem i jego ojcem?

— Tak.

— Nie wiedziała pani jeszcze w Nowym Orleanie, że ten człowiek jest jego ojcem. Kiedyż się pani dowiedziała?

— Tu, kiedy przyjechał.

— A więc zna pani właściwe nazwisko swego narzeczonego? Odpowiedziała, ale dopiero na ponowne zapytanie:

— Czy muszę panu odpowiadać?

— Nie musi pani, może się pani nawet wyprzeć. Ale prędzej dojdziemy do zgody, jeśli wyzna pani prawdę. Chyba się pani nie wstydzi?

Nie zarumieniła się, nie zbladła. Odparła z uśmiechem:

— Powiedziano mi, że nie powinnam się was wstydzić, ani lękać. Nie jesteście dla nas niebezpieczni. Dlatego bez lęku mogę panu oświadczyć, że znam nazwisko swego narzeczonego.

— Jonatan Melton, a jego ojciec nazywa się Tomasz Melton, nieprawdaż?

— Istotnie.

— A stryj?

— Czy wie pani, gdzie przebywa teraz Harry Melton?

— Wie pan o tym o wiele lepiej, niż ktokolwiek. To pan go zakłął.

— Kto pani powiedział?

— Jego brat. Człowiek tak porywczy, jak pan, może się wszystkiego dopuścić, nawet morderstwa dla rabunku.

— Hm. Uważa mnie pani za gwałtownika?

— Naturalnie, mam wszelkie po temu powody. Czy pan nie kazał mnie kiedyś wychłostać?

— Stanowczo. Przyznaję pani, że z trudem hamuję gwałtowność. Ale teraz bądźmy umiarkowani. Ponieważ zna pani nazwisko swego narzeczonego, więc zapewne pani wie, dlaczego się tutaj schronił?

— Tak wyznał mi to szczerze.

— A pani również szczerze to wyznaje! Więc wie pani, że jest oszustem?

— Oszustem? Jedni tak to nazywają, inni nazywają inaczej. Jonatan jest rzutki i bynajmniej nie myślę go za to ganić.

— Pojmuję, zrujnowała się pani. Nie posiadasz nic więcej ponad tę glinianą rudę, którą przesadnie nazywasz zamkiem, a którą każdy Indianin może ci odebrać. Wobec tego jest pani bardzo zadowolona, że Jonatan objął spadek, który będziecie mogli wspólnie strwonić. Czy mam słusność?

— Dlaczego nie miałabym panu przyznać słusności? Ale tą słusnością niedaleko zajędziemy.

— Niech pani rozumie, że stanie się współwinną przestępstwa!

— Co znaczy wina, senior! Winą jest wszystko co obciąża sumienie, a moje sumienie jest lekkie.

— Nie zazdroścę pani tej lekkości! Ponieważ mówi pani z osłupiającą szczerością więc będę szczery. Przyszedłem, aby schwytać Jonatana.

— Wiemy — odpowiedziała z uśmiechem Żydówka.

— A ponieważ przyznaje pani się do współwiny, więc bierze mnie chętna, aby i panią pojmać.

Teraz wreszcie spuściła z tonu, zapytała szybko i niepewnie:

— Senior, jestem parlamentariuszką. Czy chce mnie pan tutaj zatrzymać?

— Mógłbym.

— Nie, to byłoby sprzeczne z prawem wszystkich narodów.

— Prawa narodów tam, gdzie idzie o tak wielkie, tak straszliwe zbrodnie! Czy przyrzekałem pani, że pozwolę pani wrócić do pueblo?

— Nie, ale to się samo przez się rozumiało!

— Nie było tak zrozumiałe, jak pani mniema, lecz uspokoją panią. Ani mi przez myśl nie przeszło zatrzymać panią. Możesz bez przeszkód wrócić do swojej czcigodnej kompanii. Jeśli bądę uważał za konieczne zabezpieczyć sobie pani osobę, uczynię to, ale jak najpóźniej.

— Co za łaskawe wzglądy! — rzekła z uśmiechem.

— O me! Czynie to z innego powodu. Nie chciałbym mieć pani przy sobie i dlatego pragną jak najdłużej trzymać się z dala. Oto jest powód właściwy.

— Dotrzymuje pan przyrzeczenia, senior. Jest pan równie szczery ze mną, jak ja z panem. Znienawidziłam pana z pierwszego wejrzenia.

— Dziękuję. Dawno już nie doświadczyłem tak prawdziwego, tak wielkiego zaszczytu.

— I dlatego — dodała szybko — z prawdziwą rozkoszą układałem się teraz z panem, chociaż o układach właściwie nie może być mowy. Przyszłam tylko po to, aby sprawić sobie przyjemność i oznajmić wam, żeście się tu na próżno fatygowali. Nie uwieziecie stąd nikogo, nie dostaniecie ani grosza z tych pieniędzy, które zaganielibyście chętnie. Czyście aż tak zaślepieni, że marzy wam się opanowanie pueblo?

— A jeśli jednak uda mi się przedostać do kotliny?

— Wiemy wprawdzie od dawna, że umie się pan niepostrzeżenie, niczym waż prześlizgnąć, ale nie w tej miejscowości. Musiałby pan przefrunąć ponad głowami naszych strażników.

— Istnieją chwytaki i wybiegi, które muszą usunąć z drogi więcej niż dziesięciu wartowników. Zaręczam pani słowem, że jeśli zechcą, potrafią z całą pewnością przedostać się do kotliny.

— Tak, można panu przyznać znajomość forteli i wybiegów! Dobrze, że pan o nich uprzedza. Zarządzi się odpowiednie środki ochronne. Ale nawet jeśli znajdziesz się w kotlinie, co panu z tego przyjdzie? Z kotliny daleko jeszcze do pueblo.

— Wejdziemy i do pueblo.

— Nie chęć się, żeś wszechmocny! A nawet gdyby pan przeniknął do pueblo, nie znaczyłoby to jeszcze, że masz kogokolwiek w rękę. Jesteśmy uzbrojeni i naprawdę nie będziemy pana oszczędzać. A jeszcze mniej masz nadziei na zagarnięcie pieniędzy.

— Wręcz przeciwnie. Jestem przekonany, że je odzyskam.

— Ani złamanego szeląga! Wszakże, senior, pańska zwariowana idea tyle panu sprawiła kłopotów, że ci współczujemy i jesteśmy gotowi cię poniekąd wynagrodzić.

— Cóż takiego, moja dobrotliwa seniora

— Wie pan, gdzie przebywa obecnie Vogel?

— Tak.

— Jest to znów uderzający dowód, że pański wielce sławny rozsądek szwankuje. Jakiż to westman zabiera ze sobą tak niedoświadczonego chłopca? Co nam przeszkadza unieszkodliwić go raz na zawsze?

— Nic na tym nie zyskacie.
— Nic? Napraw de nic?
— Śmierć jednego spadkobiercy, których zresztą jest wielu, nie wprowadzi was jeszcze w praw a do spuścizny. Przepiękstwo pozostaje przepiękstwem. Nie ośmieli się pani zabić tego młodzieńca.
— Ja? No tak, mnie tam wszystko jedno, czy umrze, czy zostanie przy życiu. Ale Jonatan i jego ojciec na pewno Vogla zabiją, jeśli wrócą, nic nie wskórawszy.
— Nic nie wskórawszy? A zatem ma pani poczynić pewne propozycje, postawić jakieś warunki?
— Tak. Jesteśmy gotowi uprzystępnąć wam pewne korzyści...
— I zażądać w zamian większych?
— Bynajmniej! Posłuchaj pan, co proponują. Dostaniecie z powrotem konie, a także tego młodzieńca nazwiskiem Vogel, który twierdzi, że jest spokrewniony z Hunterem...
— Pięknie!
— Vogel dostanie sto tysięcy dolarów w dobrych papierach wartościowych, a wy dziesięć tysięcy w tejsze monecie.
— To dla mnie?
— Tak. Niech się pan zastanów i! Wszak, zabijając stryja Meltona, odebrałeś mu jego pieniądze. Zbijesz fortuną, co się zowie!
— Słusznie, seniora.
— Nie żądamy w zamian nic więcej, prócz...
Umilkła, badawczo na mnie spoglądając.
— No więc, prócz...? — zapytałem.
— Prócz tego, że poniecha pan Meltona i jego ojca, że nigdy nikomu nie będziesz o tej sprawie wspominał...
— Naturalnie, naturalnie!
— I że Vogel i jego krewni poprzestaną na sumie stu tysięcy i będą tak samo milczeć, jak pan.
— Co za skromność, co za istotna wspaniałość.
— Prawda? Tyle gotówki za milczenie. Czy można żądać więcej?
— Nie. W żadnym razie.
— A zatem godzi się pan?
— Tak.
— To mnie cieszy! Naprawdę nie wierzyłam, aby pan był tak rozsądny i nie poznał się na korzyściach tych warunków. Jeśli wszyscy trzej się zgadzacie, to...
— Zgadząmy się, — przerwałem — najzupełniej zgadzamy! Ale nie dowiedziała się pani, pod jakim względem.
— Więc pod jakim?
— Zgadząmy się ze zdaniem, że Meltonowie są największymi łotrami pod słońcem.
— To nie ma nic do rzeczy
— Czy również nie ma nic do rzeczy druga prawda, co do której się zgadzamy, że jest pani taką samą łotrzycą, jak obaj Meltonowie razem wzięci?
— Senior, po co te złorzeczenia! Czy chce pan zniweczyć naszą piękną ugodę?
Mogła się istotnie łudzić, że godzę się na jej warunki, gdyż mówiłem z takim spokojem, a taką obojętnością, na jaką tylko, mimo oburzenia, mogłem się zdobyć. Teraz dopiero połapała się, że przemawiała przeze mnie ironia gniewu. Wypowiadając powyższe słowa, wstała, jak gdyby z oburzenia chciała odejść. Podniosłem się również i rzekłem:
— Nasza ugodę? Czy istotnie mogła pani przypuścić, że przystanę na pani szaleńcze życzenia?
— Nazywa pan je szaleńczymi? — zawołała rozwścieczona

— Zastanów się przecież nad moją propozycją!
— Po cóż mam się zastanawiać? Vogel bezwarunkowo musi dostać wszystko, oczywiście oprócz tego, co do chwili terażniejszej zostało roztrwonione.
— Teraz właśnie odzyska się szaleństwo! A więc zgoda?
— Nie.
— W takim razie nie odzyskasz koni!
— Odbiorę je siłą.
— I Vogel umrze!
— Jeśli mu włos spadnie z głowy, przypląci to pani swoim życiem Judyto! Niech pani to sobie rozważy. Mówię całkiem poważnie.
— Ciekawam, jak i kiedy dorwie się pan do mnie!
— Dowie się pani! Sądziłem, że ma pani dostateczne powody, aby nie być zbyt ufna w siebie. Wszak poznała już pani Old Shatterhanda i Winnetou.
— Ale teraz pan z kolei nas pozna. Przyjmuje pan moje warunki?
— Nie, i jeszcze raz nie!
— A więc skończyliśmy rozmowę?
— W tej chwili owszem, ale nie na długo. Sądzę raczej, że dopiero teraz zadzierzną się między nami nowe i piękne stosunki.
— Żartuj pan dowoli kpię sobie z pana!
Indiance, która stała opodal, skinieniem rozkazała zabrać krzeselko i odeszła do wąwozu. Ale naraz przystanąła, przez chwilę spoglądała w dół, jak gdyby rozważając, po czym wróciła i rzekła:
— Senior, mimo wszystko, chcę pana jeszcze raz ostrzec. Czy istotnie pan przypuszcza, że dostaniesz się do naszego skalnego gniazdka?
— Tak.
— A ja wam powiadam, że będziemy się bronić do ostatniej kropli krwi! — To mnie nie obchodzi. Miałem w życiu groźniejszych przeciwników niż Meltonowie. O pani oczywiście nawet nie myślę.
— O, jednak proszę, aby pan o mnie pomyślał, i to bardzo. Jeśli się panom, wbrew oczekiwaniom, poszczęści dotrzeć do mnie, zakatrupię cię bez litości.
— Uczyni to pani, seniora!
— Tak, uczynię to, może mi pan wierzyć. Gram stawkę tak wysoką, że mogę zdobyć się na morderstwo. Przyzwyczajaiłam się do bogactwa — muszę i powinnam żyć wystawnie. Oto znów do mnie uśmiecha się fortuna i tylko pan stajesz na zawadzie. Miej się przede mną na baczności.
Chciała niby odejść, lecz rozmyśliła się i dodała:
— Ufaliśmy, że przyjmie pan nasze propozycje, a jedna...
Gdybym przyjął, możnaby nas było zaliczyć do gatunku Meltonów — przerwałem.
Nie zwracając uwagi na moje słowa, kontynuowała:
A jednak pomyśleliśmy o tym, że pan może się ociągać. Postanowiliśmy więc zostawić panu czas do namysłu — do jutra w południe.
— Wielce to chwalebna uprzejmość.
— Stanowczo zbyt wiele łaski. Jutro w południe wrócę do was. Czy będziecie na tym miejscu?
— Owszem, o ile nie zobaczymy się wcześniej.
— O nie! — roześmiała się. — A zatem jutro w południe. Bądź pan zdrow, bohaterze i zbawco bezinteresowny.
— Nie tak prędko, nie tak prędko, seniora! Pójdziemy razem kawałek drogi.
— Po co? — zapytała zdumiona.

— Gdyż jako *caballeros* wiemy, jak przystoi zachować się wobec niewiasty. Odprowadzimy panią do pueblo.

— Zastrzelą was!

— Najwyżej panią, a nie nas.

—Nie, nie, — panów! Zostań pan, zostań tutaj!

..... *Pah!* Proszę się o nas nie obawiać, skoro my się nie obawiamy.

— Cóż, jeśli pragniecie śmierci, bardzom z tego zadowolona. A zatem czyńcie, co wam się podoba.

Weszła ze swą Indianką do wąwozu, kroczyłem tuż za nią. Za mną szli Winnetou i Emery, którzy nie przyjrzeni jeszcze moich zamiarów. Przybywszy do rzeki, Judyta skręciła na lewo do wąskiego kanionu. Widząc mnie tuż za sobą, zatrzymała się i rzekła podnieconym głosem:

— Można pomyśleć, że pójdziecie dalej!

— Naturalnie!

— Ale mów iłem już panu, że Indianie, którzy czuwają nade mną, będą w as z góry ostrzeliwać!

— Moja droga seniora, niechże się pani o nas nie troska! Wszak widzi pani, że kroczymy tuż za nią. Skoro ktoś zechce w nas strzelić, w panią ugodzi. Jesteś naszą tarczą.

— Idź pan. Wracaj pan: kroku naprzód. Bo nie postąpię ani kroku naprzód.

— Nie? Głupstwo popełnili Meltonowie, że posłali do nas panią. Jesteśmy dosyć przyzwoici, aby panią puścić z powrotem, a nawet zmusimy panią do tego ale będziemy jej towarzyszyć.

— Nie, nie, zostaniecie tutaj! — zawołała.

— Ani nam się śniło! Musimy odprowadzić panią, to dla nas kwestia honoru. Wyśmiali się pani się ze mnie, gdy powiedziałem, że będzie nam bardzo łatwo przejść przez cieśninę. Muszę pani dowieść, że wyśmiała mnie pani niesłusznie. Dziś także przekona się pani, że Old Shatterhand i Winnetou wiedzą, jak się zabrać do rzeczy! A zatem proszę, niech pani idzie!

— Nie pójdę!

— Zmuszę panią. Niech pani się nie gniewa, najpiękniejsza senioro, jeśli pani szyjka łabędzia dozna dotyku mojej dłoni

— Waż się tylko, bezwstydniku!

— *Pah!* Naprzód, panno Silverstein!

Ująłem ją za kark — rzuciła się na ziemię i krzyknęła

— Nie ruszę się stad, jeśli mnie pan nawet zabije!

— Jeśli nawet zabiję? Figlarka z pani! Nie zabiję cię a jednak pójdziesz. A zatem naprzód!

Ująłem ją za ramię i ścisnąłem tak, że krzyząc z bólu podniosła się natychmiast. Poszła dalej. Skoro przestała odczuwać ból, zatrzymała się znowu. Ale poszła i to szybko, po ponownym uścisku. Winnetou i Emery szli tuż za mną. Jeden trzymał strzelbę w pogotowiu z prawej strony nade mną, drugi z lewej. Dzięki czemu mogli strzelać swobodnie, podczas gdy każdy strzał wrogów musiał ugodzić Judytę.

To postępowanie wobec Judyty nie sprawiało mi przyjemności. Jakkolwiek sumienie miała nieczyste, zawsze to była kobieta; ale ważyło się tu zarówno życie i wolność Vogla, jak i powodzenie całego naszego planu.

Coraz ciasniej było w kanionie. Niebawem zobaczyliśmy Indian, wartujących za krzewem koło skały. Oni nas również ujrzeli. Młoda Indianka z krzesłem wyprzedziła nas i zawiadomiła o zdarzeniu. Nie mogli strzelać, więc dopuścili nas tak blisko, że wyciągnąłem rewolwer i popychając przed; sobą Judytę, oddałem w powietrze kilka strzałów dla przestraszenia Yuma. Pierzchnęli czym prędzej. Odpędziliśmy ich coraz dalej, aż wreszcie, jeden po drugim, wszyscy znikali nam z oczu. Schronili się do cieśniny, która z kanionu Flujo Blanco wiodła do kotliny pueblo.

Dotarliśmy wreszcie do niej. Tu było więc owo miejsce, gdzie miała nas spotkać kłęska.

— Tu chciano nas rozgromić — rzekłem do Judyty. — Połowa Yuma ukryła nad strumykiem, miała na nas uderzyć z tyłu.

— Jesteś pan diabłem, istnym diabłem! — syknęła wściekle.

— Nie przeczę, seniora. Przyznają również chętnie, że z prawdziwą przyjemnością poślą kule każdemu, kto zechce opuścić tedy pueblo. Tam w kotlinie skupili się wszyscy wasi. Jesteście uwięzieni. Usiądziemy u wylotu cieśniny i nie wypuścimy nikogo. Jest nas tylko trzech, ale warto wziąć pod uwagę, że poza strzelbami, mamy jeszcze dość rewolwerów, a ja mam swój sztucer, o którym stary Melton opowie pani wiele ciekawych rzeczy. Rozporządzamy co najmniej sześćdziesięcioma strzałami bez ładowania. Uprzytomnij to swoim ludziom! Powiedz także, że nikomu nie damy pardonu, jeśli włos spadnie z głowy jeńca! A nie zapomnij dodać, że mamy wyśmienity słuch. Ktokolwiek zechce się wykraść, usłyszymy go z daleka i nie minie go śmiertelny śrut. A teraz wróć do swoich! Nam nie jesteś już potrzebna. Ale ponieważ umówiłaś się z nami na jutro w południe, przeto posiedzimy tutaj do tego czasu. Skoro będziesz nam miała coś do powiedzenia, jestem gotów posłuchać, czy nie stracisz z dzisiejszej buty. „Wielki bohater i zbawca bezinteresowny” żegna seniora!

Puściłem jej ramię. W okamgnieniu zniknęła w cieśninie. Usiedliśmy, trzymając broń w pogotowiu. Nie było już tak jasno tutaj, w kanionie! Słońce schyliło się ku wiązom.

— Do piorunów, Charley, co za świetny pomysł! — szepnął Emery — Któżby uwierzył, że w biały dzień dotrzemy aż tutaj?

— *Pah!* Ten pomysł sam się narzucał. Gdybym nie wpadł nań, słusznie bym mógł uchodzić za idiotę.

— Aczkolwiek tak mówisz, nie sądzą, abym ja go powziął. Teraz wygraliśmy. Pueblo jest nasze!

— Jeszcze nam daleko do tego. Ale sądzą, że Meltonowie uciekną.

— Pioruny! Wówczas musielibyśmy znowu ich ścigać, kto wie, jak daleko.

— Właśnie to sobie pomyślałem. Zrozumiałem, że trzeba im zamknąć drogę. A jest tylko jedna droga, ta mianowicie, gdzie teraz siedzimy. Meltonowie widzą, że czuwamy, że zastrzelimy każdego, kto się ośmieli wyjść z cieśniny, będą się zatem strzegli. A więc trzymamy ich mocno.

— Gdyby to tylko było pewne! Rzecz możliwa, że wszyscy hurmem wypadną.

— Wszyscy hurmem? Jakże to być może? Wszak tylko jeden człowiek mieści się w przesmyku. Dla dwóch nie ma miejsca. Jeśli pójdą gęsiego, to ich schwytny. Jeden z nas wystarczy, aby strzec wylotu.

— Hm, masz rację. Łajdaki tkwią we własnym potrzasku. Ale nie możemy przecież wiecznie tu siedzieć, musimy odbyć pieszo drogę do krawędzi skały.

— Lecz droga przez wylot stanie otworem!

— Tak, ale oni o tym nie wiedzą. Myślą, że nie odejdziemy stąd, i nie odważą się wejść do przesmyku.

— Kiedy będziemy się spuszczać z góry, zobaczą nas i uciekną tedy.

— Być może, ale temu nie można zapobiec.

— A jednak! Jeden z nas musi tu zostać.

— Hm! Co myśli mój brat Winnetou?

— Nasz brat Emery ma słuszność — odpowiedział Apacz. — Niech tu zostanie. Ze swoją dwururką i dwoma rewolwerami powstrzyma każdego, kto zechce się tedy przekraść.

— Tak — potwierdził Anglik. — Przy tym nie jestem zbyt zawołanym gimnastykiem i turystą — niełatwo mi będzie poradzić sobie z lassem. Tu jednak nic innego mi nie pozostaje, jak dać po nosie każdemu, kto go się ośmieli wysunąć.

— Ale czy poradzimy sobie we dwóch w pueblo? — zapytał Winnetou.

— Tak.

— Zdołamy schwytać obu Meltonów?

— Tak. Ja jednego, ty drugiego.

— I przełamać opór Yuma, którzy nam staną na drodze.

— Nie staną. Nie będzie ich wcale w pueblo. Na pewno leżą u wylotu cieśniny. Jak my czuwamy tu, aby nie uciekli, tak samo oni czuwają tam, abyśmy nie wtargnęli.

— Przyznaję. Ale jest to zawsze odwaga opuścić się we dwóch z tak wysokiej skały do kotliny, pełnej wroga. Najgłupsza kula potrafi zgładzić najśmielszego.

Yuma wcale nie będą strzelać. Przecież nie siedzą w pueblo, tylko u wylotu kotliny. W budowlu zostali obaj Meltonowie i Judyta. Poradzimy sobie z tą trójką, nie alarmując Yuma. Potem zaś nikt nie targnie się na nas, gdyż Meltonowie, jak uprzednio Judyta, będą nam służyć za tarcze. Mój brat Szarlieh wyolbrzymia przeciwieństwa w wyobraźni.

Podobnych słów nie słyszałem jeszcze od Apacza. Wiedziałem, że nie wątpi o mojej odwadze, a jednak odczuwałem coś, co po prostu należałoby nazwać wstydem. Nasza nocna wycieczka zdawała mi się zuchwalsza, niż jemu. Pueblo było bowiem budowlą zdradziecką dla napastnika. Do mieszkań prowadziły jedynie otwory w dachach. Zanim się przeto oparło stopę na podłodze, można było dostać dziesięć kul, albo dźgnięć nożem. A przedtem jeszcze czekała nas przeprawa z lassem. Prawdopodobnie niebo będzie usiane gwiazdami. Jakże łatwo przy blasku gwiazd można nas, wiszących, dostrzec z dołu! A wówczas ustrzelonoby nas, tak jak na przykład na ptasiej łące w Tiegelhausen lub Pfiannenstadt rok rocznie w piękną, porę letnia bractwo kulkowe „strzela” drewnianego ptaka.

Skoro wyjaśniłem swoje obawy Apaczowi, uśmiechnął się i rzekł: Mój brat ma wielkie mniemanie o mężczyznach, którzy znajdują się pueblo. Yuma strzegą wylotu cieśniny. Czy w mroku?

Nie. Na pewno rozniecą, ogień. Musza, się w każdej chwili spodziewać naszego podejścia. W ciemności mogłoby się nam powieść, ale nie przy ognisku.

Będą zatem siedzieć przy ognisku. Blask jego tak Yuma oślepi, że nie zobaczą, co się dzieje na górze, na ciemnej skale. Nie spostrzegą nas. Ale co będzie, jeśli Meltonowie, a może też Judyta, siedzą a ciemnościach na górnej platformie? Stamtąd łatwo nas zauważyć.

Mój brat niech nie zapomina, że oni przypuszczają, iż czuwamy tutaj. Skupią zatem uwagę na wejściu do cieśniny. Po cóż by mieli gapić się na ścianę skalną?

Musiałem przyznać racje, co i mnie samego uspokoiło. Miałem skrupuły, albowiem wiedziałem, że ostateczne rozstrzygnięcie nastąpi dzisiaj. Gdyby się nam dzisiaj nie powiodło, należałoby przypuszczać, że przegraliśmy z kretesem.

Emery wziął pod rozwagę wzmiankę Apacza o ognisku. Podniósł się i oddalił, aby poszukać suchego drzewa. Pomogłem mu. Ognisko mogło się przydać z dwóch względów. Po pierwsze oświetliłoby okolicę, a po wtóre, skoroby było zapalone nie u wylotu cieśniny, lecz w jej gardzieli, stałoby się zawadą dla każdego, kto by usiłował wejść do cieśniny.

Skoro się ściemniło, dotarły do nas z głębi lekkie obłoki dymu. A zatem Yuma rozniecili ogień. Ułożyliśmy drwa w cieśninie i podpalili. Zebraliśmy tyle paliwa, że starczyłoby do podsycenia ogniska przez całą noc.

Emery popełniłby w lelki błąd, gdyby usiadł w pobliżu ogniska. Poszukał przeto miejsca w zaroślach i ukrył się w mroku, na wprost ognia. Wskutek tego mógł zaglądać daleko w przesmyk i zawczasu dojrzeć intruza. Mnie i Winnetou czas było w drogę. Wziąłem od Anglika lasso, bo było nam potrzebne. Podobnie jak my, przewieszał je przez lewy bok i prawe ramię.

— Masz — rzeki. — Chce wierzyć, że się nie zerwie. Kiedy będziecie na górze?

— Najwcześniej za pięć kwadransów.

— Czy nie będziecie mi mogli dać znaku, skoro zejdziecie na dół?

— Nie. Znak mógłby nas zdradzić.

— Ale chciałbym wam pomóc, gdyby doszło do walki.

— Mam nadzieję, że nie będzie nam potrzebna pomoc.

— A jeśli jednak?

— Więc posłuchaj uważnie. Jeśli usłyszysz zwykłe strzały lub inny hałas, to zostań na posterunku nie wpuszczaj nikogo. Ale skoro usłyszysz głośny i głęboki huk mojej niedźwiedziówki, który na pewno dotrze do ciebie, znaczyć to będzie że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Wówczas poprzez ognisko wpadniesz do kotliny. Skoro tylko cię zobaczę, zawołam co masz czynić.

— *Well!* niech tak będzie. Spodziewam się, że nie trzeba będzie łątać szramy, lub dziury na naszych ciałach. Dziś w reszcie trzymamy mocno obu szubieniczników i nie sadzę, żeby nam drapnęli.

Podzielałem jego mniemanie. Podałem mu dłoń i odszedłem wraz z Apaczem.

Teraz w kanonie było tak ciemno, że zwykły śmiertelnik nie widziałby ręki przed oczami. Ale my źrenice mieliśmy tak wyćwiczone, że nie potykaliśmy się o drzewa, ani nie wpadali do wody, posuwaliśmy się naprzód. Skoro wyszliśmy z doliny i wąwozu, rozjaśniło się znacznie, gdyż gwiazdy mocno świeciły.

Pomknęliśmy, nie rozmawiając ze sobą, ile że nic nas do rozmowy nie zmuszało. A jednak minęła przeszło godzina, zanim dotarliśmy do płaskowzgórza ponad kotliną. Winnetou zaprowadził mnie do drzewa, do którego mieliśmy przymocować lasso.

Na dole, u wejścia do cieśniny, płonęło wielkie ognisko — reszta przestrzeni tonęła w mroku. Panowała głęboka cisza. Żaden dźwięk nie dochodził do nas, jakkolwiek na dole Yuma mogli rozmawiać, konie parskać i mogły rozbrzmiewać najrozmaitsze odgłosy.

— Czy mój brat sądzi, że powinniśmy już teraz zejść, — zapytał Winnetou.

— Tak.

— Ale Yuma są jeszcze zbyt czujni. Lepiej poczekać nieco.

— Jak mój brat sobie życzy.

Położyliśmy się, uprzednio poczyniliśmy nieliczne zresztą przygotowania. Po prostu zwiąaliśmy mocno trzy lassa. Po godzinie zabraliśmy się do dzieła. Nastąpiła mała sprzeczka. Każdy z nas chciał pierwszy zajrzeć w oczy niebezpieczeństwu. Winnetou wreszcie uzyskał przewagę.

— Pierwszy nie może złązić, — — rzekł — lecz musi być spuszczoney. A ponieważ jesteś silniejszy ode mnie, więc zostaniesz na górze. Dopiero po mnie zejdziesz.

Przywiązaliśmy do drzewa koniec lassa; drugim końcem Winnetou, przepasał się przez piersi, plecy i pod ramiona; zawiesił swoją strzelbę i ukląkł nad brzegiem otchłani. Wziąłem linę w ręce, mocno wparłem nogi w ziemię i zacząłem powoli przepuszczać lasso przez palce. Dzięki temu, że przesunęło się katem skały, miałem zadanie o wiele bardziej ułatwione, nie wymagające szczególnego wysiłku. Jeszcze nie wyszła cała lina, gdy spostrzegłem, że Winnetou dopiął celu. Apacz mocno ściągnął lasso, aby nie rozkołysało się pode mną. Czekala mnie trudniejsza przeprawa. Stosunkowo łatwo jest opuścić się na mocnej linii długości czterdziestu łokci, ale o wiele trudniej zleźć po cienkim lassie w taką głębinię. Jeśli sienie posługiwać nogami, to można zetrzeć sobie mięso z rąk. Zsuwałem się powoli. Kiedy wreszcie stanąłem u boku Winnetou, ręce moje gorzały, chociaż nie odczuwałem bólu. Oczywiście nie zostawiłem strzelb na górze, zawiesiłem je bowiem na plecach.

Stanęliśmy więc na górnej platformie pueblo. W pobliżu sterczała drabina, a jeszcze o kilka kroków dalej otwór: wejście do niższego piętra.

— Czy nie zauważyłeś czegoś podejrzanego? — zapytałem Apacza.

— Nie.

— Być może, ktoś jest pod nami. Musimy przyłożyć ucho do otworu.

— Nie trzeba; nie ma tam nikogo. Gdyby ktoś był pod nami, drabina tkwiłaby wewnątrz otworu.

— Słusznie. A więc zejdziemy na niższą platformę! Zeszliśmy po drabinie, nie szczebel po szczeblu, lecz zsuwając się, byle szybciej. I tu również widniał otwór i drabina stała również na uboczu. A zatem nie było nikogo na piętrze pod nami. Winnetou wskazał na ognisko i rzekł:

— Tam na dole siedzą wszyscy wojownicy, którzy, jak nam mówiono, zamieszkują wyższe piętra. A zatem nikogo w nich nie ma.

Chciałem to potwierdzić, lecz naraz rozległ się z dołu krzyk dziecka.

— Cóż to takiego? — szepnął Apacz. — A zatem są tam ludzie?

— Cicho! — ostrzegłem. — Myśleliśmy o wojownikach, a więc mężczyznach, zapominając całkiem o kobietach i dzieciach. Trzeba zachowywać się nader przezornie, nie wywoływać szmeru, inaczej bowiem *squaws* wybiegną, aby zobaczyć, co się stało.

— Mężowie, schodząc na dół, wyjęli drabiny z otworów. Nikt nie może wyjść z wnętrza, dopóki nie wrócą wojownicy i nie ustawią drabin.

Skradaliśmy się cichaczem z jednego tarasu na drugi, aż doszliśmy do czwartego, gdzie, ku naszemu ubolewaniu, drabina nie była przystawiona do ściany, lecz sterczała w otworze.

— To niebezpieczne! — szepnął Apacz. — Każdej chwili może ktoś wejść na górę i zobaczyć nas. Musimy stąd odejść.

— Z powrotem na górę?

— Nie. Na niższą platformę.

— Ale w jaki sposób?

— Pomożemy sobie wzajemnie. Chodź!

Piętra nie były o wiele wyższe nad cztery łokcie; mogliśmy więc od biedy zejść i bez drabiny. Ale nie wolno było skakać, aby nie sprawiać hałasu. Dopełzaliśmy do brzegu platformy. Na dole, w otworze niższego tarasu, świeciło matowe, ledwie dostrzegalne światelko.

— Niedobrze! — szepnąłem. — Tu na dole jest trzecia platforma, a załem dach drugiego piętra, gdzie mieszka Melton ojciec. U niego się świeci. Wcale to nam nie na rękę, tym bardziej, że nie mamy drabiny, a musimy się wystrzegać wszelkiego szmeru.

— A więc tym prędzej trzeba działać. Spuszczę mego brata na jego długiej niedźwiedziówce. Potem niech stanie przy murze, abym mógł zejść po jego plecach.

Szczęśliwie opuściłem się na dolny taras. Winnetou stanął na moich plecach; aby mu dać jeszcze jeden szczebel na moich splecionych dłoniach, przymierzyłem bron do muru. Apacz stanął na tym szczeblu i usiłował postawić nogę na tarasie, odstęp był zbyt wysoki; Apacz potknął się, uderzył o ciężką niedźwiedziówkę, ta zaś runęła, wydając głośny, ciężki huk. I to tuż nad mieszkaniem starego Meltona!

— Czym prędzej do końca tarasu! — szepnąłem. — Potem położyć się plackiem. Melton pewno nadejdzie!

Skradaliśmy się na koniec dachu. Ledwo zdołaliśmy się położyć, wyszedł z otworu stary. Wychylił się całym korpusem i zapytał w dialekcie Pueblosów;

— *Payu ti-i?* Czy jest tu kto?

Nie doczekawszy się odpowiedzi wyszedł na taras i posuwał się powoli, na szczęście w kierunku przeciwnym. Powziął podejrzenie. Nic nie znalazłszy, poszedł na drugą stronę, ale nie tak daleko, aby nas mógł zobaczyć. Po czym wrócił do otworu i zniknął w mieszkaniu. Teraz popękaliśmy i spojrzeli ostrożnie na dół. Otwór był tak niewielki, że przejść mógł tylko jeden dorosły mężczyzna. Zobaczyliśmy pipeto bardzo niewiele. Dwie nogi krzesła — nic więcej. Światło zapewne się paliło w pokoju sąsiednim. Od czasu do czasu rozlegało się ciche kasłanie poza tym nic nie mąciło ciszy. Niewątpliwie na piętrze tym zastaliśmy tylko Tomasza Meltona.

— Co uczynimy? — zapytałem po cichu Apacza. — Musimy go mieć — odrzekł. — Nikogo więcej tu nie ma. Lepszej okazji niepodobna sobie wyobrazić. — Ale jak? Czy zejdziemy na dół?

— Nie. Zanim który z nas zdąży zejść, Melton go zauważy, krzyknie na alarm lub co gorzej, chwyci za bron.

— A więc musimy go na górę wywabić.

— Tak. Zawołaj go! Ale nie głośno: może poznać obcy głos.

— Dobrze! Chwytaj starego za grdykę, ale tak, aby nie zdążył wydać dźwięku. Resztę biore na siebie.

Schyliłem się nad otworem i zawołałem owym szybkim, stłumionym i cichym tonem, który upodabnia wszelkie głosy:

— Ojcie, ojcie, czy jesteś na dole?

— Jestem — odezwał się.

Usłyszałem szmer, jaki się sprawia przy podnoszeniu z krzesła. A więc uważał mnie istotnie za Jonatana.

— Wejdz na górę, szybko, szybko!...

— Po co?

— Szybciej, szybciej!...

— Mów głośniej! Czy nikt nie powinien tego słyszeć?

Wchodził na górę. Cofnąłem czym prędzej głowę, a Winnetou gotował ręce do chwytu. Uklękliśmy z boku, tak, aby, wchodząc po drabinie, miał nas z tyłu. Teraz ukazała się głowa, szyja; wyłoniły się z otworu plecy.

— Cóż takiego? Gdzie jest...

Więcej nie mógł powiedzieć. Winnetou, niby żelaznymi kleszczami, palcami ścisnął mu gardło. Zadałem Meltonowi dwa uderzenia pięścią w głowę, następnie schwyciłem go w pól, aby nie runął, gdyż nogi bezwładnie straciły grunt i zsunęły się ze szczebla drabiny.

— Zemdlął — szepnął Winnetou. — Puść, niech się ześlizgnie po drabinie.

— W takim razie rozlegnie się odgłos, a syn przecież pod nim mieszka. Trzymam go mocno. Zejdz na dół, podtrzymaj, ułożymy go bez hałasu.

Łatwiej było powiedzieć, niż wykonać. Otwór dla dwóch był za wąski. Korpus Meltona zajął całą drabinę, więc stopy Apacza z trudem znalazły szczebel. Ale wreszcie zszedł na dół i przyjął bezwładne ciało Poszedłem za nim.

Znalazszy się na dole, ściągnąłem do siebie drabinę, aby nikt nam nie mógł przeszkodzić. Po czym obejrzałem się dookoła. Otaczały nas cztery gołe ściany gliniane. Stała tu tylko drabina i stare krzesło, którego nóżki widziałem poprzednio. Z prawej i lewej strony dojrzałem drzwi. Rzuciłem spojrzenie na prawo, gdzie Melton poprzednio siedział. Również cztery nagie ściany, stary stół, dwa krzesła i posłanie ze skór i kołder. W natrże to wyglądało nader posepnie, ale było zbyt wyszukane dla takiego człowieka, jak Tomasz Melton. Wyciągnąłem nóż, pokrajałem kołdrę na długie pasma, po czym związałem nimi Meltonowi ręce i nogi. Szmata kołdry wetknąłem do ust, aby nie mógł krzyczeć. Chociaż spieszo nam było, dosyć mieliśmy czasu, aby się rozejrzeć dookoła. Na stole stała prymitywna lampka gliniana, napełniona kiepską oliwą. Tą lampą oświetlaliśmy sobie drogę.

Było sześć pomieszczeń umeblowanych nader skąpo. Sprzęty stały z gruba ciosane siekierą. W jednym z pokojów, niesłusznie zresztą tak zwanych, gdyż nie miały okien, a drzwi również nie przepuszczały światła leżała broń Meltona. Zostawiliśmy ją na miejscu.

Byliśmy zadowoleni, że bezpośrednio na dół nie wiodła żadna droga. A zatem stamtąd, z mieszkania Jonatana Meltona i Judyty nikt nie mógł podczas naszej nieobecności wejść i oswobodzić starego. Wróciliśmy do Tomasza i wciągnęli go do pokoju, gdzie stała lampa. Przewróciliśmy stół nogami do góry, wsunęli między nie Meltona i przywiązali. Teraz nie mógł sam się uwolnić. Zgasiliśmy lampę, przystawili drabinę i, wszedłszy na platformę, wyciągnęli ją na górę, aby zejść po niej na niższe piętro, gdzie mieszkał Jonatan Melton.

Otwór był niezakryty, biło z niego mocne światło. Zeszliśmy na dół, podkradli się do otworu i zaczęli podsłuchiwać. Rozmawiało dwoje osób. Dobiegał głos męski i kobiecy; poznałem Jonatana i Judytę. Drabina prowadziła do wnętrza. Otwór był tu dwakroć większy, niż poprzedni, toteż, nachyliwszy się, zobaczyliśmy większą przestrzeń pod sobą. Poza drabiną ujrzałem czworo nóg, ale tym razem nie drewnianych, tylko ludzkich: parę w męskich butach, a

parę w małych pantofelkach. To Jonatan i Judyta siedzieli obok siebie na ławce. Dosłyszałem właśnie, jak Judyta rzekła:

— A więc uważasz, że ci trzej zatrzymają się przed wejściem?

— Tak — odpowiedział. — Aby nas strzec?

— I nie sposób ich odpędzić?

— Nie. Niestety, z kotliny prowadzi tylko jedna droga. Gdyby nawet było nas tutaj stu, czy więcej mężczyzn, nie poprawiłoby to sytuacji, przejście przez cieśninę dostępne jest tylko dla jednej osoby. Pierwsi, którzy się odważą, legną od strzałów i swymi ciałami zakorkują drogę innym. Jedyna pociecha w tym, że mamy dosyć żywności na długie miesiące, a wody nawet na całą wieczność. Do tego czasu owi trzej szubrawcy stracą cierpliwość.

— Tak długo nie musimy czekać. Chodź chcę ci coś pokazać.

— Co?

— Zobaczysz. Zejdziemy na dół.

Zejdziemy na dół? A więc najprawdopodobniej wejdą na górę po drabinie. Czym prędzej cofnęliśmy się do otworu i ułożyli w najdalszym kącie tarasu. Ale czekaliśmy daremnie — nie przyszli. Stąd wynikałoby, że z pierwszego piętra można zejść na dół bezpośrednio. Do — pełzaliśmy do krawędzi platformy i ostrożnie spojrzeliśmy na dolny taras, ale bez skutku. Chętnie byśmy się dowiedzieli, co Judyta chciała pokazać swemu „Jonatankowi”. W każdym razie myślała o ucieczce. Dopiero po dłuższym czasie odważyliśmy się zbliżyć ponownie do otworu. Oboje wrócili już i kontynuowali rozmowę. Już pierwsze słowa świadczyły o szczególnej dla nas doniosłości narady. Rozmawiali bowiem o prawdopodobieństwie ucieczki z kotliny. Schyliłem niżej głowę, aby lepiej słyszeć, lecz oto Winnetou schwycił mnie za ramię i odciągnąwszy szepnął:

— Szybko idziemy stąd! Na górze ktoś nadchodzi — słyszę wyraźnie.

Leżeliśmy na drugim, licząc od dołu, tarasie, a więc na tak nieznacznej odległości od ziemi, że gdybyśmy wyprostowali, zalałoby nas światło ogniska. Musieliśmy odsunąć się na czworakach od otworu, skąd znowu padał blask lampy. Nie słyszałem żadnego szmeru, ale mogłem polegać na słuchu Apacza W nieznacznej odległości od otworu zatrzymaliśmy się, aby podsłuchiwać. Panowała głęboka cisza.

— Co za szmer usłyszał mój brat? — szepnąłem.

— W pobliżu nas kroki i odgłos rozmowy.

— Ale nikt nie nadchodzi! Musiało to być na którejś z wyższych platform.

— Nie. To było tuż za nami. Wiem dokładnie, że...

Przerwał, gdyż nad sobą usłyszeliśmy wypowiedziane cichym męskim głosem słowa:

— Chodź dalej! Dlaczego się tutaj zatrzymałeś?

— Ponieważ zobaczyłem coś, co mi się wydaje podejrzane — brzmiała niemniej cicha odpowiedź.

— Co?

— Dwie głowy. Schylały się na dole nad otworem.

— Nic podejznanego!

— Dwie podsłuchujące głowy? I to nic podejznanego?

— Nie, to były chyba służące.

— Nie to byli mężczyźni!

— Czerwoni? A więc nasi koledzy.

— Bynajmniej! Był tam Indianin z głową pokrytą tylko długimi włosami i biały w kapeluszu.

— A zatem, któryś z naszych wojowników i zapewne ojciec młodego białego.

— Ojciec białego nosi inny kapelusz. To byli obcy ludzie!

— Nie wierzę!

— I ja bym nie wierzył, gdybym nie widział na własne oczy.

— Połóż się Spojrzymy na dół.

Słyszeliśmy, że się nachylili i spojrzeli na dół. Leżeliśmy akurat pod nimi. Co za szczęście, że nie mieliśmy na sobie nic jasnego! A jednak oko wprawne i wyćwiczone dojrzałoby nas mimo ciemności. Uplęnęło kilka chwil w wielkim napięciu. Usłyszeliśmy pytanie:

— Czy widzisz coś?

— Nic.

— Ani ja. Chyba ci się przywidziało. Skądże znowu obcy ludzie w naszej kotlinie, a tym bardziej na platformie.

— Ja też nie mogę pojąć.

— Wszak wyjście jest dobrze obsadzone.

— A jednak są tutaj. Zejdźmy niżej i zobaczymy. Na pewno nikogo nie spotkamy.

— Dobrze, zobaczymy!

Słychać było, jak się podnieśli i szli do miejsca, gdzie poprzednio postawiliśmy drabinę.

— Schodzą na dół — szepnął Winnetou. — Spieszmy na drugą stronę!

Szybko dobraliśmy się do lewego końca platformy, podczas gdy obaj czerwoni schodzili naprawy. Przyglnęliśmy do muru.

— Sądziłyśmy, że tylko kobiety i dzieci zostały w mieszkaniach, ale zawiedliśmy się w przypuszczeniach, — szepnął Winnetou. — Mam nadzieję, że nas jednak nie odkryją.

— A jeśli? — zapytałem.

— Schwytamy ich.

— Ale musimy zapobiec krzykom.

— Lewą ręką schwytamy ich za gardło, a prawą zatopimy noże w sercach.

— Nie. Przecież nam nic nie zawinili.

— W takim razie wątpię, czy uda się ich tak powalić, aby nie krzyknęli.

— O, niejednokrotnie już ten chwyt stosowaliśmy.

— Ale raz może zawieść!

Miał stanowczo rację, ale nawet użycie noży nie zapewniło jeszcze powodzenia, dlatego lepiej byłoby oszczędzić życie obu wojowników.

Nie skradali się, tylko chodzili, więc przy świetle ogniska mogliśmy ich dokładnie widzieć. Zeszli po drabinie i podążyli na lewo, ostrożnie badając teren. Ze skrupulatności poszukiwań mogliśmy wywnioskować, że dotrą do naszego kąta.

Istotnie, tak się też stało. Zbliżali się coraz to bardziej. Odległość między nami zmniejszała się z dziesięciu na osiem — sześć, cztery kroki. Spodziewałem się, że podejda bliżej. W takim razie skoczylibyśmy im do gardła. Ale, niestety, przystanęli i pochyleni, wpatrywali się w nasze schronisko.

— Co tam leży? — zapytał jeden.

— To człowiek! — odpowiedział drugi.

— Nie, to dwóch ludzi. Kto tam?

Pytanie było do nas skierowane. Nie odezwaliliśmy się, pragnąc ich zwabić na bliższą odległość.

— Czego tu chcecie?

Wyciągnęli noże. Nie można było dłużej zwlekać, aczkolwiek sytuacja przyjęła obrót nie tak pomyślny, jak przewidywaliśmy. Noże ich mogły groźnie zabłysnąć nam w oczy. A zatem zerwaliśmy się i rzucili na wrogów. Uderzyłem jednego w ramię, tak że wypadł mu z ręki i sięgnąłem do gardła, ale zdołał odstać na kilka kroków i wyciągnął przed siebie ręce, aby mnie powstrzymać. Straciłem kilka doniosłych chwil. Blask ogniska padł na moją twarz. Czerwonoskóry poznał mnie i zawołał na całe gardło:

— Na pomoc! Tu, na górze jest Old Shatterhand!

Uderzyłem go pięścią po głowie, że nakrył się nogami, pochyliłem nad nim, przygniotłem kolanem i rękoma chwyciłem za gardło. Nie mógł już dobyć głosu, ale teraz za sobą usłyszałem ryki drugiego Yuma:

— Jest tu Winnetou! Szybciej na górę! Na pomoc, na pomoc, na...

Trzeci okrzyk zamarł w konającym jęku. Mój Yuma był obezwładniony: nie poruszał się wcale. Odwróciłem się do Winnetou. Przygniatając przeciwnika ciężarem swego ciała, wprawił w ruch pięści.

— Co robić z nimi? — zapytał.

— Przerzucimy ich przez krawędź na pierwszy taras. Prędkiej, prędzej! Natychmiast obaj zlecieli na dół. Tam nie mogli nam szkodzić. Czym prędzej zwróciliśmy się ku otworowi. Sterczała w nim głowa Jonatana Meltona, stojącego na drabinie i badającego powód alarmu. Widząc, że się doń zbliżamy, zawołał głosem najwyższego przerażenia:

— Winnetou i Old Shatterhand! Do stu par fur diabłów! Są tutaj! Nie słyszeliśmy nic więcej. Głowa zniknęła i niepodobna już było schwytać jej posiadacza. Zleciał na dół i ściągnął drabinę, abyśmy nie mogli zejść. Nie powiodło się nam zatem zaskoczenie młodego Meltona. Nas to wszakże nie zmartwiło: był zamknięty w pueblo i nie mógł umknąć.

Krzyki zaalarmowały całe pueblo. Z otworów wyłoniły się kobiety i dzieci. Nawoływały mężów i ojców, którzy zerwali się z miejsca. Jedni stali nieruchomi, stężeli ze zdumienia, inni podbiegli do pueblo, aby wdrapać się na górę i rzucić na nas. Wówczas Winnetou zawołał swoim gromkim głosem:

— Tak, tu stoją Old Shatterhand i Winnetou! Wojownicy Yuma niech się nie odważą wejść do nas. Skoro zjawią się ich głowy na drabinie, przestrzelą je nasze kule. A także niech nie usiłują uciec przez cieśninę, u wylotu bowiem oczekuje ich pewna śmierć, *squaws* wraz z dziećmi niechaj się czym prędzej schronią do swoich legowisk i niechaj tam cicho siedzą inaczej udowodnimy im celność naszych strzałów!

Po tych słowach zapanowało głębokie milczenie. Nie mogliśmy dojrzeć, co się działo nad nami na wyższych piętrach, ale cisza, która zaległa, świadczyła, iż kobiety posłuszenie spełniły rozkaz Apacza. Podobnie mężczyźni: prawie nikt nie ośmielił się wejść na drabinę. Winnetou krzyknął na nielicznych śmiałków:

— Natychmiast wracać do ogniska! Kto nie usłucha od razu, dostanie kulę w łeb!

Yuma znali Apacza. Mieli taki respekt przed nim i przed jego srebrną strzelbą, że czym prędzej pobiegli do ogniska. Kiedy wszyscy się tam skupili, rzuciłem pytanie:

— Kto jest waszym przywódcą? Niech wystąpi kilka kroków, bo Old Shatterhand chciałby z nim pomówić.

Uplęnęła niedługa chwila, nim jeden z czerwonych, ociągając, wysunął się na kilka kroków i zawołał:

— Nie ma już przywódcy między nami. Każdy znaczy tyleż, co drugi, ale mimo to chcemy posłuchać, co Old Shatterhand ma nam do powiedzenia.

— Przedtem jednak posłuchaj i zobacz co innego! Spójrz na sęk drzewa, które wychyla się z ognia. Za chwilę zniknie.

Przyłożyłem niedźwiedziówkę i wycelowałem. Trudno było trafić przy niepewnym migającym świetle. A jednak bez troski spuściłem kurek i wypaliłem. Sęk został trafiony i tak rozcięty, że ułomek poleciał ku skałom.

— *Uff, Uff!* — rozległy się głosy zdumionych czerwonoskórych.

— Widzieliście, jak pewnie trafiają nasze kule? — zawołałem. — Niemniej pewnie trafiają w wasze serca i głowy, o ile nie spełnicie naszych życzeń.

— Czego żąda od nas biały nasz brat? — zapytał Yuma.

— Bardzo niewiele. Nie przyszliśmy do was jako wrogowie, nie chcemy was powyrzelać, ani zranić, ani tym bardziej zabrać waszej własności. Nie chcemy od was nic, prócz dwóch białych, którzy się tu schronili.

— Czemu chcecie ich schwytać?
— Ponieważ zbrodnie, które popełnili, wymagają kary.
— Nie możemy na to przystać, przyrzekliśmy, że ich nie wydamy. — Nie żądam, aby czerwoni wojownicy złamali dane przyrzeczenie. Cóż jeszcze im przyrzekliście?
— Nic więcej.
— Więc powiadam wam, że wywiążecie się z danego słowa. Albowiem nie wydacie ich nam, tylko sami ich schwytną. A może się zobowiązaliście bronić białych, o ile uda się nam wślizgnąć tu skrycie?

— Nie było o tym mowy. Nikt nie przypuszczał, że ty... *Uff, Uff, Uff.*

Przerwał mową okrzykiem strachu, gdyż w tej chwili zdarzyło się coś, co istotnie mogło go przerazić. Otóż Emery usłyszał mój wystrzał. Nie chciałem go właściwie przywoływać, wszak obyliśmy się bez jego pomocy, ale on rzucił się do cieśniny, jednym śmiałym susem przesadził płonące ognisko i wdarł się pomiędzy szeregi czerwonych, oszołomionych nagłym zjawieniem się odważnego Anglika. Rzucił spojrzenie w górę i zawołał do nas, wywijając strzelbą:

— Charley, co mam czynić? Czy trochę przesiać drabów?

— Nie, to nie jest konieczne. Pojednamy się z nimi. Ale chodź tu do nas na górę!

— Aby mnie zastrzelili, gdy będę się drapał po drabinie?

— Nikt nie będzie strzelał, gdyż ktokolwiek ośmieli się podnieść flintę, padnie trupem na miejscu od mojej kuli. A zatem wejdz.

Usłuchał i wszedł po drabinie. Czerwoni byli przerażeni naszą niespodzianą obecnością, w pueblo, nagłe zaś zjawienie się Emery'ego oszołomiło ich do reszty. Ani nawet przez myśl im nie przeszło sięgnąć do flint, zresztą tak kiepskich, że nocną porą nie mogły nam nic złego wyrządzić. Emery, ledwo dotarł do naszej platformy, rzekł:

— Widzę, żeście szczęśliwie zeszli. Gdzie tkwią Meltonowie? Czy wiecie?

— Tak. Ale poczekaj, muszę jeszcze zakończyć sprawę z czerwonymi, — odparłem i, zwracając się do nich, zawołałem: — Moi bracia widzieli, że nie lękamy się ich, że wręcz przeciwnie, przewaga po naszej stronie. Tak samo wiedzą, że żądamy od nich jedynie białych. Czy pozwolą nam odjechać z nimi, nie stawiając przeszkód?

— A więc nic od nas nie żądasz? — zapytał mówca.

— Nie.

— A może żądasz wydania białej *squaw* która tu mieszka.

— Nie.

— Była *squaw* naszego wodza i musimy jej bronić.

— Nie chcielibyśmy jej wcale. Nie pozbawimy was tego skarbu.

— A pozostawicie jej wszystko co do niej należy?

— Tak. Jej własności nie dotkniemy.

— A więc jesteście gotowi zawrzeć z wami pokój. Gdzie wypalimy fajkę pokoju?

— U nas na górze.

— Czy wszyscy mamy wejść?

— Nie. Wystarczy, że sam przyjdiesz. Przemawiałeś w imieniu swoich braci i będziesz w ich imieniu działał. A zatem wejdz i przynieś swój kalumet!

Ani mi się śniło wpuszczać tu całej hołoty. Nie popełniłbym takiej nieostrożności. Yuma przyszedł sam i zdjął z szyi, zawieszoną na rzemyku, smolną fajkę. Tytoń wyjął z woreczka za pasem. Usiedliśmy i puścili fajkę w obieg. Aczkolwiek skróciliśmy praktykowane zazwyczaj ceremonie, to jednak, z chwilą, gdy zawartość fajki uszła z dymem, mogliśmy być pewni, że Indianie nie pogwałcą ugody. Tym bardziej, że Yuma podniósł się i przemówił uroczystym głosem:

— Tak oto został zawarty pokój między nami i wami. Dochowamy go. Jest was tylko trzech, a nas wielu, a jednak dostaliśmy się w waszą moc, gdyż nie posiadamy takiej broni

zaczarowanej, jak Old Shatterhand. Czy moi bracia istotnie dotrzymają pokoju i nic nam złego nie wyrządzą, ani niczego nam nie zabiorą?

— Tak — potwierdziłem. — Nigdy jeszcze nie złamaliśmy słowa.

— Dam wam zatem dowód naszej rzetelności. Wojownicy Yuma przyślą tu wszystkie flinty i noże i wam oddadzą. Będziecie pewni, że jesteśmy naprawdę usposobieni pokojowo.

— Mój czerwony brat niech wyda rozkaz. Poza tym pragniemy, abyście podsycali ognisko do rana i aby żaden z was od niego nie oddalał się. Czy przystajecie na to?

— Tak.

— A następnie powiedz nam; jak jest najłatwiej schwytać młodego białego?

— Nie, tego nie powiem, bo przyrzekliśmy nie wydać ani jego, ani jego ojca. A odpowiedź na twoje pytanie byłaby niejako wydaniem.

— Przyznaję ci rację. Ale za to powiedz: gdzie są nasze konie?

— Pasą się lub śpią tam pod drzewami, gdzie zalega mrok.

— Czy wypróżniono nasze torby u siodeł?

— Tak.

— Kto zabrał rzeczy, które tam leżały?

— Obaj biali, których chcecie pojmać.

— Wraz z końmi schwytaliście młodego białego. Czy jest ranny?

— Nie.

— Gdzie go umieszczono?

— Młody biały jest uwięziony tutaj, w pueblo.

— Gdzie?

— Nie wiem.

— Czy mam ci ufać? Wszak musisz wiedzieć?

— Nie. Nie powiedziano nam. Widzieliśmy tylko, że przebył dwie drabiny.

— A zatem aż do tego tarasu?

— Tak. A potem musiał zejść przez otwór do mieszkania białej *squaw*.

— Czy jest tam komórka nadająca się na celę jeńca?

— Nie. Jest tam tylko mieszkanie. Być może umieszczono go o drabinę niżej.

— Musielibyście wszak zobaczyć!

— Nie, bo z tego piętra prowadzi otwór na parter.

— Gdzie jest ten otwór?

— Z prawej strony, w ostatnim pokoju, w kuchni białej *squaw*.

— A gdzie ona zwykle sypia?

— W przedostatnim pokoju z tej samej strony. Powiedziałem wszystko, co mogłem powiedzieć. A teraz każę przynieść wam broń.

Oddalił się, aby wydać odnośne rozkazy. Własnowolne wydanie broni mogło rozproszyć resztki nieufności. Nie trzeba chyba podkreślać, że nieustanną uwagą darzyliśmy wejście do mieszkania Judyty. Wszak siedzieliśmy w pobliżu i Jonatan Melton mógł wdrapać się na drabinę i parę kul nam posłać. Muszę dodać, że obaj Indianie, których rzuciliśmy na niższą platformę, już dawno zeszli na dół i przyłączyli się do swoich towarzyszków. Nie ponieśli więc żadnego uszczerbku.

Przyniesiono broń i złożono w pobliżu nas. Niebawem zostaliśmy sami i mogliśmy pomyśleć o uwolnieniu Vogla i schwytaniu Jonatana.

Przedtem opowiedziałem Anglikowi, jak dostaliśmy się do pueblo i obezwładnili starego Meltona.

— Majstersztyk! — rzekł. — Sądzę, że nie trudniej będzie dać radę jego synalkowi.

— Nie trudniej? Jestem zdania, że nawet niebezpieczniej, gdyż musimy zejść tędy przez otwór.

— Stanowczo. Co dalej?

— Czy może chcesz iść pierwszy?

— Tak i to natychmiast!

Od słów chciał przejść do czynów. Odciągnąłem go i ostrzegłem:

— Stój! Czy nie możesz sobie wyobrazić, że Melton stoi na dole ze strzelbami i rewolwerem gotów jest gładko wyprawić nas na tamten świat!

— A, pioruny, i to prawda! Musimy koniecznie zejść na dół, a ponieważ tam się świeci, więc na nic cała przezorność.

— A jednak! Przede wszystkim musimy się umówić, który z nas zostanie na górze.

— Sądzisz, że musi ktoś z nas zostać na górze

— Bezwarunkowo. Idzie o nasze bezpieczeństwo. Ja muszę zejść na dół, a ponieważ trzeba będzie zakradać się i szukać, w czym Winnetou jest mistrzem, przeto uważam, że powinien iść ze mną.

— Hm. Muszę się przystosować, chociaż dusza rwie mi się do wnętrza „zamku”.

— Zajrzysz później. Zostawiamy ci strzelby.

— Co? Nie zabierajcie ich ze sobą?

— Nie. Trzeba będzie zapewne wspinać się albo czołgać, a strzelby mogą nam tylko zawadzać.

— A jeśli dojdzie do walki z Jonatanem Meltonem?

— Do takiej walki nie potrzebujemy strzelb. Jest nas dwóch na jednego, posiadamy noże i rewolwery. Oto moja broń. Przede wszystkim zobaczę, jak tam wygląda na dole.

Zdjąłem kapelusz, wsunąłem głowę do otworu i mocno trzymając się brzegów, dałem powoli milczkiem nura, tak głęboko, jak pozwoliły mi ręce. Winnetou i Emery trzymali mnie, abym nie mógł upaść. Wisząc tak na dół głową, mogłem obejrzeć pokój. Zobaczyłem ławkę, na której poprzednio siedzieli Jonatan i Judyta, stół i dwa krzesła. Nad stołem wisiało lustro. To aż nazbyt skromne umeblowanie można było w owych warunkach nazwać wykwinnym. Oba otwory, które prowadziły na prawo i lewo, były zawieszane jaskrawymi makatami. Za zasłoną na prawo, mieszkała Judyta, a na lewo Jonatan. Naraz spostrzegłem, że zasłona z prawej strony drgnęła i ukazała się ręka kobieca z rewolwerem. Rozległ się strzał. Naturalnie, na czas zdążyłem, się wycofać.

— Pioruny, to było niebezpieczne! Kto strzelił? — zapytał Emery.

— Judyta.

— Jeszcze chwila, a miałbyś rzetelną dziurę w głowie! Gdzież jest ta kobieta?

— Za zasłoną w sąsiednim pokoju.

— A Jonatan?

— Nie widziałem go. Prawdopodobnie czatuje z drugiej strony.

— Fatalna sytuacja! Niepodobna zejść.

— Mimo to skoczę na dół.

— Wystrzelą w ciebie z obu stron!

— Trudno, muszę nadal ryzykować. Ale prawdopodobnie poruszam się szybciej niż oni. Lampa stoi na stole. Jeśli zdążę ją zgasić, to na pewno mnie nie trafią. Przynieście drabinę. Kiedy zawołam z dołu, wsadźcie ją w otwór i niech Winnetou zejdzie.

— Ale czy rozumiesz, że skacząc, możesz ponadto złamać kark?

— Nie z takiej wysokości. A więc, zaryzykuję.

Mogłem skoczyć dzięki temu, że otwór był dwakroć obszerniejszy niż inne. Stałem nad nim, jedną nogą na tej, drugą na tamtej stronie. Trzymałem w pogotowiu rewolwer. Zsunąwszy nogi z kantów otworu, spadłem w postawie stojącej na koniuszki palców. Szybki krok ku lampie, którą zgasiłem, dwa kroki w tył w innym kierunku — i oto padł strzał z rewolweru. To Judyta strzeliła i trafiłaby niechybnie, gdybym o minutę dłużej marudził koło stołu. Teraz trzeba było uciec się do wybiegu. Padłem z hałasem na ziemię i zacząłem jęczeć, chcąc zwabić Jonatana. Tymczasem złowiłem na wędkę Judyte.

— Boże wielki, trafiłam w niego! Czy jest pan ranny?

Odpowiedziałem jękiem i rżeniem.

Umiera, kona! Zabiłam go! Światła, światła!

Ze słów jej wynikało, że nie zamierzała mnie wcale trafić. Sądziłem, że wejdzie i zapali lampę, lecz usłyszałem po chwili, jak oddała się w głąb mieszkania. Podniosłem się więc szybko i wbiegłem do pokoju, gdzie poprzednio stała Judyta. Z głębi, przez zasłony, przenikał blask z dalekiego pokoju i zbliżał się coraz bardziej. Uchyliła się zasłona i oto stanęła na progu Żydówka z lampą w tece i, wlepiwszy we mnie rozszerzone zdumieniem oczy, wypuściła z dłoni rewolwer.

— Dobry wieczór, seniora! — przywitałem ją. — Wszak wybaczy seniora, że nachodzę panią w jej mieszkaniu. Ponieważ zapewne nie weszłaby na górę, a ja musiałem z seniorą pomówić, więc byłem zmuszony zejść do niej.

— Tu... tu... tu więc pan stoi! — zawołała.

— Naturalnie! A może pani uważa, że powinienem usiąść?

— Pan... pan... pan leżał tam w drugim pokoju. Słyszałam, jak pan upadł.

— I ja to słyszałem.

— Sądziłam, że pan kona, i oto stoi pan przede mną! Nie jest pan raniony?

— Nie.

— Ale czemu rzeził pan tak okropnie?

— Mam zwyczaj rzezić dla własnej rozrywki.

— A ja tak struchlałam! Chciałam pana tylko przestraszyć.

— To dziwne. I mam w to wierzyć?

— Może mi pan wierzyć! Chciałam nie dopuścić pana tutaj.

— A skoro zszedłem, strzelała pani do mnie. Seniora, o tym pomówimy później. Ale teraz proszę mi powiedzieć, gdzie jest Jonatan Melton. Chcę się z nim rozmówić.

— Tutaj go nie ma.

— Przeczy pani? Muszę go zatem sam poszukać.

— Szukaj pan!

— Zechce mi seniora łaskawie śwlecić.

— Nie jestem pana służącą. Ma pan lampę!

Podawała mi małą lampę, ulepioną w kształcie urny. Potrzęsnałem głową, mówiąc:

— Jest pani u siebie w domu, a ja tu obcy. Muszę zatem prosić seniory, aby mnie prowadziła.

— Na próżno pan prosi!

— A jednak pani przychyli się do tej prośby.

— Więc chodź pan! Wiem, że potrafi pan maltretować kobiety, może nawet obić!

— W pewnych okolicznościach nie jestem od tego daleki. Proszę więc, niech mnie pani wyprzedza! Będę szedł za panią. Jeśli ktokolwiek zamierza tu na mnie napaść, to seniora będziesz mi tarczą, a w razie potrzeby zatopię nóż w pani plecach. Dwukrotnie strzelała pani do mnie, nie mam więc powodu oszczędzać seniory.

— Nie ma tu nikogo. Chodź pan!

Głos jej brzmiał prawdopodobnie, a jednak Melton musiał tu być. Zaprowadziła mnie na prawo przez swoje pokoje. Jeśli brać pod uwagę miejscowe warunki, to należy przyznać, że urządzenie nie pozostawiało nic do życzenia. Za każdą zasłoną spodziewałem się Meltona, nie było go jednak.

Następnie zaprowadziła mnie na lewo, a zatem do mieszkania Jonatana. Nietrudno było poznać, że przedtem mieszkał tu wódz indiański. Ale i tu Meltona nie znalazłem.

— Cóż, ma pan go? — zapytała triumfująco.

— Dotychczas nie. Schował się gdzieś. Nie spoczna, dopóki go nie znajdę.

— W takim razie współczuję, nigdy bowiem pan nie spocznie. Meltona nie ma tu od wielu godzin.

— A gdzie jest?

— Czy ja wiem? Nie ma go tutaj, nie ma go w pueblo i nie ma go w ogóle w tej okolicy.

— A widziałem go pół godziny temu.

— Nieprawda!

— Słyszałem, jak rozmawiał z panią tam na ławce pod otworem. Wróćmy tam! Będzie pani miała zaszczyt oglądać w swoich progach jeszcze kogoś.

— Kogo?

— Winnetou!

— Słusznie! — rzekła szyderczo. — Ciekawam, czy dwaj tak słynni *westmani* wytropią ślad.

— Już go mamy! Jest tam, gdzie leży drabina, z której od niedawna brak u wejścia.

— Gdzie jest ta drabina? — zapytała z szyderstwem.

— Pokażę pani.

— Musiałby pan być jasnowidzem! Wiem, że posiada pan czuły nos, ale przecież nie tak długi, abyś mógł senior uderzyć nim o drabinę.

— Zobaczmy! Na razie wracajmy.

Kiedyśmy przyszli, przywołałem Winnetou. Spuszczono drabinę, oczywiście nie tę, o której przed chwilą mówiłem i Winnetou zszedł do nas. Nie raczył rzucić okiem na Judytę; patrzył na mnie zatroskany i spytał:

— Jonatan Melton?

— Nie znalazłem go.

— Poszukajmy.

Wziąłem z rąk Judyty lampę i oddaliśmy się na ponowne poszukiwania. Judyta szła ciekawie za nami. Poszliśmy z początku na lewo, do pokoiw Jonatana. Opuszczam opis tego mieszkania, gdyż nie przedstawia nic ciekawego. Nie zaglądało tu nigdy światło dzienne i nie mógłbym powiedzieć, którędy dopływało powietrze. Nie znalazłszy lokatora, przeszliśmy na prawą połowę.

Uwagę Apacza zwróciło to samo, co i mnie wydało się podejrzane. Indianin powiedział nam poprzednio, że sypialnia białej *squaw* jest przedostatnim, a kuchnia ostatnim pokojem. Istotnie była tam w głębi kuchnia. W kącie widniało coś w rodzaju paleniska, ulepionego z gliny, a nad nim, w powale dziura, przez którą dym ulatywał. Było tu mnóstwo talerzy, filiżanek, misek i innych statków, poza tym wielki dzban z gliny.

W drugim kącie stało, a raczej leżało łóżko, składające się z materaca, wielu skór i kołder. W przedostatnim pokoju wisiała odzież. Na stoliku stały przyrządy toaletowe, a na ziemi, na posadzce, leżały porozrzucane rozmaite drobiazgi. Ten nieład wydawał mi się nienaturalny.

— Cóż? — zapytała Żydówka — Wielki i słynny wódz Apaczów jest tu również. Coście znaleźli? Nic!

— Stanowczo nic — odpowiedziałem. — A utrzymywał pan, że jesteś na tropie.

— Wkrótce nim podążymy.

Staliśmy w przedostatnim pokoju. Winnetou nie uważał za stosowne milczeć. Był zbyt dumny, aby zwrócić się bezpośrednio do Judyty, rzekł przeto do mnie tak, aby i ona słyszała.

— Gdyby ta *squaw* była mężczyzną Winnetou dałby jej godną odpowiedź. Mój brat niech poda lampę!

Wziął lampę. Nachyliwszy się, oświetlił podłogę i zapytał:

— Czy mój brat mniema, że te rzeczy zawsze się tak poniewierały?

— Nie. Niedawno je porozrzucano.

— Po co?

— Aby zapełnić przestrzeń. Aby nie widać było czego tu brak.

— Mój brat ma rację. Niech spojrzy na ten kąt podłogi. Co widzi?
— Długi prostokąt odmiennego zabarwienia.
— Jakich rozmiarów?
— Tak właśnie długi i szeroki, jak łóżko, które teraz leży w kuchni.
— Słusznie! A zatem leżało tu łóżko i *squaw* na nim sypiała. Czemu tak nagle przeniosła je do kuchni?
— Aby zakryć coś, czego nie powinniśmy widzieć.
— Tak jest. Old Shatterhand pójdzie ze mną do kuchni.
W kuchni Winnetou sięgnął po kołdry, aby je usunąć, ale wówczas krzyknęła Judyta:
— Seniores, co to znaczy? Mam nadzieję, że uszanujecie łóżko kobiety!
— Stanowczo — odparłem. — Dlatego chcemy je umieścić na właściwym miejscu. Nie sypia pani wszak w kuchni.
— Owszem!
— Na drabinie?
— Na drabinie? Jak pan to rozumie?
— Mam naturalnie na myśli drabinę, której szukamy. Poza tym nie zadałem jeszcze pani wielce ważnego pytania. Gdzie jest młody senior, który tu był więziony?
— Nie wiem. Pytajcie o to mężczyzn.
— A jednak wprowadzono go do pani mieszkania. Jeśli seniora istotnie nie wie, to my pani powiemy. Ten pan siedzi pod pani łóżkiem.
Rzuciła się łóżko i zawołała:
— Nikt tu nie ośmieli się zbliżyć! To grubiaństwo, to ordynarne bezeceństwo!
— Podnieś się, seniora!
— Nie! Ustąpią tylko przed przemocą. Już raz chciał mnie pan wychłostać. Uczyń to teraz. Niechętnie bym użył przemocy, ale cóż miałem czynić z tą zawziętą niewiastą? Wszelako wyręczył mnie Winnetou, który mimo poważnego charakteru, miewał krotochwilne pomysły.
Rzekł:
— Jeśli *squaw* nie zejdzie z własnej woli, spluczemy ją wodą. Wziął wielkie gliniane naczynie, tak ciężkie, że ledwo je dźwignął z ziemi i zbliżył się do łóżka.
— Niebiosa! On chce mnie oblać wodą! — krzyknęła Judyta i zerwała się na równe nogi.
Winnetou nie zdążył jeszcze odstawić na miejsce dzbana, gdy posłanie usunąłem na bok. Ujrzelśmy to właśnie, czegośmy się spodziewali. Prowadził stąd otwór na dół, na parter; był teraz przysłonięty pokrywą z klocków związanych rzemieniami.
— Cóż, seniora, czy wątpi pani, że drabina niebawem się odnajdzie? — zapytałem.
Nie odpowiedziała.
Podnieśliśmy pokrywę i przybliżyli światło. W otworze stała drabina.
— Otóż i ona! Widzi pani, że wiedziałem, gdzie należy szukać śladu. Będzie pani łaskawa nas wyprzedzać!
— Ani myślę! Idź pan sam!
— Muszę nalegać, aby pani nam towarzyszyła. Jeślibyśmy zostawili panią na górze, mogłabyś splatać jakiegoś figła. Nie wiadomo, co nas tam na dole czeka i czy potrafilibyśmy się na powrót wydostać.
— Nie pójdę z wami!
— Zmusza mnie pani, abym seniora ujął za ramię, ponieważ w tym wypadku nie możemy pani splawić wodą na dół.
Wyciągnąłem ku niej rękę. Podeszła więc do otworu i, pieniąc się ze wściekłości, zawołała:
— Nie dotykaj mnie! Jeszcze dotąd boli mnie ramię, które pan mi za dnia ścisnął. Jest pan straszliwym człowiekiem! Zejdę już sama.
Postępowałem za nią z lampą w ręku, a za mną Winnetou. Na dole powietrze było wilgotne, jak gdyby stęchłe. Staliśmy przed długim wąskim korytarzem.

- Dokąd prowadzi ten korytarz, seniora? — zapytałem.
- Zbadaj pan sam! — odparła.
- Czy są tu jakieś pokoje?
- Szukaj senior!

Gliniane ściany nie miały żadnych otworów. Skoro doszliśmy do połowy korytarza, zobaczyliśmy miejsce, gdzie podłoga jest sklecona z grubych mocnych belek, ułożonych w ten sposób, w jaki się zwykle przykrywa doły. Ukląłem i usunąłem dwie, czy trzy belki. Z głębi świeciła powierzchnia wody. Wysondowałem przy pomocy jednej z belek. Była głęboka na dwa łokcie, a dzieliła ją od nas odległość łokcia.

— *Uff!* — rzekł Apacz w narzeczu Siouksów — Czy mój brat widział cysternę przed pueblo, na wprost jego środka?

— Tak.

— Stoimy w korytarzu, który przebiega całą szerokością pueblo. Czyżby ta woda łączyła się z cysterną?

— Prawdopodobnie.

— W takim razie łączy się również z rzeką. A więc tędy można dotrzeć do Flujo Blanco.

— Tak jest, tak! I tędy właśnie ulotnił się młody Melton.

— Należy zmusić *squaw*, aby nam wyznała prawdę.

— Czy aby potrafimy ją zmusić?

— Jeśli... Słuchaj! Czy brat mój nie słyszał jęku?

— Nie.

— Dobiegł z głębi korytarza. Idźmy tam!

Ułożyłem deski na pierwotnym miejscu i podjęliśmy dalsze poszukiwania. Tak, teraz usłyszałem jęki, a raczej rżenie. Przyśpieszyliśmy kroku, nie zwracając uwagi na Judytę, która została za nami. Pomyślałem o Voglu, stąd ten pośpiech i ta karygodna nieostrożność. Istotnie, leżał tu spętany i przywiązany do białego w ziemię kołka. Obwinęto mu usta i nos starą chustą, tak że nie mógł krzyżeć, tylko stękać i ledwo oddychać. Oczywiście, przede wszystkim usunęliśmy knebel. Głęboko odetchnął po czym zawołał:

— Bogu dzięki! Widziałem, jak wchodziliście do korytarza i obawiałem się, że nie doszedłszy do tego miejsca, wróćcie na górę. Proszę was, uwolnijcie mnie z rzemieni.

Przecieliśmy pęta. Wyprostował zbolące członki. Zapytałem:

— Nałykał się pan wiele strachu, co?

— Naturalnie!

— Wszak mógł pan sobie powiedzieć, że przyjdziemy do pana.

— O, że dostaniecie się do pueblo, o tym byłem przekonany, ale nie sądziłem, że znajdziecie tę kryjówkę.

— Tak to się dzieje, kiedy zamiast strzec konie, zasypie się snem sprawiedliwych.

— Cóż mogłem zrobić? Nie byłem właściwie zmęczony, ale uspiła mnie nuda. Kiedy się ocknąłem, byłem już spętany. Zaprowadzono mnie przez kanion i cieśninę do pueblo i przesłuchano.

— Kto?

— Obaj Meltonowie i Judyta. Uważał pan tę kobietę za lekkomyślną tylko, ale w istocie jest ona zła, równie zła, jak Meltonowie. Wszak wie, że Melton zdobył bogactwo oszustwem i zbrodnią. Zdjęty gniewem, popełniłem wielką nieostrożność.

— Powiedział pan, żeś prawowitym spadkobiercą?

— Tak. Może pan sobie wyobrazić zdumienie, a zaraz potem radość tych ludzi! Powiedziano mi, że muszę umrzeć i umieszczono w tej oto norze.

— Chciano pana nastraszyć i zmiękczyć. Poczyniono nam propozycje, które odrzuciłem. Później opowiem panu obszerniej. Powiedz pan, czy wypytywano o nasze zamiary?

— Naturalnie! Ale się nie wygadałem.

— Chwała Bogu! Nie możemy się tu dłużej się zatrzymać. Chodźmy! Jak widzę, Judyta nas ubiegła.

Skoro doszliśmy do końca korytarza, zobaczyliśmy, że nie ma drabiny. Spojrzeliśmy wzajemnie na siebie.

— Co mój brat na to powie? — zapytał Winnetou z lekkim uśmiechem na wargach.

— Głupstwo palnęliśmy!

— Nie możemy wyjść stąd! — żalił się Vogel. — Jesteśmy zatem uwięzieni!

— Nie — odparł Winnetou. — A gdyby nawet, to nie na długo. Musimy się przekonać, czy można otworzyć pokrywę.

— Nie możemy wejść. Nie ma drabiny.

— Jest — odparłem. — Sami stanowimy drabinę. Odzyskał pan władzę w członkach? Czy jest pan wygimnastykowany?

— Tak.

— Stań pan na plecach Winnetou. Ja uklęknę, a Winnetou stanie na moich. Wówczas sięgnie pan do pokrywy i spróbuje ją podnieść.

Próba się nie powiodła. Wściekła niewiasta wróciwszy na górę, zabrała drabinę i obarczyła pokrywę jakimś ciężarem, skoro Vogel nie mógł jej podnieść.

— Co robić? — zapytał nasz wirtuoz. — Ledwo odzyskałem wolność, znów jestem uwięziony.

— *Sir* Emery czeka na górze. Jeśli nie wrócimy, żejdzie po nas.

— Ale jeśli i Emery'ego okłamał?

— To zostanie nam droga przez wodę.

— Co za woda?

— Czy nie wie pan, że przez środek korytarza, pod ziemią, płynie woda?

— Nie.

— Łączy się prawdopodobnie z rzeką. Siedzimy nawet, że Jonatan Melton uciekł tą drogą.

— Co? Jak? Kiedy to mogło nastąpić?

— Przeszło godziną temu.

— Ach, w tym właśnie czasie zobaczyłem światło i usłyszałem cichy szept. Nie mogłem zrozumieć słów, ani poznać osób. Zdawało mi się, że było ich dwoje. Doszli do połowy korytarza, gdzie przez parę chwil świeciło się światło, po czym oddaliło się z powrotem.

— To była Judyta i Jonatan Melton. Umknął! Fatalna okoliczność, lecz ma i swoją dobrą stronę. Gdyż daje nam wyjście z obecnej sytuacji. Nie będziemy czekać, aż się Emery zaniepokoi o nas, lecz bezzwłocznie wyruszymy stąd drogą wodną. Mamy jeszcze dosyć oliwy w lampie, aby nam świeciła chwilowo. Później będziemy się posuwali naprzód po omacku, co jest o wiele trudniejsze, bo nie znamy drogi. Czy Winnetou podziela moją decyzją?

Apacz zgodził się ze mną; skrzypek zaś nie mógł w tym przedmiocie decydować. Winnetou i ja nie dbaliśmy o to, że trochę zmokniemy, a Vogel musiał się pogodzić z losem. Wróciliśmy do środka korytarza i usunęli belki. Zzuwszy obuwie i zabezpieczywszy przed zmoknięciem rewolwery oraz inne przedmioty, wleźliśmy do wody, tak płytkiej, że nie sięgała nam do piersi.

Przypomniałem sobie podobne, ale o wiele niebezpieczniejsze przeżycia. Aby uprowadzić pewne dziewczę z haremu, musiałem ongiś w Egipcie wejść do kanału, który z Nilu wiódł na podwórzec haremu. Musiałem uprzednio zerwać grubą drewnianą kratę i wysadzić bardzo mocne blaszane rzeszoto. Podczas tej pracy zanurzyłem się po głowę w wodzie. Przez parę sekund byłem bliski utonięcia lub zaduszenia. Podobny wypadek zdarzył mi się na północy Stanów Zjednoczonych, przy czym byłem okrążony ze wszech stron Indianami. Jakże bezpieczna była wobec tego nasza obecna sytuacja!

Wyprzedzałem towarzyszy, oświetlając drogą lampą. Musieliśmy się schylać, aby głów nie rozbić o sufit. Przed iluż wiekami został zbudowany ten kanał? Powietrze było złe, ale nie o tyle, aby mogło nam szczególnie dokuczać. Jeśli sienie myliłem to kanał prowadził pod

cieśniną do rzeki. Musieliśmy zatem przebyć pod ziemią tę samą drogą, którą przebył poprzednio Emery, śpiesząc do nas do kotliny.

Nie była to droga krótka. Wreszcie powietrze zaczęło się przeczyszczać i światło lampy padło na gęste krzaki, które sterczały przede mną. Zgasilem lampę, odgarnąłem gałęzie, posunąłem się o dwa kroki dalej i oto stałem w rzece, nie głębszej zresztą, niż kanał. Gałęzie należały do pnączy, które całkowicie zasłaniały ujście kanału.

Winnetou i Vogel wyszli za mną. Dotarliśmy do brzegu i znaleźli się w kanionie Flujo Blanco, niedaleko cieśniny.

— Tędy wyszedł też Melton — rzekł Winnetou szeptem. — Czy mój brat sądzi, że kryje się jeszcze gdzieś w pobliżu?

— Nie. Uciekł. Nie zatrzymywał się ani przez chwilę.

— Nasz brat Emery nie natęzał czujności, zobaczyłby bowiem, albo usłyszał Meltona.

— Sądzę raczej, że kiedy Melton wyszedł z kanału, Emery był już przy nas w pueblo.

Ognisko Anglika dawno już spłonęło. Przez popiół podążyliśmy ku cieśninie. Na drugim końcu płonęło ognisko Yuma, które Emery poprzednio przeskoczył. Nie pozostało nam nic innego, tylko pójść za jego przykładem. Skoczyłem przez płomienie i powaliłem dwóch czy trzech Yuma, którzy siedzieli z drugiej strony. Czerwoni zerwali się jak oparzeni i wrzili we mnie przerażone spojrzenia. Po chwili ukazał się Winnetou. To było już zbyt zagadkowe! Wiedzieli, że jesteśmy w pueblo, a teraz oto przylecieliśmy, jakby wystrzeleni z łuki. Wytrzeszczyli oczy i otworzyli gęby, że zdumienia nie mogą głosu dobyć.

Teraz skoczył Vogel. To był już zgoła cud niebios! Młody biały sterczał wszak za grubymi murami pueblo, a oto nie tylko był wolny, ale przybywał z wolności.

— *Uff, Uff, Uff!* — rozległo się wreszcie dookoła. Yuma, z którym wypaliliśmy fajkę pokoju, odezwał się:

— Czy wielki Manitou twórcy dziś cuda? Czy też bracia nasi posiadają podwójne ciała, że mogą być naraz w pueblo i tu przy nas?

— Niech mój czerwony brat się zastanowi — odparłem. — Jeśli nie znajdzie wyjaśnienia, być może objawi się ono we śnie.

Po drabinie, przystawionej do parteru pueblo, weszliśmy na górę, a później dalej na pierwsze piętro. Można sobie wyobrazić zdziwienie Emery'ego!

Stał na warcie przed wejściem do mieszkania Judyty. Wypatrywał nas oczywiście z otworu, gdy oto przybywaliśmy z zewnątrz. Wyszedł nam na spotkanie do drabiny i zdumiony, zawołał głośno:

— Wy tutaj! I nawet *master* Vogel, o którym myślałem...

— Ciszej! — przerwałem. — Nie krzycz tak! Judyta nie powinna słyszeć. Czy widziałeś ją od czasu, jak się rozstaliśmy?

— Tak, na dole w jej mieszkaniu. Od czasu do czasu zaglądałem w dół i widziałem, jak chodzi tam i z powrotem.

— Czy nic podejrzanego nie zauważyłeś?

— Nie. Zapaliła lampę, którą ty zgasiłeś.

— Czy nasza nieobecność nie wydała ci się zbyt długą?

— Owszem. Ale mieliście sporo roboty. Co się właściwie zdarzyło? Musieliście chyba odkryć tajemną drogą w kotlinie?

— Tak jest. Piękna Judyta chciała nas podejść. Sądzi, że wpadliśmy w zasadzkę i zdziwiłbym się bardzo, gdyby nie spróbowała i ciebie złapać.

Opowiedziałem mu naszą przygodę i dodałem:

— Ukryjemy się przed nią. Jestem przekonany, że gotuje dla ciebie pułapkę. Jestem ciekaw, jak się do ciebie weźmie.

Oddaliłem się wraz z Winnetou i Voglem do miejsca, gdzie leżała broń Yuma. Ułożyliśmy ją w piramidy i usiedli z tyłu, tak, aby nie można nas było dostrzec z otworu.

Stało się, jak przypuszczaliśmy. Niebawem Judyta weszła na górę i obejrzała się za Emery'm. Stał bowiem w pewnej odległości od otworu.

— Senior! — zawołała — Przywódca Yuma ma przyjść do mego mieszkania wraz z trzema Indianami.

— Kto tak rozkazał?

— Senior Shatterhand. Jest na dole przy seniorze Meltonie.

— Dlaczego panią tu wysłał? Mógł mi sam powiedzieć.

— Nie ma czasu. *Sennores* muszą omówić bardzo ważne sprawy. Rozmawiają zdaje się o spuściźnie.

— Cóż mają z tym wspólnego czerwonoskórzy?

— Nie wiem. Old Shatterhand polecił mi powiedzieć, aby pan się spieszył.

— Dobrze! Niech mu pani powie, że czerwoni wkrótce nadejdą.

Wróciła do siebie. Emery podszedł do nas i zapytał:

— Co się w tym kryje?

— Łatwo odgadnąć. Jest pewna, że ma nas w swojej mocy i chce także ciebie obezwładnić.

Kazała zawołać czerwonych, aby ich skłonić do napaści na ciebie.

— Ale w jakim celu? Cóż jej z tego przyjdzie, że będzie nas miała w swej mocy.

— Wiele, bardzo wiele! Wyśle w ślad za Jonatanem gońca, który go wróci z drogi.

— Musiałaby wiedzieć, dokąd czmychnął.

— Naturalnie, że wie!

— Ach, bodajbyśmy mogli się dowiedzieć!

— Dowiemy się podstępem.

— Jak?

— Podam się za Meltona seniora.

— Wszak zna ciebie! Nie wprowadzisz jej w błąd.

— Judyta nie wie jeszcze, żeśmy Meltona schwytali. Za wszelką cenę zechce starego zawiadomić, gdzie jest jego syn. Dzięki temu dowiem się o wszystkim.

— Nie pojmuję, jak się do tego weźmiesz.

— Chodźmy do niej! Jestem ciekaw, z jaką miną mnie powita. Powiedz jej z początku, że chcesz ze mną mówić.

Zeszliśmy na dół i wśluchali się w ciszę. Zdawało się, że Judyta jest w sypialni. Emery wyprzedzał mnie. Zatrzymałem się przed zasłoną, on zaś odsunął ją i wszedł do pokoju.

— To pan, senior? — rzekła. — Oczekuję Indian. Kiedy przyjdą?

— Nic im jeszcze nie powiedziałem.

— Czemu nie? Seniorowi Shatterhandowi bardzo się spieszy.

— Chciałbym z nim pomówić. Gdzie jest?

— Tam, w drugim skrzydle. Ale dlaczego nie spełnia pan natychmiast jego rozkazu? W jakim celu chce pan przedtem z nim pomówić?

— Dlatego, że to wszystko wydaje mi się podejrzane. Na co mu Indianie? Wszak ma mnie i Winnetou, który jest przy nim.

— Nie mam pojęcia.

— Ale ja chcę mieć pojęcie! Zaprowadź mnie pani do niego.

— Nie mogę. Uprzedzał, aby mu nie przeszkadzać.

— Przeszkadzać? *Pshaw!* Ja, jego przyjaciel, nie będę mu przeszkadzał. Raczej już Indianie.

A zatem gdzież on?

— Tam w drugim skrzydle, jak już mówiłam uprzednio.

— I nie chce mnie pani do niego zaprowadzić?

— Nie, gdyż zabronił.

— W takim razie pójdę sam.

— Nie znajdzie go pan!

— Natychmiast znaję, natychmiast! Czy mam pani dowieść?

— Tak.

— Dobrze, seniora! Tu ma go pani!

Uchylił zasłony, wziął mnie za rękę i wciągnął do pokoju. Ujrzawszy mnie, Judyta stanęła jak wryta.

— Widzi pani, seniora, — rzekłem — ledwo zamknęłaś mnie w podziemiach, a oto widzisz znowu, aczkolwiek nie byłaś tak łaskawa, aby spuścić drabinę. Cieszy się pani zapewne, że widzisz mnie przy zdrowiu?

— Tak, tak, cieszę się. Nadzwyczaj, nadzwyczaj się cieszę! — zawołała, ściskając pięści i zagryzając wargi.

— Muszę pani radość podwoić, oznajmiając, że i Winnetou, i senior Vogel przebywają nad ziemią. Podziemny kanał uwolnił nie tylko pani narzeczonego, ale także nas.

Żachnęła się dziko, jak drapieżna kotka:

— Ma pan po tysiąc kroć więcej szczęścia niż rozumu! Ale nie ciesz się za bardzo! Wszakże udał mi się najpiękniejszy, najlepszy pomysł.

— Jakież to?

— Wysłałam stąd Meltona. Nie miał wyobrażenia o kanale. Nikt nie wiedział, że można wyjść z pueblo drogą wodną, tylko ja o tym wiedziałam. Mój mąż, wódz, wyjaśnił mi tajemnicę na wszelki wypadek.

— I taki wypadek dzisiaj zaszedł?

— Tak. Wskazałam mu drogę, a w pół godziny później usłyszałam wasze nazwiska. Wtargnęliście więc do pueblo. Jonatan nie omieszkiał natychmiast skorzystać z odkrycia i... umknął wam.

— I taki wypadek dzisiaj zaszedł?

— Sądzi pan? Naprawdę pan tak sądzi? I za jakiego uważasz go głupca? Sądzisz, że trzeba tu tylko poszukać. Ale myli się pan bardzo! Pieniądze zabrał ze sobą.

— Tylko część.

— Nie, wszystko, wszystko! Była to torba skórzana, pełna banknotów oraz papierów wartościowych.

— Do piorunów! To dopiero pech! I stary również uciekł!

Powiedziałem to umyślnie wściekłym głosem.

— Też? — zapytała, błyskając oczami z radości. — Skąd pan wie?

— Jego gniazdko świeci pustką.

— Czy znał je pan?

— Jest nad panią, na wyższym piętrze. Nie przybyliśmy tu przez cieśninę, tylko opuściliśmy się na kilku związanych lassach. I właśnie w chwili, gdy nas zauważono i zawołano na alarm, stary Melton stał na dole przy ognisku. Czym prędzej czmychnął przez cieśninę.

— Pięknie, pięknie! — triumfowała. — Potem syn jego uciekł kanałem, spotkali się na pewno i drapnęli razem.

— Dokąd?

— Dokąd? Tak, tak, pytaj! Chciałby pan koniecznie się dowiedzieć?

— Naturalnie! Jestem w tym wypadku niemniej ciekaw, niż pani. Wszak chętnieby pani się dowiedziała, dokąd od pani zwiął jej ukochany?

— Zwiął ode mnie, ode mnie, *hahaha!* — roześmiała się.

— Śmieje się pani! Nie oszukasz mnie! Zwiął także od pani. Nie zobaczy go już pani nigdy — ani jego, ani pieniędzy.

— Nigdy? Senior, powiadam panu, że zobaczę go, kiedy tylko zechcę!

— Nie wie pani nawet, dokąd się skierował.

— Wiem nawet, gdzie będzie na mnie czekał.

— A czy tylko pani wie? Ja też wiem coś niecoś.

— Pan? Widzę, że pan fantazjuje! To miejsce tylko my dwoje znamy — ja i on.

— Troje! Niech pani i mnie zaliczy. Zanim opuszczę pueblo, wymienię pani i tę miejscowość.

— Nie ma obawy! Wiem, do czego pan zmierza. Postępuje pan, jak dzieci, kiedy chcą się czegoś dowiedzieć i sądzi, że będę tak głupia, iż złości wszystko wygadam. Ale przerachował się pan i to bardzo! Dziś na ogół jest dzień złego rachunku dla pana. Pieniądze się wymknęły, Jonatan zbiegł ze swymi i ojciec ze swymi. Tak, gdyby pan chociaż starego złapał! Musiałbyś mu tylko ściągnąć buty. Schował swoją cześć spadku między podwójnymi cholewami.

— Psiakrew! — zawołałem umyślnie, ja, który nigdy nie klnę. — Między cholewami! Wszak starego mogłem już niejednokrotnie zdybać! To pech, fatalny pech!

— Tak, to pech i nie uwierzy pan, jak bardzo się z tego cieszą! Nienawidzą pana każdą żyłką, każdym tchnieniem. Cieszy mnie niezmiernie, że stoi pan jak lis przed pustym kurnikiem. A najbardziej się cieszę z tego, że nigdy już nie ujrzysz Meltonów!

— Oho! Deptać będziemy im po piętach, aż schwytały.

— Nigdy! O tym już pomyślano! Kurnik jest pusty, na zawsze pusty!

— O nie! Wszak pani w nim przebywa.

— Ja? Cóż panu po mnie! Jestem uboga. Nie posiadam już prawie nic. Zresztą, musi senior trzymać ręce daleko ode mnie!

— Nie muszą! Zależy to od mojej woli.

— Od pana woli? Nade mną nie masz żadnej władzy! Cóż takiego uczyniłam, co pana uprawniałoby do uwięzienia mnie? Czy w ogóle miał pan prawo komukolwiek gwałt zadawać? Wtrącał się pan zawsze do cudzych spraw i łowił ryby w cudzej wodzie. Mam nadzieję, że zwędził pan dla siebie dosyć, aby już zażyć spokoju. I to nazywa pan obroną biednych bliźnich, senior, osobliwy przyjacielu upośledzonych?!

— Tak, już tyle zwędziłem, a jeszcze więcej wyłowię. Przede wszystkim panią zaczepię na moim haku. Zabezpieczę sobie pani osobą.

— Z jakiego powodu. Jakim prawem?

— Prawem mocniejszego. Mógłbym powiedzieć, że pani jest współwinną w przestępstwach Meltonów. Ale wcale o tym nie myślą. Trzymam panią mocno i każą strzec, dopóki nie dobrniemy do celu. Potem może pani iść sobie, dokąd zechcesz, nawet w ślad za swoim Jonatanem. W tej chwili jestem tylko ciekaw, jak pani zabarykadowałaś wejście do kuchni, żeśmy się nie mogli wydostać.

Z lampą w raku wszedłem do kuchni. Łóżko leżało nad otworem, a na łóżku stała drabina, tak wparta o powałą, że żadną miarą nie zdołaliśmy usunąć pokrywy.

— Świetnie sobie poradziłaś, seniora! — rzekłem. — Gdyby na dole nie było kanału, moglibyśmy tam tkwić do dnia sądnego. Odtąd będziemy pani surowo strzegli, abyś, póki tu jesteś, nie mogła knuć podobnych zamysłów. Emery, zostaniesz tutaj dopóki cię nie zlużujemy. A nie spuszczaaj tej pięknej seniory z oka!

Obejrzał mnie zdziwiony. Dałem mu lekki znak, po kryjomu przed Judytą. Zawołała za mną:

— Dziękuję panu, że zostawiasz mi swego towarzysza! Pana nie byłabym ścierpiała. A nie zapomnij spełnić przyrzeczenia!

— Jakiego? — zapytałem umyślnie, zatrzymując siana chwilę.

— Przyrzekł mi pan powiedzieć, dokąd zbiegł Jonatan i gdzie się z nim umówiłam.

— Dobrze, dotrzymam słowa!

Poprosiłem Winnetou, aby poszedł ze mną do starego Meltona. Musieliśmy zatem wspiąć się o piętro wyżej i, przystawiwszy drabiną do otworu, zejść na dół. Znalazłem po omacku lampę i zapaliłem. Zanim jeszcze knot się zajął, usłyszeliśmy, że Melton wrócił do przytomności. Stół, do którego był przywiązany, trzeszczał niespokojnie.

Oswobodziliśmy staremu usta. Zaklął siarczyście i rzekł:

— A więc dobrze słyszałem! Old Shatterhand i Winnetou, wymieniono te imiona!

— Tak, nie omylił się pan, *master* Melton, — odrzekłem. — Potośmy właśnie przyszli, aby się panu przedstawić.

— Niech was diabli porwą!

— W takim razie musielibyśmy siedzieć tam między głazami, przy pańskim bracie, którego zamordowałeś. Był diabłem, w najistotniejszym tego słowa znaczeniu. Wymierzył mu pan sprawiedliwość, teraz my wymierzmy wierzmy.

— Zamknij pan gębą! W takich razach nie można mówić o morderstwie. Kiedy idzie o śmierć i życie, każdy jest sobie najbliższy.

— I bije i zakłuwa własnego brata? Czy wie pan, jak go nazwał?

— Jak?

— Judaszem Iskariotą. To samo miano dał panu Krüger-bej i inni. Największa uciecha dla pana to zdradzać i złem odpłacać swoim dobroczyńcom. Gdzie są pieniądze, które zabrałeś bratu?

— Nie mam ich.

— Zagrabił je pan! Widzieliśmy na własne oczy. Harry ta samo potwierdził.

— Czy mówił coś jeszcze?

— Tak. Przeklął pana przed śmiercią. A zatem, gdzie pieniądze?

— Co panu do tego?

— Pieniądze te są własnością prawowitego spadkobiercy starego Huntera.

— Pokaż mi tego spadkobiercę!

— Mógłbym.

— Mógłbyś, ale nie możesz! — roześmiał się złośliwie.

— Mogę. *Master* Vogel jest wolny. Wyprowadziliśmy go z korytarza, gdzie tkwił przywiązany do kołka.

— Co? Macie go? Istotnie? — zawołał, szamocząc siew pętach. — Kto panu zdradził to miejsce?

— Nikt. Sami znaleźliśmy.

— Nieprawda! Ktoś musiał panu powiedzieć.

— Nie zadajemy się ze zdrajcami waszej zgrai. Własna przenikliwość wystarczy nam całkowicie.

— Mogliście tylko zejść przez mieszkanie Judyty! Co ona?

— Bardzo się dobrze miewa.

— A co z Jonatanem, moim synem?

— Też dobrze. Oboje tak się nieskończenie kochają, że wkrótce wezmą ślub na szubienicy.

— Co? Czy Jonatan jest schwytany?

— Chciałby pan, aby mu się lepiej powiodło, niż panu.

— Schwytany, schwytany! — stękał, po czym dodał: — Ale było was tylko czterech!

— Tylko trzech; jednego przecież schwytaliście.

— Piekło was wspomogło! Ale pieniędzy nie dostaniecie! Tak je pochowaliśmy, że nawet pospołu z diabłem nie potraficie znaleźć.

— A jakże, znajdziemy.

— Nigdy, przenigdy! Bądźże pan rozsądny i umiarkuj swoje zakusy. Bierz pan to, co zaproponowaliśmy przez Judytę, inaczej nic nie dostaniecie. Mój syn ukrył pieniądze niezgorzej ode mnie. I nikt, prócz niego, nie zna tego schowku.

— I prócz pana.

— Tak.

— I Judyty?

— Nie sądzę, aby jej powiedział! Tego się nie opowiada kobiecie.

— O, miłość nie zna tajemnic.

— Czy zna, czy nie zna, pan nic nie znajdzie! Co panu z tego, że wydasz nas policji, — sam powrócisz z pustymi rękami.

— Oczywiście, nie byłoby to zbyt pocieszające..

— A zatem? Rozsądku, *sennores!* Puśćcie nas i bierzcie pieniądze. Macie do wyboru: albo dostaniecie nas samych bez pieniędzy, albo puściecie nas i zyskacie pieniądze.

— Ile?

— Proponuję wam dwakroć więcej, niż poprzednio Judyta.

— W takim razie spadkobierca uzyska tyle, co nic, panowie zaś będziecie mieli i miliony i wolność. To zły interes, *master!* I mniema pan, że wydamy was policji? Nie będę was włókł za sobą tak daleko!

— Co więc uczynicie?

— Po prostu wsadzimy wam kulę w łeb.

— *Sir*, dopuściłbyś się morderstwa!

— Nie, wymierzyłbym tylko słuszną karę. Zasłużył sobie pan na więcej. Porachuj swoje występki. W forcie Uintah zastrzelił pan oficera i dwóch żołnierzy, w forcie Edwarda — klucznika, w Tunisie — Smalla Huntera. A ileż to razy nastawał pan na moje życie! Mam prawo zgładzić cię ze świata. I syn pana nie zasługuje na lepszy los. Zapomniałem o bratobójstwie. Ktokolwiek zgładzi pana, jako dziką, krwiożerczą bestię, godzien jest najwyższej pochwały.

— Co mu po pochwałach bez wynagrodzenia w gotówce!

— Istnieją inne, istotniejsze bogactwa, niż pieniądze. Ale pan nie ma o nich wyobrażenia. Jakże często wymykał mi się pan ku szkodzie rozmaitych ludzi; teraz trzymam cię mocno w garści i nie zakosztujesz już wolności. Naradzimy się w waszej sprawie. Być może, dzień najbliższy będzie waszym dniem ostatnim.

— Będziecie musieli od tego odstąpić! Nie jesteście moimi sędziami!

— Jesteśmy. Na *Far West* postępujemy według praw prerii. Nawet gdybyśmy nie brali pod uwagę poprzednich zbrodni, wystarczyłoby już to samo, żeście ostatniej nocy nas napadli, a za dnia urządzili pułapkę. Ważyło się nasze życie. Życie za życie — tak brzmi prawo prerii!

— Weź to pan na rozum, *sir!* Chcemy się z panem podzielić.

— Nie. Żądamy wszystkiego.

— Nic z tego! Moje ostatnie słowo, albo połowa, albo nic!

— Dostaniemy więcej.

— Nic nie dostaniecie, nic! — krzyczał z wściekłością. — Zamordujecie nas, zabijecie: wszystko mi jedno! Umrę z pociechą, że jesteście i zostaniecie golcami, bo pieniędzy nigdy, nigdy nie znajdziecie! Słowo „nigdy” po prostu ryczał. Opowiedziałem spokojnie: — Niech się pan nie unosi! Wiem, co wiem. Znam torbę skórzaną, w której Jonatan schował pieniądze.

— Skórzaną? — zapytał niemal bez tchu. — Czy widział ją pan? Obejrzał mnie tak, jak gdyby życie jego zawisło od mojej odpowiedzi.

— Widział? *Pshaw!* Cóżbym miał za korzyść, gdybym ją tylko widział.

— Człowieku! Czy już ją masz?

— Hm! Jest to torba pańskiego syna i, jako taka, pana nie obchodzi. Ale i pan ma pieniądze, swoją część i cześć swego brata, którą pan zrabował.

— Tak, mam ją, mam! — ryczał w uniesieniu. — Ale nie łudźcie się, że mi odbierzecie! Skoro diabeł oddał wam pieniądze Jonatana, podziękujcie mu za to i skwitujcie. Lecz od moich pieniędzy, od mojej własności — wara!

— O, wystarczy tylko ręką sięgnąć, aby mieć pańskie pieniądze. Położyłem dwa palce na jego nogach. Drgnął cały, oczy wyłaziły mu z orbit.

— Tu? Mniema pan, że byłem tak głupi i włożyłem pieniądze do pończochy, aby nabawić się odcisków?

— Nie do pończochy, lecz do butów. Drżąc i czkając wykrztusił z trudnością:

— W butach? Ściągnij je pan i zajrzyj! Może pan wytrząsać tak długo, jak się panu żywnie podoba, nie wypadnie z nich złamany szeląg.

— Rozumie się, pieniądze nie leżą w butach, lecz między podwójnymi cholewami.

Głowa Meltona opadła. Przymknął oczy i powtórzył zamierającym głosem:

— Pod... wójnymi... cho... le... wami!...

Twarz posiniała. Szamocząc się w wiązach, ryknął:

— Ośmiel się dotknąć moich nóg, ośmiel się, wstrętny psie! Rozerwę wieży i rozedrę was, ciebie i tego czerwonego Winnetou, na tysiące kawałków!

— Głupcze, miotasz obłąkane groźby! Pozostawimy ci jeszcze pieniądze, naturalnie, dopóki zechcę. Teraz rozwiążemy cię, pójdziesz z nami.

— Dokąd? — zapytał nieco uspokojony, ponieważ nie zrywaliśmy z niego obuwia.

— Zobaczysz. Ale bądź posłuszny. Ucisz się, inaczej nie możesz liczyć na pobłażanie.

Odwiązaliśmy go od stołu i uwolnili nogi. Musiał zejść na niższą platformę do mieszkania Judyty. Wzięliśmy go ponownie w łyka i ułożyli w drugim pokoju. Mrok tu panował. Judyta, strzeżona przez Emery'ego, oddalona była o trzy pokoje.

Poszedłem do niej. Siedziała na krześle, zwrócona plecami do Emery'ego i udawała, że mnie nie spostrzega.

— Czy mamy cię zluzować? — zapytałem Anglika, przymykając oczy, pochylając głowę na bok i przykładając dłoń do policzka.

Pantomimicznie oznaczało to sen. Emery zrozumiał mnie i odparł:

— Jestem znużony. Chciałbym się przespać.

— A któż cię zastąpi? Mam robotę, Winnetou jest również zajęty, Voglowi zaś nie powierzyłbym tak ważnego posterunku.

— Ważnego? Sądzę, że poradzi sobie z niewiastą.

— Lecz przyprowadziłem jeszcze jednego jeńca, starego Meltona.

Judyta zerwała się szybko z miejsca.

— Zdaje się, że ten pan zbiegł! Wszak pan sam powiedział!

— A jednak wpadł nam w race.

— Jesteś diabłem, prawdziwym diabłem! Co pan z nim zrobi?

— Przede wszystkim zajrzą mu do cholew. Widzi pani, seniora, poprzednia twoja radość była nader przedwczesna, a szyderstwo pod niewłaściwym adresem skierowane.

— Bodajbym milczała! Przecież nic nie chciałam powiedzieć. A teraz tyle pieniędzy, straconych! Wypaplałam, i to z własnej woli!

— Myli się pani. To ja sprowokowałem panią do wyznania.

— Nie spostrzegłam się!

— A jednak! Będę szczery i wyznam pani, że stary Melton od razu wpadł nam w ręce, jeszcze zanim pani wiedziała o naszym przybyciu. Zaskoczyliśmy go w mieszkaniu i związali. Miał pieniądze — to było pewne. Chcieliśmy się jednak dowiedzieć, gdzie je schował, a najłatwiej było się dowiedzieć od pani.

Wstała z krzesła, zbliżyła się o jeden krok i zapytała:

— Podeszedł mnie pan?

— Stanowczo. Z grymasem rozczarowania powiedziałem pani, że czmychnął. Seniora wpadła w cielący zachwyty. Dorzuciłem jeszcze parę zdań bałamutnych, poczucie zwycięstwa poniosło panią i wtedy to dopiąłem celu.

Przez kilka sekund nie poruszała się wcale, ale wnet wpadła na mnie i, wygrażając dziesięcioma skrzywionymi palcami nad moją twarzą, zawołała jadownicę:

— Kłamco, oszuście, potworze! Tak pan oszukuje ludzi! Pod maską uczciwości ukrywasz duszą podłego szpiega i oszusta. Chętnie bym panu twarz pokieroszowała!

Otwierała i zamykała pięści. Twarz jej wyrażała niezwykłą rozkosz — upajała ją groźba, urzeczywistniona... w wyobraźni. Uśmiechnąłem się spokojnie i rzekłem:

— Jeśli tylko zechcę, popełni pani jeszcze większe głupstwo, niż poprzednio.

— Nie, nigdy, przenigdy! — zapewniała gniewnie. — Nie sprawię panu powtórnej przyjemności. Nie dam się podejść! Jestem tak szczwana, jak pan. Czy myśli pan, że nie wiem, do czego pan zmierza? Chce pan znowu ze mnie coś wydobyć i w tym celu dopuścicie się wierutnego kłamstwa.

— Kłamstwo? Czy mogę wiedzieć, jakie kłamstwo?

— To, że pan schwytał starego Meltona.

Życzyłem sobie właśnie takiej odpowiedzi. Nie przeczuwała nawet, że już powtórnie złowiłem ją na wędkę.

— To ma być kłamstwem? — rzekłem. — W jakim celu kłamać?

— Wie pan i ja także wiem. A może pan potrafi mi dowieść prawdziwości swych słów?

— Tak.

— Gdzie jest Melton? Niech mi go pan pokaże.

— Nie mogę go sprowadzić, bo jest spętany.

— Puste wykręty! Wszak mogę doń pójść. Ale na to mi pan oczywiście nie pozwoli!

— Czemu nie? Z całego serca!

— A więc chodź pan!

— Tak, chodźmy!

Wziąłem lampę i poszedłem do pokoju, gdzie leżał Melton. Skoro go ujrzała krzyknęła z przerażeniem:

— Prawda, szczerą prawdą! Senior, jak mogłeś do tego dopuścić?

— A czy pani nie schwytano? — zapytał wściekły.

— To co innego! Pan jesteś mężczyzną, posiada pan broń, ja zaś...

— Cicho! — przerwałem. — Spełniłem pani życzenie i pokazałem jeńca, ale nie pozwolę, abyś się z nim porozumiewała. Do rana niechaj tu zostanie. Skoro się rozwidni, sprawimy sobie uciechę — zbadamy jego buty. A teraz chodźmy!

Odwrociłem się i umyślnie poszedłem naprzód. Nadawałem sobie pozory bez troski, spostrzegłem jednak, jak za moimi plecami przesłała znak Meltonowi. Nie mógł nic innego wyrażać, tylko to, że przyjdzie do niego przy pierwszej sposobności. O to mi właśnie chodziło. Chciałem się od niej dowiedzieć, dokąd uciekł Jonatan, a wyjawiałaby to chętnie, gdyby mogła, staremu Meltonowi.

— Czy uważa mnie pani wciąż jeszcze za kłamcę? — zapytałem, skorośmy weszli do jej pokoju.

— Tym razem mówił pan prawdę. Ale mimo to podwoję przezorność. Nie zażyje mnie pan podstępem!

— Niech pani trochę poczeka! Proszę cię, Emery, pilnie czuwaj. Oboje uwięzieni nie powinni się porozumieć. Seniora potrafiłaby dopomóc staremu do ucieczki. Za dwie godziny przyjdę cię zastąpić, prędzej nie mogę.

— *Well!* Nie zlekceważę obowiązku, aczkolwiek jestem znużony. Skinąłem mu porozumiewawczo i wyszedłem. Wobec tego odprowadził mnie do wyjścia. Zapytał cicho:

— Co to wszystko znaczy? Dlaczego mam być znużony?

— Chciałbym, aby poszła do starego. Rozmawiaj z nią teraz głośno, co najmniej przez dziesięć minut, aby nie słyszała co się dzieje. Potem na pozór, zdrzemniesz się i zaśniesz i nie ockniesz się, aż przyjdę.

— A jeśli stąd odejdzie?

— Nie przeszkadzaj jej.

— Ale, być może, naprawdę uwolni starego?

— Nie. Wyprawie go stąd i położę się na jego miejscu.

— *Uff!* — jakby powiedział Winnetou. Znakomity pomysł! Jestem niezmiernie ciekaw wyniku.

Wrócił do Judyty, a ja sprowadziłem Winnetou który został na górze. Przewiązaliśmy staremu Meltonowi nos i usta, i przenieśli go do lewego skrzydła. Następnie Winnetou związał mnie dokładnie, tak samo, jak Meltona, i ułożył na jego miejscu. Zdjął ze mnie pas i upodobił zewnętrznie do starego.

Wkrótce potem Apacz poszedł na górę, ja zaś wypatrywałem z niecierpliwością rezultatu. Nie wątpiłem, że Judyta przyjdzie, ale nie byłem pewny, czy wyzna mi to, co chciałem wiedzieć.

Słyszałem jak rozmawiała z Emery'm. Niebawem rozmowa umilkła. Upłynął kwadrans, drugi, i nawet trzeci. Wówczas odczułem lekki szelest sukni kobiecej. Przyszła. Ręka jej szukała mnie i dotknęła nogi. Drgnąłem, jakby przełknięty. Wówczas usłyszałem lekki szept:

— Cicho, cicho, senior Melton! To ja.

— Kto? — szepnąłem, w szepcie głosy brzmią jednakowo.

— Ja Judyta! Chce pan uciec?

— Pioruny... Bodajbym to mógł...

— Ja panu pomogę! Czy zauważył pan moje poprzednie skinienie?

— Tak.

— Ten Shatterhand to osioł. Z przyjemnością spleć mu figla. Przyjrzałem się poprzednio więzom. Podnieś pan ręce; mam przy sobie nóż.

Uczyliłem to. Przecięła pęta. Usiadłem, umyślnie sprawiając lekki hałas. Chciałem, aby mnie ostrzegła, a wówczas nie zastanawiałyby jej moje monosylabowe odpowiedzi. Nie mogłem wszak wiele mówić.

— Cicho, cicho! — ostrzegła. — Obudzi pan mego strażnika.

— Strażnik? — zapytałem.

— Tak, zasnął. Szczęśliwy to traf dla pana, gdyż jutro musiałyby się rozstać i z pieniędzmi i z wolnością, a nawet życiem. Musi pan śpieszyć do Jonatana!

— Gdzie on?

— Uciekł. Pomogłam mu. Pomknął do Indian Mogollon, których wódz nazywa się Bitsil llszeh — Silny Wicher. Był przyjacielem mego męża i chętnie udzieli gościny i obrony Jonatanowi. Jeśli pan umknie do Mogollonów i powie, że ja pana przysyłam, to możesz być pewny dobrego przyjęcia. Wkrótce i ja za wami podążę.

— Kiedy?

— Kiedy ci szubrawcy opuszczą pueblo. Muszę zostać, aby się dowiedzieć, co postanowią i dokąd się skierują. Potem spotkam się z Jonatanem w Klekie Tse — Jasnej Skale. A teraz zmykaj stąd i strzeż się, aby cienie złapano! Oto nóż, stołowy wprawdzie, ale trudno, nie ma innego.

Judyta oddaliła się szybko.

Przeczekałem chwilę, po czym wyszedłem na taras. Tam siedział Winnetou. Zapytałem:

— Czy brat mój zna Bitsil llszeh, wodza Mogollonów?

— Tak. Jest to mężny wojownik i nigdy jeszcze słowa nie złamał.

— Czy na jego terenach znajduje się miejscowość, zwana Klekie Tse?

— Tak. Znam ją. Dlaczego mój brat pyta?

— Jonatan Melton tam właśnie uciekł.

— *Uff!* Skąd wie Old Shatterhand? Wyjaśniłem. Śmiejąc się lekko, rzekł:

— Mój brat jest nie tylko chytry jak lis, ale nawet przemyślniejszy, niż *squaw*. Pojedziemy do Jasnej Skali!

Skoro minęły zapowiedziane dwie godziny, zszedłem na dół, jakoby zastąpić Emery'ego. Siedząc na krześle z głową opuszczoną udawał śpiącego. Judyta spoczywała na drugim krześle. Obdarzyła mnie spojrzeniem zaczepnym i triumfującym.

— Ach, cóż to takiego? — zawołałem. — Sądzę nawet, że śpisz.

Udawał, że się zrywa ze snu, zrobił zakłopotaną minę i odparł:

— Ach! Naprawdę drzemałem, ale nie dłużej, niż kilka minut.
— Kilka minut? — roześmiała się Judyta. — Senior, przespał pan jednym tchem niespełna dwie godziny.

— A co pani robiła podczas snu *sir* Emery'ego? — zapytałam.

— To i owo. Przespacerowałam się też trochę po pokojach.

— Czy zajrzała pani do Meltona?

— Naturalnie. Mogę panu nawet powiedzieć, że jego więzienie świeci pestka.

— Czy pani jest przy zdrowych zmysłach?

— A jakże! Drapnął do syna.

— A więc muszę natychmiast...

Udawałem, że jestem wzburzony; wziąłem lampę i wybiegłem. Judyta pragnęła nacieszyć się moim zmartwieniem, Emery zaś dreptał za nami mozolnie. Oczywiście, wściekałem się co niemiara, gdy ujrzałem rozrzucone rzemienie.

— Ktoś mu pomógł! — krzyknąłem. — Wszak sam nie mógł przeciąć więzów! Gdybym wiedział, kto... aha, seniora, przypuszczam, że pani wie najlepiej?

— Tak pan mniema? — zapytała z uśmiechem. — Nie będę się wypierała. Tak, to ja!

— Pani, pani go uwolniła! Ośmieliła się pani?

— Tak, ja, nikt inny! Teraz widzi pan, kto palnął głupstwo, ja czy pan. Gdzież jest ta powtórna nierozwagą której się pan po mnie spodziewał? Spełnij więc przyrzeczenie i powiedz, gdzie jest Jonatan Melton. Tak, tak, — roześmiała się na całe gardło — twarz pana jest upostaciowieniem głupoty. Ruszaj, senior, błąd swój naprawić!

— Hm, istotnie pójdę, ale proszę otrzymaj mi towarzystwa i przekonaj się, jak go naprawię!

— Tego panu nie odmówię.

Nie ulegało wątpliwości, że była pewna zwycięstwa. Zaprowadziłem ją do pokoju, gdzie umieściliśmy Meltona. Emery nas nie odstępował — trudno opisać wyraz jego twarzy. Kiedyśmy doszli do zasłony, rzekła:

— A zatem chce pan błąd naprawić? Ciekawa jestem, jak?

— Ujrzyś, seniora, mój błąd naprawiony, a zarazem swoją drugą nierozwagę. Oto dowód! Uchyliłem zasłony. Weszła do pokoju, rozejrzała się i cofnęła się o krok, krzyząc:

— Melton! Wszak tu leży Melton!

Oczy jej przesuwają się bezradnie z niego na mnie.

— Tak, Melton, — odparłem. — Naturalnie. A kogo się pani spodziewała?

— Melton. Melton! — powtarzała wciąż. — Nie może być! To czary! Czy pozwolisz mi z nim pomówić, senior?

— Nie. Wrócimy do pani mieszkania.

W mieszkaniu runęła na krzesło i spojrzała na mnie pytająco. Gdzie się podział jej triumf jej pycha!

— Zwykłem dotrzymywać słowa — zacząłem — Chcę pani powiedzieć, dokąd zbiegł Jonatan Melton. Jest teraz w drodze do Mocnego Wichru, wodza Mogollonów. Później pani doń pojedzie i spotkacie się na Jasnej Skale. Czy tak?

Zerwała się z krzesła i zawołała:

— Kto panu zdradził? Kto panu powiedział?

— Pani sama.

— Ja... ja...?

— Tak. Przypomnij pani sobie własne słowa: — Ten Shatterhand to osioł. Z przyjemnością spletał mi figła. Jest mi bardzo miło, że gotowała pani sobie taką rozrywkę i spletała mi takiego figła. Nigdy bym nie pragnął lepszego!

Patrzyła na mnie nieprzytomnie i wybełkotała:

— Ja, ja... nie pojmuję pana...

— Muszę więc pani pomóc. Czy wie pani, komu przecięłaś pęta?

— Przecież Meltonowi?

— Nie. Wszak widziała go pani przed chwilą. Była pani tak łaskawa i, niech mnie pani dobrze zrozumie, uwolniłaś mnie z więzów.

— Pana... pana?

— Tak. W dodatku palnęłaś głupstwo, którego miałaś się wystrzegać. Jonatan Melton, główny sprawca przestępstwa, uciekł z całym majątkiem. Tylko pani wiedziała, dokąd. Sprowadziłem do pani jego ojca, ale zaraz potem wyniosłem go gdzie indziej, sam zaś kazałem się związać i położyć na jego miejscu. Wiedziałem, że seniora przyjdiesz, gdyż spostrzegłem pani porozumiewawcze skinienie. *Sir* Emery udawał śpiącego. Wymknęła się pani, podeszła do mnie, przecięła więzy i w dodatku byłaś dla mnie aż tak łaskawa, żeś mi powiedziała wszystko, co chciałem wiedzieć. Współczuję pani; nie jest przyjemnie natrząsać się z kobiety. A więc porzućmy ten temat. Dodam tylko, że muszę cię spętać, gdyż mogłabyś uwolnić teraz prawdziwego Meltona.

— Spętać, mnie spętać? Nie ścierpię więzów! Czy poważy się pan na tak niesłychaną brutalność? Tego się można po panu spodziewać!

— Niech się pani nie oburza. Pani stosunek do Jonatana jest karygodny. Pani wie, że to morderca, oszust a jednak udzielasz mu pomocy i zamierzasz brać część jego łupu. Jest więc pani współwinna. A zatem mam przed sobą oszustkę i, skoro przeszkadzam jej stawać na zawadzie, nie popełniam aktu brutalności, lecz uciekam się do uprawnionych i koniecznych środków zapobiegawczych. Winę powinna pani sobie samej przypisać.

— Ja już nie mogę panu szkodzić.

— A jednak. Mógłbym panią unieszkodliwić, nie wiążąc jej, i nawet jestem na to gotów, pod warunkiem, że seniora odpowie prawdziwie na parę pytań.

— Dobrze! Niech pan pyta.

— Przede wszystkim zwrócę pani uwagę, że nie uda się pani wykręcić sianem. Złapię seniorę na pierwszym kłamstwie, a wówczas, powiadam pani, bądź pewna podwójnej kary.

— Będę odpowiadała szczerze.

— Spodziewam się, dla pani własnego dobra. A więc powiedz mi seniora, czy Melton ma konia?

— Miał konia w domu, w którym przepędziliście poprzednią noc.

— Czy jest uzbrojony?

— Zabrał ze sobą strzelbę, nóż i rewolwer.

— Ale, o ile wiem, nigdy jeszcze nie był w tej miejscowości. Czy aby znajdzie drogę do Mogollonów?

— Tak. Musi tylko iść biegiem Flujo Blanco, a potem skierować się ku Sierra Blanca, które to góry zobaczy przed sobą. Wówczas na pewno znajdzie Mogollonów.

— A gdzie jest Jasna Skała, gdzie ma się pani spotkać z Jonatanem Meltonem?

— Również w Sierra Blanca.

— Jakże właściwie wpadło mu na myśl drapnąć do Mogollonów?

— Ja mu poradziłam i wyznaczyłam tam miejsce spotkania. Zdaje się, że nie mogę być bardziej szczerą!

— O, jednakże!

— Jak to? Wiem, że będziesz senior ścigał go, a jednak powiedziałem, dokąd zbiegł i gdzie mnie będzie oczekiwał. Narażam go na niebezpieczeństwo. Czego pan żąda więcej?

— Żądałem od pani czegoś więcej. Żądałem prawdy, seniora zaś kłamałaś.

— Nic podobnego! To prawda, że zbiegł do Mogollonów i że będzie mnie oczekiwał na Białej Skale.

— Tak, to prawda. Nie może pani się wypierać, gdyż wyznałaś mi to wówczas, kiedy, przyjmując za starego Meltona, rozcięłaś moje więzy. Że teraz z musu powtórzyłaś wyznanie,

tęgo chyba nie możesz sobie policzyć za dowód szczerości. Natomiast pani odpowiedzi, dotyczące drogi do Mogollonów i Jasnej Skały, są kłamliwe.

— Nie, są prawdziwe!

— *Pah!* Nie oszuka mnie pani. Zmuszona wyznać, dokąd poszedł Melton, wskazałaś mi kierunek niewłaściwy, co więcej, wręcz przeciwny, abyśmy stracili czas i aby Melton mógł tymczasem umknąć. W Sierra Blanca mieszkają Nijora — Apacze i do nich przybylibyśmy, gdybyśmy się opierali na pani fałszywych wskazówkach. Wręcz odwrotnie, musimy jechać na zachód, wówczas dotrzemy do gór Mogollon, od których bierze nazwę poszukiwane przez nas plemię indiańskie. Widzi pani, że niełatwo mnie zwieść.

— Jeśli pan ma słuszość, to znaczy, że ja jestem źle poinformowana!

— Nie kłam! Chce pani sprowadzić nas na manowce. Nie usłuchałaś mego ostrzeżenia, a zatem weźmiemy cię w łyka.

— Pan się nie poważy! — krzyknęła.

Wówczas wtrącił Emery:

— Po co tyle słów? Tam są rzemienie. Zwiążemy tę oszustkę! Stała raptownie za nią, uchwycił jej ręce i przycisnął je łokciami do siebie na plecach. Była tak zaskoczona tym szybkim ruchem, że nie zdążyła się nawet bronić. Przewiązałem jednym rzemieniem ręce drugim nogi, po czym ułożyliśmy Judytę na ziemi. Teraz nie mogła już podkraść się, nie mogła nieść pomocy staremu Meltonowi; rzeczą zbyteczną byłoby zostawiać przy niej strażnika. Wraz z Emery'm wróciłem na górę do Winnetou, który potwierdził, że Jasna inaczej Biała Skała wznosi się nie w Sierra Blanca, ale w górach Mogollon. A zatem nie poczęliśmy sobie z Judytą niesłusznie.

Siedząc na platformie wyczekiwaliśmy świtu. Ognisko Mima wygasło, ale oni sami zostali na dole. Uważali nas za panów pueblo. Sprowadziliśmy na platformę starego Meltona. Rozumie się, że nie powinien był wiedzieć, iż syn jego salwował się ucieczką. Chcieliśmy ściągnąć zeń buty. Tak wierzgał związanymi nogami, że musieliśmy je unieruchomić. Położyliśmy na tarasie drabinę i przywiązali do niej Meltona. Zasznurowaliśmy mu mocno w wielu miejscach biodra i nogi aż do kolan. Nawet teraz, rycząc, unosił drabinę tak, że Emery i Winnetou musieli na nim klęknąć. Dopiero wówczas zabrałem się do ściągnięcia butów.

Były podszyte cienką skórą. Macając skórę od razu zauważyłem, że coś tkwi między cholewami a podszyciem. Szew był świeży, a zatem pieniądze wetknięto tam niedawno. Prawdopodobnie Judyta pomagała przy szyciu i stąd właśnie wiedziała o tym schowku.

Nożem odprułem podszycie. Melton przestał krzyczeć, opanował się nieco. Oczy jego obrzucały moją dłoń płomieniem nienawiści. Jeden but zawierał cienką paczkę papierową w rodzaju koperty, drugi zaś — aż dwie takie paczki. Otworzyłem je. Znalazłem w dwóch kopertach po dziesięć tysięcy funtów szterlingów, w trzeciej zaś piętnaście tysięcy dolarów w banknotach.

— *Master Melton*, czy chciałby pan powiedzieć, skąd masz te pieniądze? — zacząłem.

— Niech cię lichy porwie! — ryknął. — Nic nie powiem!

— Nie bądźże tak pewny! Istnieją środki, które potrafią zmusić do mówienia. Ponieważ powinniśmy ustalić pochodzenie tych pieniędzy, więc nie zawahamy się tych środków zastosować, jeśli odmówisz odpowiedzi.

— Spróbuj!

— A jakże, spróbujemy! Zwracam tylko panu uwagę, że to nie zaszczyt dla byłego tuniskiego oficera doznać chłostę.

— Chcecie mnie wychłostać?

— Tak. Czy udzieli nam pan wyjaśnień?

— Nie. Możecie mnie nawet na śmierć zakatować, łotry!

— Niech się pan nie wystawia na pośmiewisko. Właśnie obeszlibyśmy się bez pana wskazówek. Nietrudno się domyślić, ale chcemy, aby senior potwierdził, a skoro się pan zawaha, rozwiążemy panu język przemocą.

— Jeśli się domyślacie, to powiedzcie!

— Pan i pański brat dostaliście po pięćdziesiąt tysięcy dolarów z wyłudzonego spadku. Jonatan wypłacił wam w banknotach angielskich.

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Tam gdzie idzie o miliony! Czy mniema pan, że zadowolilibyśmy się tą drobnostką?

— Nie, sadzę inaczej. Mielicie więcej otrzymać, ale tymczasem, jako zadatek, wzięliście tę sumę, gdyż trzeba było uciekać i rozstać się z Jonatanem.

— Patrzcie no, jaki z pana mędrak, *master Shatterhand*! Ale skąd się wzięło piętnaście tysięcy dolarów?

— Była to własność pańskiego brata. Miał stale przy sobie pieniądze, oczywiście zdobyte nieprawnie. Odebrał mu pan piętnaście tysięcy dolarów wraz z udziałem jego w spadku.

— Jest pan na złej drodze! Te pieniądze do mnie należą!

— Wszystko mi jedno. Nauczmy pana gadać. Oto spadkobierca, którego pan skrzywdził. Niechże on pociągnie pana za język. *Master Vogel*, żejdź pan na dół i wybierz sobie z zagajnika kilka ładnych, giętych prętów.

Vogel odszedł. Skoro wrócił z prętami, przywiązaliśmy Meltona piersią do drabiny.

— No, chce pan mówić? — zapytałem.

— Bijcie! — zgrzytał. — Ale powiadam wam, że przypłacicie to życiem!

— *Pah!* Nie ośmieszaj się tak głupimi groźbami! Kto nas pozbawi życia? Wszak jest pan w naszej mocy.

— Ale nie mój syn!

— Zwodzi pan siebie samego.

— Niech pan zaprzecza! Jonatan zbiegł. Gdybyście go schwytali, na pewno byście jemu zadawali pytania, a nie mnie.

— Być może. Ale skoro panu zadajemy, pan musi odpowiadać. Wał pan, *master Vogel*!

Nasz skrzypek — wirtuoz zaczął smagać, ale bez skutku, Melton zacisnął zęby i nie wydawał dźwięku. Wówczas odezwał się Emery:

— *Master Vogel* nie ma prawdziwego szpiku w kościach. Dajcie no tu pręty! Mogę się założyć, że od razu wszystko wyśpiewa.

Po pierwszym uderzeniu Anglika Melton krzyknął przeraźliwie; to samo nastąpiło po drugim i trzecim, a kiedy następne ciosy werżnęły się w ciało, nie mogąc dłużej wytrzymać bólu, krzyknął:

— Przestańcie! Wyznam wszystko!

— No więc, jakże było z tymi dziesięcioma tysiącami funtów?

— To ze spadku — wyznał jękliwie.

— Drugie dziesięć tysięcy zabrał pan bratu?

— Nie.

Dwa potężne ciosy zmieniły odpowiedź na twierdzącą:

— Tak, tak, od brata!

— A piętnaście tysięcy dolarów.

— To moje oszczędności z Tunisu.

— Kłamstwo! Dalej, Emery!

Emery nie dał sobie dwa razy powtarzać, wskutek czego Melton wyjąkał:

— Przestańcie, przestańcie! Tak, to mego brata! Teraz wiecie już wszystko. A więc przestańcie!

— Pięknie! Przekonał się pan zatem, że można cię zmusić do wyznania. Sam ponosisz winę tego, że jazda, która cię wkrótce oczekuje, nie będzie zbyt dogodna.

— Co? Mam z wami jechać? Wszak zagarnęliście już pieniądze i jesteście zadowoleni. Zostawcie mnie w pueblo!

— Czy pan oszalał, *master*? Zostawić pana tutaj

— Do czego jeszcze mogę się wam przydać?

— Co za pytanie! Ścigałem wielokrotne morderstwa pana po całym Dzikim Zachodzie. Szukałem cię w Egipcie i Tunisie tam znowu popełniłeś morderstwo. Odważyłeś się wrócić do Stanów Zjednoczonych, aby wyłudzić milionową spuściznę. Teraz, kiedy nareszcie cię mamy, wymaga pan od nas, abyśmy cię puścili. Toż to obłąd!

— Chcecie mnie zamordować?

— Nie. Zostawimy to katowi.

— Do licha! Chce mnie pan znowu wydać, jak ongiś w forcie Edwarda?

— Naturalnie! Postaramy się, abyś pan tym razem nie uciekł.

— Zastanów się, *master*! Cóż panu z tego, że ja będę wisiał!

— Nic, absolutnie nic, to prawda. Ale musi pan wisieć. Jedyne śmierć pana może mnie upewnić, że już nikomu szkody nie wyrządzisz.

— No, dobrze! Jeśli pan nie wierzy, to spróbuję się wykupić grubą sumą.

— Posiadamy spuściznę!

— Odbierzemy ją, ale nie za cenę waszego uwolnienia. Jeśli nie wydamy was w ręce sprawiedliwości, popełnimy przestępstwo. Nie, nie, weźmiemy pana ze sobą.

— Czyńcie więc, co się wam podoba, psy wściekłe, i bądźcie po tysiącokroć przeklęci!

— Tak, uczynimy, co się wam podoba, pańskie zaś tysiącokrotne przekleństwo padnie na pana. Oto *master* Vogel, pańskie pieniądze. Jest przeszło sto tysięcy dolarów, to pańska własność.

— Niech się nimi po stokroć tysięcy razy udławi! — ryknął Melton.

Vogel zbladł, kiedy ujrzał w swoich dłoniach trzy koperty. Rzekł do mnie po niemiecku:

— Niebiosa, co za majątek! Krew napływa mi do serca, to za wiele, stanowczo za wiele!

Chciał się z nami dzielić, ale rzekłem:

— Otrzyma pan prawdopodobnie o wiele więcej. Weź pan te pieniądze, a przechowuj starannie!

— I nic pan nie przyjmie?

— Nie.

— Dobrze, tymczasem biorę je do siebie. Ale później wrócimy jeszcze do tematu!

Odwiązaliśmy Meltona od drabiny. Ból mu dopiekał. Uwolniliśmy staremu nogi, aby mógł zejść z nami do kotliny. Należało bowiem wyruszyć w drogę.